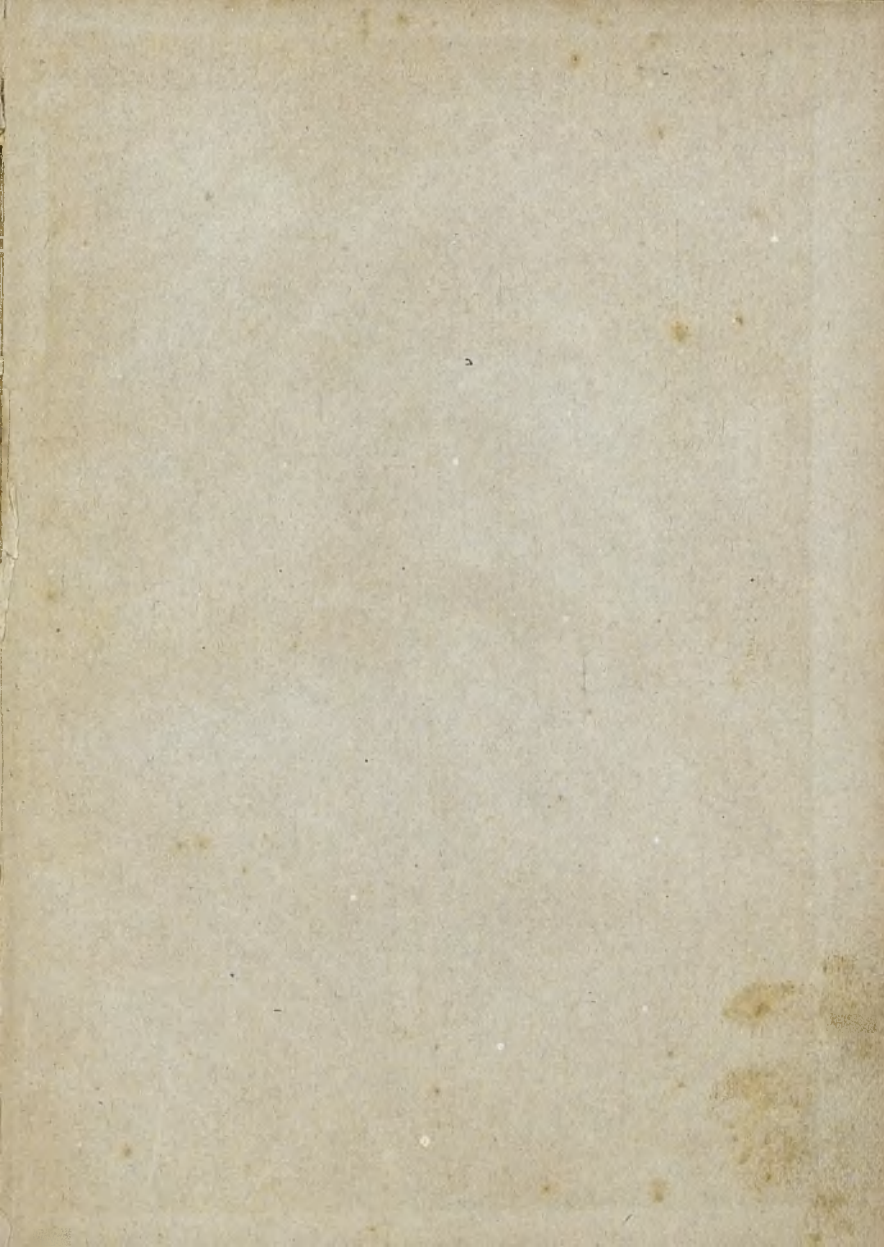
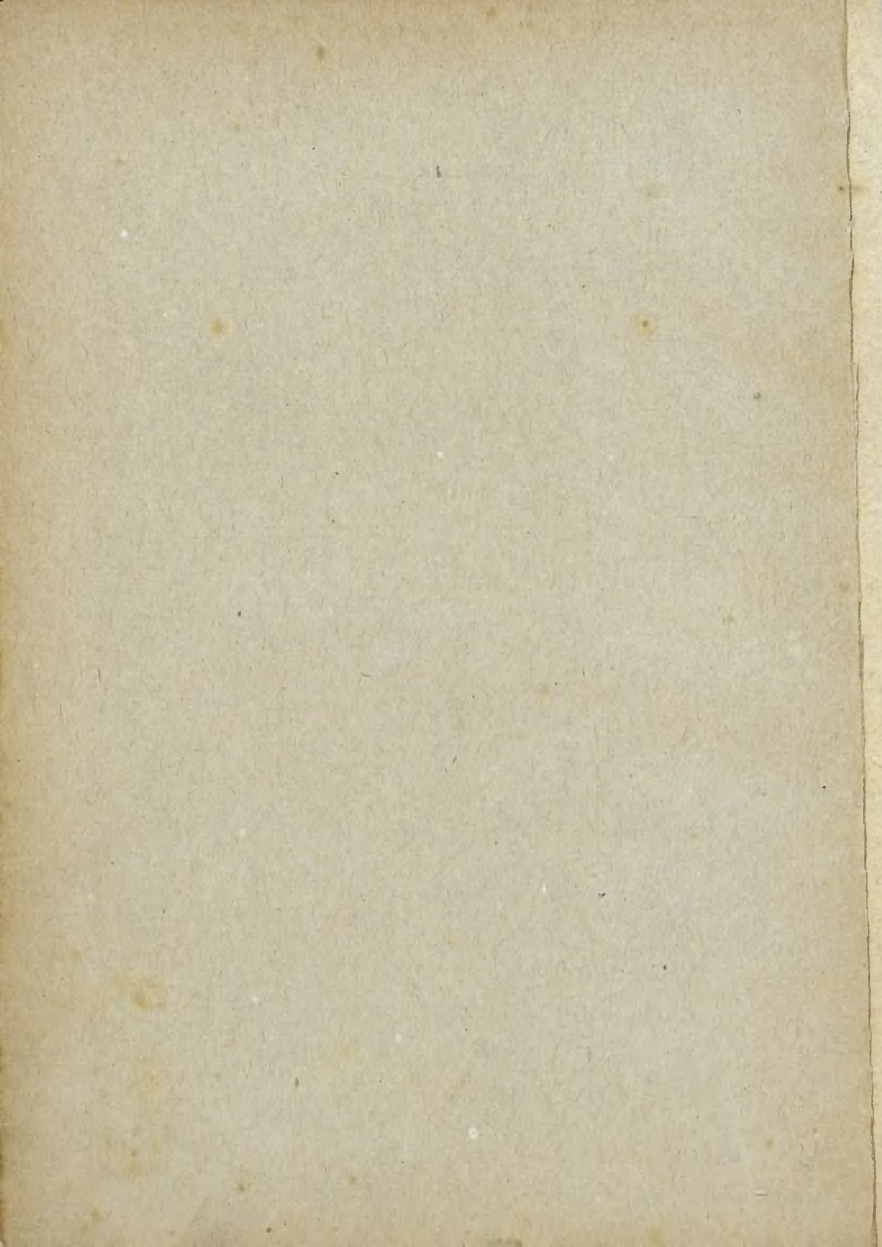




7636 / pg

(E1)







KSIĄŻKI CIEKAWE

REDAKTOR
STANISŁAW LAM

WYDAWCA
FELIKS GADOMSKI

TOM 69-70
TEOFIL GAUTIER
ROMANS MUMJI

KSIĘGARNIA BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WAR SZAWA, ULICA SIENKIEWICZA Nr. 12

TEOFIL GAUTIER

ROMANS MUMJI

POWIEŚĆ

Tłóm. z francuskiego

BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA

KSIĘGARNIA BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH
WARSZAWA, ULICA SIENKIEWICZA N. 12

LP 14 d 1

428142

T

K-79/7536

10.07



30,-

Wydrukowano w Drukarni Technicznej Sp. Akc. Warszawa, Czackiego 3-5.

Oprawiono w Zakł. Introligat. J. Modzyńskiego ul. Kopernika № 4, tel.: 107-97

Do Pana

ERNESTA FEYDEAU

Tobie, Panie, poświęcam książkę niniejszą, która Ci się z prawa należy; dopuszczając mnie do skarbów swojej erudycji i otwierając mi swoją bibliotekę, wzbudziłeś we mnie wiarę, że jestem taki uczony i tak dobrze znam Egipt starożytny, iż mogę o nim pisać; idąc Twoim śladem wędrowałem po świątyniach, po pałacach, grobowcach, po mieście żywym i po mieście umarłym; uchylites przedemną zasłonę tajemniczej Izydy i wskrzesiłeś cały ogrom cywilizacji już nieistniejącej. Historia jest dziełem Twojem, Panie, romans jest mój; spoilem tylko swoim stylem, niby kitem mozajkowym, drogie kamienie, które mi podawałeś.

T. G.

PRZEDMOWA

Gdy w r. 1856 Teofil Gautier wydał „Romans mumji“, nie przeczuwał, że ta właśnie książka jego w pół wieku po jego zgonie (50-tą rocznicę śmierci znakomitego pisarza obchodziła Francja, a wraz z nią cywilizowany świat literacki w r. 1922) nabierze pierwszorzędnej aktualności. A stało się tak za sprawą odkryć najświeższych, dokonanych w Egipcie przez, nieżyjącego już dzisiaj, lorda Carnarvona i p. Cartera.

Jak wiadomo, odkrycia te w „Dolinie Królów“, nieopodal starożytnych „stubramnych Teb“, ujawniły grobowiec Faraona Tut-ench Amuna, a znalezione w nim skarby, w postaci klejnotów i sprzętów, stanowią nieoszacowane dokumenty z epoki największego rozkwitu sztuki i cywilizacji egipskiej.

Bohaterem powieści Gautier'a jest ów Faraon, który gnębił żydów w niewoli egipskiej i ścigał wyprawdzonych przez Mojżesza, a którego imię, z niewyjaśnionych dotąd powodów, przemilczane zostało w Starym Testamencie — określono go tylko mia-

nem „Farao“, tj. panujący. — W wydanej obecnie, a zawierającej opis wiekopomnych odkryć w „Dolinie Królów“ książce p. Cartera, okazuje się, że w grobowcu Tut-ench Amuna znaleziono, między innymi, skrzynię hebanową, na której wyrzeźbione są sceny przedstawiające prześladowania żydów przez Egipcjan oraz pościg Faraona za zdążającymi do ziemi obiecanej synami Izraela. Ztąd wynika, że Tut-ench Amun, którego imię od szeregu miesięcy obija się o uszy cywilizowanego świata, w związku z odkryciami w pobliżu Luksaru — jest właśnie tym władcą egipskim, którego dzieje miłosne opisał Teofil Gautier przed lat 68-miu.

Miarą aktualności „Romansu mumji“ jest świeże, ozdobne wydanie książki tej w Paryżu.

Tłómaczka.

PROLOG

— Mam przeczucie, że znajdziemy w dolinie Biban-el-Moluk grobowiec nietknięty, — mówił do młodego Anglika, o wyniosłej postaci, człowiek znacznie niepozorniejszy, ocierając wielką chustką w niebieskie kraty łyse czoło, na którym lśniły się krople potu, jakgdyby było ulepione z dziurkowatej gliny i napełnione wodą, niby dzbanki tebańskie.

— Niechaj cię Ozyrys wysłucha — odpowiedział doktorowi niemieckiemu młody lord; — jestto wezwanie, na które można sobie pozwolić wobec starożytnego *Diospolis magna*; ale, ileż to już razy spotkał nas zawód; poszukiwacze skarbów wyprzedzali nas zawsze.

— Grobowiec, do którego nie wtargnęli ani królowie pasterze, ani Medejczycy Kambyzesa, ani Grecy, ani Rzymianie, ani Arabowie, i który nam otworzy swoje skarby nienaruszone i swoją tajemnicę dziewiczą jeszcze, — ciągnął dalej spocony uczony z zapalem, który rozniecał iskry w jego źrenicach, osłoniętych niebieskimi szklami okularów.

— A o którym napiszesz, doktorze, rozprawę wiel-

ce uczoną, zdobywając w nauce miejsce obok Champollion'ów, Rosellinich, Wilkinsonów, Lepsiusów i Belzonich, — odparł młody lord.

— Zadedykuję ją wam, milordzie, wam ją zadedykuję; bo, gdyby nie wy, nie wasza królewska hojność w stosunku do mnie, nie byłbym mógł systemu swego poprzeć widokiem pomników i byłbym umarł w miasteczku rodzinnem w Niemczech, nie ujrzawszy cudów tej starożytnej ziemi, — odrzekł uczony, wzruszonym tonem.

Rozmowa ta toczyła się nieopodal Nilu, u wejścia do doliny Biban-el-Moluk, między lordem Evandale, jadącym na wierzchowcu arabskim, a doktorem Rumphiusem, skromniej usadowionym na ośle, którego wychudły zad fellah okładał kijem; lekka łódź, która przywiozła dwóch podróżnych i podczas ich pobytu miała im służyć za siedzibę, przybiła do przeciwległego brzegu Nilu, pod Luksorem i tam zarzuciła kotwicę, złożyła wiosła i stała, zwinawszy wielkie, trójkątne żagle i przywiązawszy je do masztów. Podróżnicy poświęcili kilka dni na zwiedzanie i badanie zdumiewających ruin tebańskich, tych potężnych szczątków olbrzymiego świata, poczem przebyli rzekę na czółnie, i kierowali się teraz ku pustym obszarom, ukrywającym w swem łonie, w głębi tajemniczych pieczar, dawnych mieszkańców pałaców przeciwnego wybrzeża. Kilku ludzi załogi towarzyszyło w pewnem oddaleniu lordowi Evandale'owi i doktorowi Rumphiusowi, inni zaś, wyciągnięci na pomoście w cieniu kabiny, palili spokojnie fajkę, strzegąc czółna.

Lord Evandale był jednym z owych młodych Anglików bez zarzutu pod każdym względem, jakich wytworzyła wysoki poziom życia brytańskiego; wnosił wszędzie ze sobą pogardliwą pewność siebie, jaką daje wielka dziedziczna fortuna, nazwisko historyczne, zapisane w księdze *Peerage and Baronetage*, tej drugiej Biblii Anglii, a posiadał urodę, o której nie można było nic powiedzieć, prócz tego, że jest zanadto doskonała na mężczyznę. Istotnie, jego głowa, o linjach najczystszych, ale zimna, wydawała się woskową kopją głowy Meleagra lub Antinousa. Zdawało się, że usta jego i policzki zabarwione są sztucznie karminem i różem, a włosy, ciemno-blond, układały się same w kędziory takie prawidłowe, jakie mogłaby im nadać ręka doświadczonego fryzjera lub wprawnego kamerdynera. Wszelako stanowcze spojrzenie jego źrenic stalowo-niebieskich, oraz lekki wyraz *sneer'u*, na wysuniętej nieco dolnej wardze, zacierały to, co mogłoby być w tem obliczu zniewieściałego.

Członek klubu Jachtowego, młody lord pozwalał sobie od czasu do czasu na wycieczkę na własnym lekkim statku, nazwanym *Puck*, urządzonym jak buduar i kierowanym przez załogę nieliczną, ale złożoną z marynarzy doborowych. Roku poprzedniego zwiedzał Islandję; w tym roku zwiedzał Egipt i jacht czekał nań w przystani Aleksandrji; zabrał ze sobą uczonego, lekarza, przyrodnika, rysownika i fotografa, pragnąc, aby ta jego wycieczka nie była bezużyteczna; posiadał sam wysokie wykształcenie, a powodzenie towarzyskie nie zatarło w pamięci tryumfów, odnie-

sionych w uniwersytecie w Cambridge. Ubrany był z tą starannością i drobiazgową czystością, jaką charakteryzuje Anglików, którzy w takim samym nieposzlakowanym stroju kroczą po piaskach pustyni, co przechadzają się po wybrzeżu w Ramsgate albo na szerokich chodnikach West-Endu. Na strój młodego lorda składał się paltot, kurtka i spodnie z białego drelichu, przeznaczone do odbijania promieni słonecznych, dopełniał go zaś wąski krawat niebieski w białe grochy i kapelusz, z niesłychanie cienkiej słomy Panama, przewiązany welonem gazowym.

Egiptolog Rumphius zachował nawet pod tem piekącym słońcem tradycyjny czarny surdut uczonego, surdut z obwisłymi połami, zmiętym kołnierzem i wytartymi guzikami, z których niejednen wymknął się z pochewki jedwabnej. Czarne spodnie były bardzo zniszczone, tu i owdzie wytarte, a gdzieniegdzie przeświecały nitki osnowy; uważny obserwator zauważyłby przy prawem kolanie, na szarem tle materjału znaki, barwy ciemniejszej, świadczące, iż uczonego miał zwyczaj ocierać o tę część ubrania pióro, nazbyt pełne atramentu. Krawat muślinowy, skręcony jak postronek, okalał luźno kołnierzyk koszuli, nad którym wystawała chrząstka, nazwana pospolicie jabłkiem Adama. Tego uczonego zaniedbania w ubraniu nie wynagradzała uroda — Rumphius piękny nie był; kępki ryżawych, posiwiałych włosów usadowiły się poza odstającymi uszami i buntowały się przeciw nadmiernie wysokiemu kołnierzowi surduta; czaszka, zupełnie łysa, lśniła się, jak kość, i wznosiła się nad

nosem niesłychanej długości, gąbkowatym i cebulkowato zakończonym, co, w połączeniu z niebieskawymi krążkami, utworzonymi przez okulary na miejscu oczu, nadawało mu pozór ibisa, spotęgowany jeszcze zapadniętymi ramionami: wygląd zupełnie zresztą odpowiedni i niemal opatrznosciowy dla odczytywaczy napisów i płyt z hieroglifami. Można by przypuścić, że to bóg ptakogłowy, wyobrażany na freskach żałobnych, osadzony był w ciele uczonego, drogą jakiegoś przeobrażenia.

Lord i doktor dążyli ku prostopadłym skałom, okalającym żałobną dolinę Biban-el-Moluku, nekropol królewskich starożytnych Teb, prowadząc rozmowę, której kilka zdań przytoczyliśmy, gdy, jak troglodyta, wyszedł z czarnej paszczy pustego grobowca — zwykłej siedziby fellahów, — i ukazał się nagle na widowni człowiek, w stroju poniekąd teatralnym, stanął przed podróżnikami i powitał ich, pełnym wdzięku ukłonem ludów Wschodu, jednocześnie pokornym, ujmującym i nacechowanym godnością.

Był to Grek, przedsiębiorca robót wykopaliskowych, handlarz i fabrykant starożytności, sprzedający, w razie potrzeby, rzeczy nowe w braku starych. Nic w nim zresztą nie ujawniało pospolitego i wygłodniałego wyzyskiwacza cudzoziemców. Na głowie miał *tarbusz* z czerwonego filcu, po którym z tyłu spływała długa wstęga z miękkiego niebieskiego jedwabiu, a pod wąskiem, białym pasmem spodniej białej jarzmutki płóciennej, ukazywały się ogolone skronie w odcieniach brody świeżo ochłodzonej. Cera oliwkowa,

czarne brwi, nos haczykowany, oczy drapieżnego pta-ka, wielkie wąsy, podbródek rozdzielony dołkiem, jak-by cięciem szabli, nadawałyby mu fizjonomję praw-dziwego bandyty, gdyby ostrości jego rysów nie ła-godziła przymusowa uprzejmość i służalczy uśmiech spekulanta, mającego częste stosunki z publicznością. Strój jego odznaczał się wielką czystością; składał się zaś z kurtki jedwabnej, koloru cynamonu, wyszy-tej sutaszem tej samej barwy, z owijków z tego sa-mego materiału, z białej kamizelki, ozdobionej guzi-kami, podobnemi do kwiatu rumianka, szerokiego pasa czerwonego i niesłychanie obfitych, bufiastych szarawarów.

Grek ten oddawna już obserwował łódź, stojącą na kotwicy pod Luksorem. Z wielkiej barki, z liczby wioślarzy, ze zbytkownego urządzenia, a zwłaszcza z flagi angielskiej, umieszczonej na tyle, instynktem handlarskim zwierzył bogatego podróżnika, które-go ciekawość naukową można będzie wyzyskać i któ-ry nie zadowolili się posążkami z malowanej gliny nie-bieskiej albo zielonej, podrobionemi skarabeuszami, papierowemi zwitkami hieroglifów oraz innemi drob-nemi wytworami sztuki egipskiej.

Śledził wycieczki podróżników wśród ruin i, wie-dząc dobrze, iż, nasyciwszy ciekawość, napewno prze-prawią się przez rzekę, by zwiedzić królewskie pie-czary grobowe, oczekiwał ich na swoim terenie, pe-wien, że ich dobrze naciągnie; uważał całą tę sie-dzibę załoby za swoją własność i przepędzał energicz-

nie drobnych podręczników szakałów, którzy ośmielali się szperać w grobowcach.

Z właściwym Grekom sprytem, sądząc z wyglądu lorda Evandale'a, wywnioskował, jakie dochody musi mieć jego lordowska mość i postanowił nie oszukiwać go, obliczając, iż prawda przyniesie mu więcej pieniędzy niż kłamstwo. To też wyrzekł się oprowadzania szlachetnego Anglika po pieczarach sto razy już zwiedzanych i porzucił zamiar nakłonienia go do rozpoczęcia robót odkopaliskowych w miejscach, gdzie wiedział, iż nic nie znajdzie, albowiem on sam wydo był już stamtąd i sprzedał za drogi pieniądz to, co było tam ciekawego.

Argyropulos (tak się Grek ów nazywał), przeszukując zakątki doliny rzadziej badane niż inne, a gdzie dotąd poszukiwania nie dały żadnej zdobyczy, powiedział sobie, że w pewnym miejscu, po za skałami, które układ swój zawdzięczały, zdaje się, przypadkowi, istniało napewno wejście do grobowca, zasłoniętego ze szczególną starannością; wielkie doświadczenie Greka w tego rodzaju poszukiwaniach sprawiło, że poznał, to po setkach wskazówek, niedostrzegalnych dla oczu mniej niż jego bystrych, a jasnych i przenikliwych jak ślepie sępów, siedzących na szczytach świątyni. Od dwóch lat, kiedy uczynił to odkrycie, nie kierował już nigdy kroków swoich ani spojrzeń w tamtą stronę, z obawy, aby nie zbudzić czujności gwałcicieli grobowców.

— Czy jaśnie pan ma zamiar rozpocząć jakie poszukiwania? — spytał Grek Argyropulos, djalek-

tem kosmopolitycznym, którego dziwacznej składni i osobliwego brzmienia nie będziemy próbowali od-
twarzać, ale który wyobrażą sobie bez trudu ci, co
bywali w portach handlowych Wschodu i zmuszeni
byli korzystać tam z usług owych dragomanów —po-
liglotów, nieumiejących w istocie żadnego języka. Na
szczęście lord Eandale i jego uczony towarzysz znali
wszystkienarzecza, u których zapożyczał się Argry-
ropulus. — Mogę dać jaśnie panu do rozporządzenia
setkę nieustraszonych fellahów, którzy popędzani ba-
tem i bakszyszem, wydrapaliby własnymi paznokcia-
mi ziemię do samego środka. Będziemy mogli poku-
sić się, jeżeli to jaśnie panu dogadza, o odgrzebanie
zakopanego sfinksa, otwarcie grobowca...

Widząc, że lord pozostaje obojętny, wobec tej po-
nętnej perspektywy, i że na ustach uczonego błąka
się uśmiech sceptyczny, Argyropulos zrozumiał, że nie
ma do czynienia z ludźmi, których łatwo wyprowa-
dzić w pole, i utwierdził się w przekonaniu, iż należy
sprzedać Anglikowi tajemnicę owego nieznanego gro-
bu; liczył, że ta tranzakcja zaokrągli mu mająteczek,
jaki już posiadał, i pozwoli wyposażyć córkę.

— Odgaduję, że panowie są uczonymi, nie zaś zwy-
kłymi podróżnikami, i że pospolite osobliwości nie
byłyby dla panów ponętne, — ciągnął dalej, mówiąc
angielszczyzną już daleko mniej pomieszaną z grec-
kim, arabskim i włoskim. — Ujawnię panom grób,
który dotychczas uszedł uwagi poszukiwaczy, którego
nie zna nikt, prócz mnie; jest to skarb, który zacho-
wałem starannie dla kogoś, co okaże się jego godny.

— I któremu każecie bardzo drogo za to zapłacić, — wtrącił lord z uśmiechem.

— Szczerłość moja nie pozwala mi przeczyć jasnie panu; mam nadzieję uzyskać dobrą cenę za swoje odkrycie; każdy na tym świecie żyje ze swego rzemiosła: ja odgrzebuje Faraonów i sprzedaję ich cudzoziemcom. Faraon stanie się coraz rzadszy, jeśli poszukiwania będą dalej prowadzone tym trybem; niema ich dla wszystkich. Popyt na artykuł jest duży, a nie fabrykują ich już oddawna.

— Istotnie, — wtrącił uczony, — od kilku wieków już kolszyci, paraszyci *) i taryszeuci **) zamknęli swoje sklepy, a Memnomje, ciche dzielnice umarłych, zostały opuszczone przez żywych.

Grek, słysząc te słowa, spojrział na Niemca z ukosa; ale, sądząc z zaniedbanego ubrania, że nie ma on głosu decydującego w sprawie, w dalszym ciągu zwracał się wyłącznie do lorda.

— Za grobowiec z najdalszej epoki starożytnej, którego spokoju nie zakłóciła żadna ręka ludzka od lat przeszło trzech tysięcy, kiedy kapłani zatoczyli skały przed jego wejście, tysiąc gwinei, czy będzie za dużo, milordzie? Naprawdę, to za darmo, bo może zawierać mnóstwo złota, naszyjników z djamentów i pereł, kolczyków karbunkułowych, pieczętek z szafiru, prastarych bożków z cennego metalu, monet, na których można dużo zarobić.

— Chytry hultaju, — rzekł Rumphius, — umiesz

*) Otwieracze trupów.

**) Zawodowcy, sporządzający mumje. (Przyp. tłum.)

zachwalać swój towar; ale wiesz lepiej niż ktokolwiek, że w grobowcach egipskich niema nic podobnego.

Argyropulos, rozumiejąc, że ma do czynienia z silnym przeciwnikiem, zaprzestał przechwałek, i, zwracając się do Evandale'a, spytał:

— I cóż, milordzie, dobijemy targu?

— Dostaniesz tysiąc gwinei, — rzekł młody lord, — jeżeli grobowiec nie był wcale jeszcze otwarty, jak utrzymujesz; a nic... jeżeli łopata poszukiwaczy poruszyła choćby jeden kamień.

— I pod warunkiem, — dodał przezorny Rumphius — że zabierzemy ze sobą wszystko, co się znajdzie w grobowcu.

— Zgadzam się, — odparł Argyropulos z zupełną pewnością siebie; — jaśnie pan może zgóry przygotować banknoty i złoto.

— Kochany panie Rumphius, — odezwał się lord Evandale do towarzysza, — zdaje mi się, że przeczucie, o którym mówiłeś przed chwilą, jest bliskie urzeczywistnienia; ten hultaj wydaje się taki pewny swego.

— Dałby Bóg! — odparł uczony, podnosząc i opuszczając kilkakrotnie kołnierz surduta wzdłuż czaszki, pirrońskim ruchem wątpliwości; — Grecy są takimi bezczelnymi kłamcami! *Cretoe mendaces*, mówi przysłowie.

— Ten jest prawdopodobnie Grekiem z lądu stałego, — rzekł lord Evandale — i myślę, że tym razem wyjątkowo powiedział prawdę.

Kierownik poszukiwań wyprzedzał o kilka kro-

ków lorda i uczonego, jako człowiek dobrze wychowany i znający się na formach towarzyskich, a szedł krokiem żwawym i pewnym, jak ktoś, kto się czuje u siebie.

Niebawem przybyli do ciasnego wąwozu, stanowiącego wejście do doliny Biban-el-Moluk. Wydawał się raczej wycięty ręką ludzką, poprzez grube skały, niż otworem naturalnym, jakgdyby duch samotności zapragnął uczynić niedostępną tę siedzibę śmierci.

Na prostopadłej ścianie przeciętej skały oko różniało niewyraźnie bezkształtne resztki rzeźb, wyżarte przez czas, które można było wziąć za chropowatości kamienia, naśladujące postacie płaskorzeźby nawpół zatartej.

Po za tem przejściem dolina, rozszerzając się nieco, przedstawiała widok ponurego spustoszenia.

Z każdej strony wznosiły się stromemi zboczami olbrzymie masy skał wapiennych, chropowatych, pękanych, rozsypujących się, w pełnym rozkładzie, pod działaniem nieubłaganego słońca. Skały te podobne były do kości trupów spalonych na stosie, ich głębokie szczeliny ziały nudą wieczności a tysiącami pękniętych otworów błagały o kroplę wody, która nigdy nie spada. Ściany skaliste wznosiły się prawie prostopadle do znacznej wysokości, a szarawo białe, zygzakowate ich szczyty odcinały się na tle nieba ciemno-szafirowego, niemal czarnego, niby wyszczerbione blanki olbrzymiej zrujnowanej fortecy.

Promienie słoneczne ogrzewały do białości jedną stronę żałobnej doliny, zaś strona druga tonęła w tej

ostrej niebieskawej barwie, właściwej krajom gorącym, która wydaje się nieprawdopodobna w krajach północnych, gdy ją odtwarzają malarze, i która odci-na się równie wyraźnie, jak cienie planu architekto-nicznego.

Dolina przedłużała się, to w zakrętach, to stłacza-jąc się w wąwozy, stosownie do tego, czy głązy i wy-niosłości łańcucha, rozwidlonego szeroko, były wy-stające czy wklęsłe. Skutkiem właściwości owych kra-jów, gdzie atmosfera, zupełnie pozbawiona wilgoci, jest zupełnie przezroczysta, perspektywa powietrzna nie istniała dla tej widowni spustoszenia; wszystkie szczegóły zarysowywały się wyraźnie, dokładnie, na-wet na ostatnich planach z nielitościwą suchością, a od-dałenie ich zaznaczało się tylko drobnymi rozmiarami, jakgdyby okrutna przyroda nie chciała ukryć żadnej nędzy, żadnego smutku tej ogołoconej ziemi, bardziej umarłej niż umarli, których zamknęła w swoim ło-nie.

Po stronie oświetlonej spływał ognistą kaskadą blask oślepiający, jak blask roztopianych metali. Każ-da płaszczyzna skały, zamieniona na gorejące zwier-ciadło, odbijała blask ten jeszcze stokroć spotęgowa-ny. Te krzyżujące się odbicia, łącznie z palącymi pro-mieniami, jakie padały z nieba, a które ziemia odsy-łała, wytwarzały żar, równy żarowi wielkiego pieca, i biedny doktor niemiecki nie mógł nadażyć zbierać wody ze swego oblicza chustką w niebieskie kraty, przemoczoną, jakgdyby ją był zanurzył w rzece.

W całej dolinie nikt nie znalazłby piędzi ziemi

pokrytej jakąkolwiek roślinnością; ani źdźbło trawy, ani jeden krzew, żaden pnącz, ani nawet kępka mchu nie przerywała jednostajnie białawego tonu tego, spalonego żarem słonecznym, krajobrazu. Szczeliny i zakrety skał nie miały tyle wilgoci, żeby najdrobniejsza roślina pomurna mogła w nich zapuścić swoje cienkie, włochate korzenie. Wydawać się mogło, że to stosy popiołu, pozostałe po łańcuchu gór, spalonych w epoce kłęsk kosmicznych, w olbrzymim pożarze planetarnym; ścisłość tego porównania dopełniały szerokie czarne pręgi, podobne do blizn po opaleniznach, jakie snuły się po urwistych zboczach.

Bezwzględna cisza panowała nad tem spustoszeniem; nie zakłócało jej najlżejsze drgnienie życia—ani szelest skrzydeł, ani brzęczenie owadu, ani bieg jaszczurki czy pełzanie płazu; nawet konik polny, ten przyjaciel rozżarzonej pustki, nie odzywał się swoim słabym ćwierkaniem.

Pył błyszczący, podobny do tłuczonego żwiru, pokrywał ziemię, a od czasu do czasu wznosiły się pagórki, utworzone przez głazy, wyrwane z głębin łańcucha przez uparty oskard wymarłych pokoleń i dłuto robotników troglodytów, przygotowujących w ciemnościach wieczną siedzibę dla umarłych. Pokruszone wnętrzości gór utworzyły inne góry, kruche nasypiska drobnych odłamków skał, które można było wziąć za łańcuch naturalny.

W łonie skały rozwierały się tu i ówdzie czarne paszcze, otoczone porozrzucanemi głazami, kwadratowe otwory, osłonięte z boków słupami, zdobnemi

w hieroglify i tajemnicze kartusze, gdzie na wielkim dysku żółtym odznaczał się święty skarabeusz, słońce o głowie barana oraz boginie Izyda i Neftis, w postaci kłęczącej lub stojącej.

Były to grobowce dawnych królów tebańskich; ale Argyropulos nie zatrzymał się przy nich i pochyłością, przerywaną kilkakrotnie gładzami, które się obsunęły, poprowadził swoich podróżników na wąską płaszczyznę na zrębie ściany prostopadłej, gdzie skały, napozór ugrupowane przypadkowo, miały jednak pewną symetrię.

Gdy lord, sprawny we wszelkich ćwiczeniach gimnastycznych, i uczony, znacznie mniej zwinny, zdołali wspiąć się obok niego, Argyropulos wskazał kijem swoim olbrzymi kamień i, z miną tryumfalną, oznajmił:

— To tam!

Argyropulos klasnął w dłonie, sposobem wschodnim, i wnet ze szczelin skały, z zakątków doliny, przybiegli pędem fellahowie, wynędziali, w łachmanach, niosąc w rękach, barwy brązu, drągi o żelaznych końcach, łomy, młoty, drabiny i wszystkie potrzebne narzędzia; włązili na urwistą pochyłość, jak legion czarnych mrówek. Ci, którzy nie mogli już znaleźć miejsca na wąskiej płaszczyźnie, zajętej przez przedsiębiorcę, lorda Evandale'a i doktora Rumphiusa, zgięci w kablak, czepiali się paznokciami załamków skały.

Greki dał znak trzem najsilniejszym, którzy wsunęli drągi pod największy głaz. Mięśnie wyprę-

żyły się, jak sznury, na ich wychudłych rękach, gdy zawiesili się całym ciężarem na drągach żelaznych. Nareszcie gład poruszył się, chwiał się przez kilka chwil, jak człowiek pijany i, pchany wspólnymi wysiłkami Argyropulosa, lorda Evandale'a, Rumphiusa oraz kilku Arabów, którzy zdołali umieścić się na płaszczyźnie, runął, odskakując wzdłuż stoku. Dwa inne głady mniejszych rozmiarów, zostały stopniowo usunięte i wówczas można było stwierdzić, że przewidywania Greka były słuszne. Wejście do grobowca, który widocznie uszedł uwagi poszukiwaczy skarbów, ukazało się w całej swej okazałości.

Był to rodzaj portyku, wykutego w czworobok w skale; po bokach wznosiły się dwie kolumny o kapitelach z łbów krowich. których rogi przybrały kształt półksiężyca Izydy.

Ponad niskimi drzwiami, ozdobionymi u dołu hieroglifami, widniało szerokie pasmo emblematyczne; na środku dysku barwy żółtej widniał, obok skarabeusza, znaku stopniowego odradzania, bóg o głowie barana, symbol zachodzącego słońca. Po za obrębem dysku, klęczały Izydora i Neftis, usobienie początku i końca, jedna z nogą podwiniętą, druga z podniesioną do wysokości łokcia, według postawy egipskiej, z rękoma wyciągniętymi, ruchem tajemniczego zdziwienia; wąskie chusty, przewiązane pasem o spadających końcach, obcisłały obie postacie.

Za murem z kamieni i surowych cegieł, który szybko uległ oskardom robotników, ukazała się płyta kamienna, tworząca drzwi do podziemia.

Na cylindrze glinianym, którym były opieczęto-
wane, doktor niemiecki, obeznany z hieroglifami, bez
trudności odczytał dewizę kolszyty, strażnika siedzib
żałobnych, który zamknął nazawsze ten grobowiec
i sam tylko mógł być odnaleźć tajemnicze pomieszcze-
nie na mapie grobów, przechowywanej w kolegium
kapłanów.

— Zaczynam wierzyć, — rzekł w radosnem unie-
sieniu uczony do młodego lorda, — że istotnie nielada
zdobycz przypadła nam w udziale, i cofam niepocho-
dne mniemanie, jakie wypowiedziałem o tym zacnym
Greku.

— Cieszymy się może przedwcześnie — od-
parł lord Evandale — i, kto wie, czy nie spotka nas
ten sam zawód co Belzoniego, gdy mniemał, że wcho-
dzi pierwszy do grobowca Menefty Setiego i, prze-
biegłszy przez labirynt korytarzy, studzien i komnat,
znalazł pod strzaskanem wiekiem pusty sarkofag; po-
szukiwacze skarbów bowiem dotarli do grobowca
królewskiego wejściem, wykopanem w innym punk-
cie góry.

— O! nie, — zapewnił uczony; — łańcuch górski
jest tutaj taki zwarty, a pieczara żałobna taka odda-
lona od innych, że niepodobna, by te przeklęte krety,
wydrapując skałę, mogły przedłużyć swoje podkopy
aż do tego miejsca.

Podczas tej rozmowy robotnicy, podnieceni przez
Argyropulosa, przypuszczali szturm do wielkiej płyty
kamiennej, zakrywającej wejście do grobu. Odrzuca-
jąc ziemię z pod płyty, by podsunąć pod nią drągi, —

lord bowiem zalecił, aby nic nie rozbijać, — wydobyli z piasku mnóstwo figurek, wysokości kilku cali, z emaljowanej gliny, niebieskiej lub zielonej; były to artystycznie wykonane maleńkie posąжки żałobne, złożone tam w ofierze przez krewnych i przyjaciół, podobnie jak my składamy wieńce z kwiatów, w progu kaplic żałobnych; tylko że nasze kwiaty więdną szybko, zaś dowody starożytnego bólu pozostają, po trzech tysiącach z górą lat, nienaruszone, Egipt bowiem może tworzyć jedynie rzeczy wieczne.

Gdy kamienne drzwi odsunęły się, wpuszczając, po raz pierwszy od trzydziestu pięciu wieków, światło dzienne, z ciemnego otworu buchnęła fala gorącego powietrza, niby z paszczy wielkiego pieca. Zdawało się, że z rozżarzonych płuc gór uleciało westchnienie ulgi przez te usta, tak długo zamknięte. Promienie światła, wpadając do korytarza żałobnego, roziskrzyły najżywszym blaskiem kolorowane hieroglify, wycięte wzdłuż murów w linjach prostopadłych i spoczywające na niebieskiej podstawie. Figura barwy czerwonej, o głowie krogulca, przybranej w pszent*) podtrzymywała dysk, ze skrzydlatą tarczą słoneczną i zdawało się, że czuwa w rogu grobowca, jako odźwierny Wieczności.

Kilku fellahów, zapaliwszy pochodnie, wyprzedzało podróżników i Argyropulosa; smołowcowe płomienie płonęły z trudnością wśród tego powietrza gęstego, dusznego, ścięsnionego przez tyle tysięcy lat pod rozpalonym wapieniem góry, w korytarzach, przejściach

*) Korona Faraonów. (Przyp. tłum.)

i labiryntach żalobnej pieczary. Rumphius dyszał, a pot spływał zeń potokiem; nawet niewzruszona twarz Evandale'a okryła się rumieńcem, a skronie jego zwilżyły się. Greka zaś wiatr pustyni wysuszył tak doszczętnie, że, podobnie jak mumja, już się nie pocił.

Korytarz prowadził prosto do jądra łańcucha, według żyły wapienia, nieporównanej równości i czystości.

W głębi korytarza drzwi kamienne, zapieczętowane, jak tamte, cylindrem glinianym, nad którymi widniała również skrzydlata tarcza słoneczna, świadczyły, że nikt dotąd nie wtargnął do grobowca i wskazywały istnienie nowego korytarza, idącego dalej w głąb góry.

Gorąco potęgowało się tak silnie, że młody lord zrzucił białą kurtkę, a doktor czarny surdut, niebawem zaś pozbyli się obaj kamizelki i koszuli; Argyropulos, widząc, że oddychali z trudnością, szepnął kilka słów jednemu z fellahów, który pobiegł do wejścia podziemia i przyniósł dwie duże gąbki, nasycone zimną wodą, które podróżnicy, idąc za radą Greka, położyli sobie na usta, żeby w ten sposób mózdz oddychać świeższem powietrzem.

Robotnicy zabrali się do drzwi, które niebawem otworzyli.

Ukazały się spadziste schody, wyciosane w skale.

Z każdej strony korytarza, ciągnęły się na zielonem tle korowody figurek emblematycznych, w barwach takich świeżych, takich żywych, jakgdyby pen-

dzel artysty odtworzył je wczoraj; ukazywały się przez chwilę w blasku pochodni, poczem niknęły w cieniu, jak zjawy senne.

Poniżej tych fresków hieroglify, ułożone pionowo, jak pismo chińskie, i rozdzielone wydrążonemi prążkami, składały w dani bystrości umysłu świętą tajemnicę swej zagadki.

Wzdłuż ścian, których nie pokrywały znaki hieratyczne, szakał, leżący na brzuchu, z wyciągniętymi łapami i nastawionemi uszami, oraz postać klęcząca w mitrze na głowie, z ręką spoczywającą na obręczy, jakby sprawowały straż obok drzwi, których nadproże ozdobione było dwoma kartuszami, trzymanemi przez dwie kobiety, ubrane w wąskie chusty i rozpościerające ręce jak skrzydła.

— Cóż to! — rzekł doktor, zaczerpnąwszy oddechu u stóp schodów i widząc, że podziemie ciągnie się coraz dalej, — schodzimy więc do środka ziemi? Upał wzmaga się tak niesłychanie, że jesteśmy chyba niedaleko od miejsca pobytu potępieńców.

— Trzymali się pewnie, żłobiąc, linji żyły wapiennej — zauważył lord Evandale, — która idzie w głąb, według prawa falowań geologicznych.

Gdy skończyły się stopnie, zaczęło się inne przejście, dosyć spadziste. I tutaj mur był pokryty mało-widłami, wśród których można było rozróżnić szereg scen alegorycznych, objaśnianych niewątpliwie przez hieroglify, wypisane poniżej sposobem legendy. Ten fryz ciągnął się wzdłuż całego przejścia, niżej zaś wi-



dniały figurki w adoracji przed świętym skarbeuszem i symbolicznym wężem, pomalowanym na lazur.

Wychodząc z korytarza fellah, niosący pochodnię, rzucił się w tył nagłym ruchem.

Droga urywała się niespodzianie i na powierzchni ziemi rozwierała się czarna, kwadratowa paszcza studni.

— Tu jest studnia, panie, — rzekł fellah do Argyropulosa; — co począć?

Greki kazał sobie podać pochodnię, potrząsnął nią, żeby ją lepiej rozżarzyć, i rzucił w ciemną paszczę studni, pochylając się ostrożnie nad otworem.

Pochodnia spadła, wirując i sycząc; niebawem odezwał się głuchy odgłos, poczem sypnęły się iskry, uniósł się obłok dymu i płomień zajaśniał nanowemu, a otwór studni błyszczał, jak krwawe oko cyklopa.

— Te labirynty, przerywane ciemnicami, — zauważył młody lord, — powinny były ostudzić gorliwość złodziejów i uczonych.

— Nie ostudziły jednak, — odpowiedział doktor; — jedni szukają złota, drudzy prawdy, dwóch najcenniejszych rzeczy na świecie.

— Przynieście sznur z węzłami, — krzyknął Argyropulos do swoich Arabów; — wypróbujemy i zbadamy ściany studni, bo ta pieczara przedłuża się z pewnością jeszcze znacznie dalej.

Ośmiu czy dziesięciu ludzi zaprzęgå się, dla przeciwagi, do jednego końca sznura, Argyropulos zaś, ze zwinnością małpy, lub gimnastyka z zawodu, za-

wiesił się u drugiego końca i spuścił się do studni na głębokość piętnastu metrów, mniej więcej, trzymając się rękoma węzłów, a piętami odbijając o ściany.

Skąła odpowiadała wszędzie dźwiękiem matowym i pełnym; Argyropulos spuścił się tedy na dno studni, ale i tu, gdy uderzał gałką swego kandżaru, zwarta skąła nie wydawała pożądanego odgłosu.

Evandale i Rumphius, rozgorączkowani niecierpliwą ciekawością, schylali się na brzegu studni, nie bacząc, że mogli wpaść głową na dół, i śledzili poszukiwania Greka.

— Trzymajcie mocno tam w górze! — krzyknął nakoniec Grek, zmęczony daremnymi zabiegami, chwycił oburącz za sznur i zaczął się podciągać do góry.

Cień Argyropulosa, oświetlony od dołu pochodnią, która ciągle jeszcze płonęła na dnie studni, padał na sufit, zarysowując sylwetkę bezkształtnego ptaka.

Na smagłej twarzy Greka malował się żywo doznany zawód; gryzł wargi pod wąsem.

— Ani znaku najmniejszego przejścia! — zawołał, — a jednak pieczara tu kończyć się nie może.

— Chyba — wtrącił Rumphius, — że Egipcjanin, który kazał robić dla siebie ten grobowiec, umarł w jakimś odległym powiecie, będąc w podróży lub na wojnie, i że zaniechano dalszych robót, co się zdarzało.

— Miejmy nadzieję, że, szukając usilnie, znajdziemy jakieś wejście potajemne, — rzekł lord Evan-

dale; — w przeciwnym razie spróbujemy przebić galerję poprzeczną przez górę.

— Ci przekłęci Egipcjanie z niesłychaną chytrością umieli ukrywać wejście do swoich siedzib grobowych! nie wiedzieli już co wymyśleć, żeby wprowadzić w błąd biedny świat, i możnaby mniemać, że śmieli się zgóry ze zmieszania i zakłopotania poszukiwaczy, — mruczał Argyropulos.

Zbliżywszy się na brzeg otchłani, Grek wodził baczenie wzrokiem, przesywającym, jak wzrok ptaka nocnego, ściany izdebki, która tworzyła część górną studni. Nie dostrzegł nic, prócz zwykłych wyobrażeń psystazji, sędziego Ozyrysa, siedzącego na tronie w uświęconej postawie, i trzymającego w jednej ręce kij, a w drugiej bat, oraz boginie Sprawiedliwości i Prawdy, prowadzące ducha nieboszczyka przed trybunał w Amenti.

Naraz widocznie jakaś nagła myśl przyszła mu do głowy i odwrócił się: stare doświadczenie przedsiębiorcy poszukiwań przypomniało mu wypadek, mniej więcej podobny, a zresztą chęć zarobienia tysiąca gwinei lordowskich pobudzała jego bystrość; wziął drąg z rąk fellaha i zaczął, cofając się, uderzać silnie na prawo i na lewo w powierzchnię skały, nie bacząc już, że może strzaskać jaką płytę z hieroglifami i odłamać dziób krogulca, lub skrzydło świętego skarabeusza.

Mur badany odpowiedział w końcu na pytania młotka i zadźwiewał pustym tonem.

Z piersi Greka wyrwał się okrzyk tryumfu, a oko jego roziskrzyło się.

Uczony i lord klasnęli w dłonie.

— Kopać tutaj, — rzekł do swoich ludzi Argypulos, odzyskawszy wnet zimną krew.

Niebawem dokonany został wyłom, przez który człowiek mógł przejść. Galerja, okalająca we wnętrzu góry przeszkodę w postaci studni, stawiającą opór profanatorom, prowadziła do sali kwadratowej, gdzie niebieski sufit spoczywał na wielkich kolumnach, ozdobionych postaciami barwy czerwonej, w białych chustach, które tak często na freskach egipskich przedstawione są tułowiem od przodu, a głową z profilu.

Sala ta przylegała do sali innej, wyższej i podtrzymanej tylko dwiema kolumnami. Różne sceny — łożo mistyczna, wół Apis, niosący mumję ku sferom Zachodu, sądzenie duszy i ważenie czynów nieboszczyka na ostatniej wadze, ofiary, składane bóstwom żalobnym — zdobiły kolumny i salę.

Wszystkie te figuracje wykonane były w płasko-rzeźbie, pociągnięciem, głęboko żłobionem, ale pędzel malarza nie dokończył i nie uzupełnił dzieła dłuta. Ze starannej i wytwornej roboty można było sądzić o doniosłym znaczeniu osoby, której grób usiłowano ukryć przed ludźmi.

Po kilku minutach poświęconych przyglądaniu się tym rzeźbom, zarysowanym z całą czystością przepysznego stylu egipskiego epoki klasycznej, poszukiwacze spostrzegli, że sala nie ma wyjścia, że dotarli do

pewnego rodzaju ślepego zaułka. Powietrze tu było bardzo rozrzedzone; pochodnie płonęły z trudnością w atmosferze, której upalne gorąco potęgowały, a dym ich skłębiał się w obłoki; Grek wpadł w czarną rozpacz, ale to nic nie pomagało. Rozpoczęto na nowo badanie ścian, wszakże bez żadnego wyniku; góra pełna, zwarta, wydawała wszędzie dźwięki matowe; nigdzie najlżejszego pozoru drzwi, korytarza lub jakiegokolwiek otworu!

Lord był widocznie zniechęcony, a chude ręce uczonego obwisły bezwładnie wzdłuż ciała. Argyropoulos, w obawie o swoje dwadzieścia pięć tysięcy franków, ujawniał coraz dzikszą rozpacz. Wszelako trzeba było się cofnąć, bo gorąco stawało się już istotnie nie do zniesienia.

Całe grono przeszło tedy z powrotem do sali pierwszej i tam Grek, który nie mógł się pogodzić z tem, żeby prysły jego sny o złocie, zaczął badać z najściślejszą uwagą i drobiazgowością słupy i kolumn, chcąc się przekonać, czy nie ukrywały jakiego podejścia, nie zasłaniały jakich spuszcanych drzwi, które się ukazały po ich usunięciu; w rozpacz swojej bowiem łączył rzeczywistość architektury egipskiej z urojeniami budowlami bajek arabskich.

Kolumny, wykute w samej górze, wraz z salą, stanowiły jedną z nią całość i trzeba by było podłożyć minę, żeby je zachwiać.

Wszelka nadzieja była stracona!

— Jednakże, — odezwał się Rumphius— niewyżłobiono tego labiryntu dla zabawki. Musi tu być

gdzieś przejście podobne do tego, jakie okrąża studnię. Prawdopodobnie nieboszczyk w obawie, aby mu żaden natręt nie zakłócił spokoju, kazał się dobrze ukryć; ale wytrwałość doprowadzi wszędzie. Może płyta, zręcznie osłonięta, której pył, rozproszony po ziemi, nie pozwala dostrzedz spojenia, zakrywa zejście, prowadzące bezpośrednio do sali żałobnej.

— Masz słuszność, kochany doktorze, — rzekł Evandale; — ci przekłęci Egipcjanie spajają kamienie, jak zawiasy angielskich spuszcanych drzwi; szukajmy jeszcze.

Myśl uczonego wydała się rozsądna Grekowi, który zaczął chodzić dokoła i kazał tak samo chodzić swoim fellahom, uderzając piętami we wszystkie kąty i zakątki sali.

Nakoniec, nieopodal trzeciej kolumny, wprawne ucho Greka pochwyciło głuchy odgłos; rzucił się więc na kolana, by zbadać miejsce, zmiatając łachmanem burnusa, jaki mu narzucił jeden z Arabów, nieuchwytny pył, przesiewany przez trzydzieści pięć wieków w ciemności i ciszy; niebawem zarysowała się czarna linja, cienka i wyraźna, jak linja, nakreślona na planie architekta, która, jak wykazało dalsze badanie, odcinała na ziemi płytę podłużną.

— A co, nie mówiłem wam, — zawołał rozentuzjzmowany uczonego, — że podziemie nie może zakończyć się w ten sposób!

— Mam doprawdy skrupuły, — odezwał się lord Evandale z typową dziwną flegmą brytańską, — że zakłócamy ostatni sen ziemskiej powłoki niezna-

mego, który taki był pewien, że będzie odpoczywał w spokoju po wszystkie wieki. Gospodarz tej siedziby mógłby się doskonale obejść bez naszej wizyty.

— Tembardziej, że brak jest trzeciego, któryby nas prawidłowo przedstawił, — odparł doktor; — ale, uspokój się, milordzie, żyję tak dawno w epoce Faraonów, że mogę cię zaprezentować znakomitej osobie, zamieszkującej ten pałac podziemny.

Wsunięto śpiczaste drągi w wąską szczelinę i płyta, kilkakrotnie podważona, zachwiała się wreszcie i uniosła.

Niecierpliwi podróżni ujrzeli przed nogami swemi schody, o stopniach wysokich, stromych, wiodące w ciemną głąb, i weszli na nie w nieładzie. Po stopniach nastąpiła galerja, malowana po obu stronach w figury i hieroglify; kilka stopni ukazało się jeszcze na końcu galerji, prowadzącej do krótkiego korytarza, a raczej przedsionka sali, w tym samym stylu co pierwsza, ale większej i podtrzymanej przez sześć kolumn, wykutych z masy samej góry. Ornamentacja tej sali była bogatsza, a zwykle motywy malowideł żałobnych mnożyły się tu na tle barwy żółtej.

Na prawo i na lewo widniały w skale dwie małe krypty, czy komnaty, zapełnione figurkami żałobnemi z gliny emaljowanej, z bronzu i sykomoru.

— Oto jesteśmy w przedsionku sali, w której powinien się znajdować sarkofag! — zawołał Rumphius, ukazując poniżej okularów, które podsunął w górę na czoło, jasno-szare oczy, roziskrzzone radością.

— Dotychczas, — rzekł Evandale, — Grek dotrzymał obietnicy: jesteście niezaprzeczenie pierwsi żywi, którzy wtargnęli tutaj, od czasu kiedy w tym grobie umarli, kimkolwiek jest, został złożony na wieczność.

— O! musiał to być ktoś potężny, — odparł doktor, — król lub, conajmniej, syn króla; powiem wam to później, milordzie, gdy odcyfruję jego kartusz; ale wejdźmy najpierw do tej sali, najpiękniejszej, najważniejszej, którą Egipcjanie określili mianem *Sali złoconej*.

Lord Evandale wszedł pierwszy, poprzedzając o kilka kroków uczonego, który był powolniejszy albo może tylko chciał, przez uprzejmość, zostawić pierwszeństwo odkrycia młodemu lordowi.

W chwili przekroczenia progu, lord pochylił się jakgdyby coś niespodziewanego uderzyło jego wzrok.

Jakkolwiek przyzwyczajony nie ujawniać swoich wzruszeń, niema bowiem nic przeciwniejszego przepisom wyższego dobrego tonu, niż uznanie siebie, drogą zdziwienia lub podziwu, za niższego od czegokolwiek, młody arystokrata nie mógł powstrzymać przeciągłego *oh!*, modulowanego na sposób jaknajbardziej brytański.

A oto, co wyrwało okrzyk z piersi najdoskonalszego dżentlmena trzech zjednoczonych królestw.

Na miałkim pyle, który pokrywał ziemię, zarysowywał się bardzo wyraźnie, ze wszystkimi palcami i piętą, odcisk stopy ludzkiej; stopy ostatniego kapłana, lub ostatniego przyjaciela, który wyszedł stąd

tysiąc pięćset lat przed Chrystusem, oddawszy zmarłemu cześć należną. Pył, taki wieczny w Egipcie, jak granit, wymodelował ten ślad i zachował go od trzydziestu wieków przeszło, jak błota z czasów potopu zachowują lądy nóg zwierząt, które po nich deptały.

— Spójrzysz, doktorze,—rzekł Evandale do Rumphiusa, — na ten odcisk stopy ludzkiej, skierowanej ku wyściu z grobowca. W jakiej pieczarze grobowej łańcucha libijskiego spoczywa skamieniałe ciało tego, który ten ślad odcisnął?

— Kto to wie? — odparł uczony; — w każdym razie ten lekki ślad, który lada powiew mógł zdmuchnąć, trwał dłużej niż cywilizacje, niż cesarstwa, niż religje, a nawet i pomniki, uważane za wieczne; prochy Aleksandra oblepiają może otwór w beczce piwa, według słów Hamleta, a krok tego nieznanego Egipcjanina trwa w progu grobowca!

Podnieceni ciekawością, która nie pozwalała im na długie rozważania, lord i doktor wtargnęli do sali, bacząc wszakże, aby nie zatrzeć zdumiewającego śladu.

Niewzruszony Evandale doznał wchodząc osobliwego wrażenia.

Zdawało mu się, według wyrażenia Shakespeare'a, że „koło czasu wyszło ze swojej kolei“: zatarła się w nim świadomość życia nowoczesnego. Zapomniał o Wielkiej Brytanji i o nazwisku swoim, zapisaniem w złotej księdze arystokracji, i o swoich zamkach w Lincolnshire, i o swoich pałacach na West-Endzie, i o Hyde-Parku, i o Piccadilly, i o *drawing room'ach*

królowej, i o klubie Jachtowym, i o tem wszystkim, co stanowiło jego istnienie angielskie. Niewidzialna ręka odwróciła klepsydrę wieczności, a wieki, które spadały, jak godziny, ziarnko po ziarnku, wśród pustki i ciemności, zaczęły spadać na nowo.

Historji nie było, — jakby nic nie zdarzyło się i nie zaszło: Mojżesz żył, Faraon panował, on zaś, lord Evandale, był niejako zmieszany, że nie przywdział peruki z welonem, napierśnika z emaljami, a wąska chusta nie obciskała jego bioder, w tym jedynie stroju mógł bowiem stanąć przed mumją królewską. Jakkolwiek sala nie była bynajmniej ponura, ogarniała go poniekąd zgroza religijna, w obec pogwałcenia tego pałacu śmierci, bronionego tak starannie przeciw profanatorom. Zamach wydał mu się naraz bezbożny i świętokradzki. „Gdyby tak Faraon powstał ze swego łoża i uderzył mnie berłem!“, powiedział sobie i przez chwilę miał ochotę, uniesiony nawpół całun, opuścić na trupa tej umarłej cywilizacji starożytnej; ale doktor, ogarnięty zapalem naukowym, był daleki od podobnych refleksyj i zawołał donośnym głosem:

— Milordzie, milordzie, sarkofag jest nietknięty!

Te słowa przywróciły lordowi Evandale'owi poczucie rzeczywistości. Błyskawicznym rzutem myśli przekroczył trzy tysiące pięćset lat, w które cofnęło go marzenie, i odparł:

— Naprawdę, doktorze, nietknięty?

— Co za szczęście niesłychane! cudowny traf!

nieoszacowana zdobycz! — ciągnął dalej doktor, nie posiadając się z radości.

Na widok zachwyty doktora, ogarnęły Argyropulosa wyrzuty sumienia, — jedyne zresztą, jakie mógł odczuć, — że zażądał tylko dwadzieścia pięć tysięcy franków. „Byłem naiwny“, powiedział sobie; „nie zdarzy mi się to już nigdy; ten milord mnie okradł.“

I przyrzekł sobie, że się na przyszłość poprawi.

Chcąc dać cudzoziemcom możność podziwiania piękności widoku, fellahowie zapalili wszystkie pochodnie. A widok był istotnie osobliwy i wspaniały! Galerje i sale, prowadzące do sali, gdzie mieścił się sarkofag, mają sufity płaskie i nie przekraczają wysokości ośmiu do dziesięciu stóp; wszakże sanktuarjum, do którego zmierzają te labirynty, ma zupełnie inne proporcje. Lord Evandale i Rumphius osłupieli z podziwu, jakkolwiek znali już grobowy przepych sztuki egipskiej.

Ozdobiona również malowidłami, sala złożona roziskrzyła się i poraz pierwszy może barwy tych malowideł zajaśniały w całym blasku. Czerwień, błękit, zieleń, biel dziewiczej świeżości, czystości nieporównanej, odcinały się na pokoście złocistym, stanowiącym tło dla figur i hieroglifów, i chwytaly wzrok, zanim zdołał odróżnić tematy, które się składały na całość.

Zrazu można było myśleć, że to olbrzymia przebogata tkanina; na sklepieniu, wysokiem na trzy-

dzieści stóp, widniało, niby *velarium*, lazurowe, obramowane długimi, żółtymi palmetkami.

Na płaszczyznach ścian rozpościerała się olbrzymia, symboliczna tarcza słoneczna, a kartusze królewskie zaznaczały swoje zarysy. Dalej Izyda i Neftyda wyciągały ręce, ozdobione piórami, jak skrzydła. Ureusze *) wydymały niebieskie gardziele, skarabeusze próbowały rozwinąć skrzydła, bogowie o głowach zwierzęcych, nastawiali uszy szakale, ostrzyli dzioby krogulcze, marszczyli psie pyski, wsuwali w ramiona szyje sępów, lub węzów, jakgdyby byli żywi. Czółna mistyczne przesuwaly się, ciągnięte przez figury w pozach sztywnych, o ruchach kancjastych, albo płynęły na wodach, falujących symetrycznie, kierowane przez wioślarzy nawpół nagich.

Kłęczące płaczki, z ręką, złożoną na niebieskiej fryzurze, na znak żałoby, odwracały się ku katafal-kom, zaś kapłani, z ogoloną głową, ze skórą lamparcią na ramieniu, palili kadzidła pod nosem nieboszczyków, przemienionych w bogów. Inne postacie ofiarowywały duchom żałobnym lotosy rozkwitłe, lub w pączkach, rośliny cebulkowate, drób, ćwiartki antylopy i dzbany z winem. Bezgłowe boginie sprawiedliwości przyprowadzały przed Ozyrysów, o rękach, ujętych w zarysy nieugięte, którzy siedzieli w asystencji czterdziestu dwóch, skulonych w dwóch szeregach, sędziów z Amenti o głowach, zapożyczonych

*) Ureusz — wąż metalowy, oznaka władzy królewskiej. (Przyp. tłum.)

u wszystkich przedstawicieli zoologii i ozdobionych piórem strusiem.

Wszystkie te figury, okolone kreską, wyżłobioną w wapieniu i upstrzone niesłychanie żywymi barwami, cechowało owo życie i ruch skamieniały, owa moc tajemnicza sztuki egipskiej, skrępowanej przepisami kapłańskimi, podobnej do człowieka z zatkanymi ustami, który usiłuje wyznać swą tajemnicę.

Na środku sali wznosił się wspaniały sarkofag, wyciosany z olbrzymiego bloku czarnego bazaltu, zamknięty wiekiem z tego samego kamienia, wyrzeźbionem w kształcie grzbietu osła. Cztery strony żalobnego monolitu pokryte były postaciami i hieroglifami, wyrzniętymi tak kunsztownie, jakby na drogim kamieniu w pierścionku, pomimo, że Egipcjanie nie znali żelaza i że bazalt opiera się najtwardszej stali. Wyobraźnia gubi się w domysłach, chcąc dociec, w jaki sposób ten przedziwny naród zdołał pisać na porfirze i na granicie, jak rylcem na tabliczkach woskowych.

Na rogach sarkofagu stały cztery wazon-y z alabastru wschodniego, o najwytworniejszych i najczystszych zarysach, których rzeźbione pokrywy wyobrażały głowę ludzką Amseta, głowę psią Hapiego, głowę szakałą Sumautfa, głowę krogulczą Kebsbnifa; wazon-y te zawierały wnętrzości mumji, zamkniętej w sarkofagu. W głowach nagrobka wyobrażenie Ozyrysa z brodą, splecioną w warkocz, czuwało nad snem zmarłego. Dwa kolorowe posągi kobiet wznosiły się z prawej i z lewej strony grobowca, podtrzymując

jedną ręką na głowie szkatułkę kwadratową, drugą zaś, opartą na biodrze, puhar od wina. Jedna ubrana była w skromną białą spódnicę, oblepiającą biodra i zawieszoną na skrzyżowanych szelkach; druga, w stroju bogatszym, obciśnięta była w bluzę bardzo wąską, upstrzoną łuskami czerwonymi i zielonymi.

Obok pierwszej widać było trzy dzbany, pierwotnie napełnione wodą z Nilu, która wyparowała, pozostawiając po sobie muł; nadto półmisek, a na nim wyschłe ciasto.

Obok drugiej — dwa małe stateczki, podobne do modeli okrętów, wyrabianych w portach nadmorskich, przypominały dokładnie, ten w najdrobniejszych szczegółach łodzie, przeznaczone do przewożenia dusz z Diospolisu do Memnonij *); tamten — nawę symboliczną, która przenosi dusze do sfer Zachodu. Nie zapomniano o niczem, ani o masztach, ani o sterze, wyobrażonym przez długie wiosło, ani o pilocie, ani o wioślarzach, ani o mumji, otoczonej płaczkami i złożonej na łożu o lwich łapach, ani o alegorycznych postaciach bóstw żałobnych, spełniających swoje święte czynności.

Łodzie i osoby namalowane były żywymi barwami, a na obu bokach przodu łodzi, zakończonego podobnie, jak tył, podniesionym dziobem, otwierało się wielkie oko ozyrysowe, wydłużone antymonem; czaszka i kości wołowe, rozsypane tu i owdzie, świad-

*) Memnonje — dzielnice grobowców królewskich, które stanowiły osobne miasto w obrębie Teb (Przyp. tłum.)

czyły, że złożono ofiarę, dla ubłagania zawistnego losu, by niczem nie zakłócił spokoju zmarłego. Szkatułki, malowane i ozdobione hieroglifami, stały na grobowcu, na stolikach trzciniowych leżały jeszcze dary żałobne; wszystko w tym pałacu śmierci pozostało nietknięte od dnia, w którym mumja, w powłoce swojej i w dwóch trumnach spoczęła na łożu bazaltowem. Nawet robak grobowy, który umie tak dobrze torować sobie drogę poprzez najszczelniej zamknięte trumny, zawrócił, zrażony ostrą wonią smółca i ziół pachnących.

— Czy otworzyć sarkofag?— spytał Argyropulos, pozwoliwszy lordowi Evandale i Rumphiusowi podziwiać przez dłuższą chwilę przepych sali złoconej.

— Naturalnie,— odparł młody lord,— ale uważajcie, żeby nie uszkodzić brzegów wieka przy wsuwaniu drągów; chcę bowiem zabrać ten grobowiec i ofiarować go w darze Muzeum Brytańskiemu.

Wszyscy zabrali się do poruszenia z miejsca monolitu; ostrożnie wsunęli kliny drewniane i, po kilku minutach wspólnych wysiłków, olbrzymi gładz ustąpił i zesunął się na przygotowane podpory. W otwartym sarkofagu ukazała się pierwsza trumna, zamknięta hermetycznie. Była to skrzynia, ozdobiona małowidłami i złoceniami, kwadracikami symetrycznymi, palmetkami i hieroglifami. Po usunięciu wieka, Rumphius, pochylony nad sarkofagiem, wydał okrzyk zdumienia, ujrzawszy zawartość trumny:

— Kobieta! kobieta!—krzyknął, poznawszy płeć

mumji po braku brody ozyrysowej i po kształcie włosów.

Grek również wydawał się zdumiony; na podstawie długoletniego doświadczenia poszukiwacza, rozumiał całą niezwykłość podobnego odkrycia. Dolina Biban-el-Moluk zawiera jedynie groby królów. Nekropol królowych położony jest dalej, w innym wąwozie góry. Grobowce królowych są bardzo skromne i składają się zazwyczaj z dwóch, lub trzech korytarzy oraz z jednej lub dwóch komnat. Kobiety na Wschodzie były zawsze uważane za istoty niższe od mężczyzny, nawet po śmierci. Większość tych grobowców, pogwałconych w bardzo starożytnych czasach, służyła za przytułek mumjom bezkształtnym, niedbale zabalsamowanym, na których widać było jeszcze ślady trądu i elefantjasis. Jakim zbiegiem okoliczności, jakim cudem, ta trumna kobieca znalazła się w tym sarkofagu królewskim, wśród tej pieczary pałacowej, godnej najznakomitszego Faraona!

— To przeczy — rzekł doktor do lorda Evandale'a — wszystkim moim wiadomościom, wszystkim moim teorjom i obala systemy najszlachetniej oparte na egipskich obrządkach pogrzebowych, tak ściśle przestrzeganych od tysięcy lat! Stoimy prawdopodobnie wobec jakiegoś punktu ciemnego, jakiejś tajemnicy, która zaginęła w biegu dziejów. Kobieta wstąpiła na tron Faraonów i rządziła Egiptem. Nosiła imię Tahoser, jeżeli mamy wierzyć kartuszom, wyrytym na napisach wcześniejszych; przywłaszczyła sobie grobowiec tak samo, jak tron, a może też

jeszcze inna kobieta ambitna, której wspomnienia historia nie zachowała, ponowiła jej zamach.

— Nikt lepiej od pana nie zdoła rozstrzygnąć tego trudnego zagadnienia, — odparł lord Evandale; — zabierzmy tę pełną tajemnic skrzynię do naszej łodzi, gdzie obnażysz doktorze, z całą swobodą ten dokument historyczny i odgadniesz niewątpliwie zagadkę, zawartą w tych krogulcach, tych skarabeuszach, tych kłęzących postaciach, tych linjach zębatach, tych ureuszach skrzydlatych, które odczytujesz równe biegle, jak wielki Champollion.

Fellahowie, pod wodzą Argyropulosa, wzięli na ramiona olbrzymią skrzynię i mumja, odbywając w odwrotnym kierunku przejażdżkę pogrzebową, którą odbyła za czasów Mojżesza, w łodzi malowanej i złoconej, poprzedzona długim orszakiem, przybyła niebawem do łodzi, stojącej na kotwicy na Nilu i została umieszczona w kabynie, dosyć zbliżonej do kabiny łodzi żałobnej; w kształtach bowiem bardzo małe zachodzą zmiany w Egipcie.

Argyropulos, ułożywszy dokoła skrzyni wszystkie przedmioty, przy niej znalezione, stanął w drzwiach kabiny, w postawie wyczekującej, a pełnej szacunku. Lord Evandale zrozumiał i kazał mu wypłacić przez swego kamerdynera dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Otwarta trumna, ustawiona na kozłach drewnianych, na środku kabiny, lśniła blaskiem takim żywym, jakgdyby farby na jej ozdobach były nałożone

dnia poprzedniego, i osłaniała mumję w powłoce przebogatej i wytwornie wykończonej.

Nigdy starożytny Egipt z większą starannością nie spowił dziecięcia swego do snu wieczystego. Jakkolwiek żaden kształt nie był zaznaczony, w tym grobowym Hermesie, zakończonym jak pokrowiec, z którego wydobywały się tylko ramiona i głowa, niemniej można było domyślać się pod tą grubą osłoną ciała młodego i pełnego wdzięku. Maską wyzłoconą, podługowate oczy, okolone czernidłem i ożywione emalją, nos, o nozdrzach delikatnie wyciętych, zaokrąglone policzki, usta pełne i uśmiechnięte nieopisanym uśmiechem sfinksa, podbródek, za krótki może ale niesłychanie wytworny w zarysie, wyobrażały najczystszy typ ideału egipskiego i świadczyły setkami szczegółików charakterystycznych, których sztuka wymyśleć nie zdoła, że to indywidualne oblicze portretu. Mnóstwo warkoczyków splecionych bardzo ściśle i rozdzielonych przepaskami, spadało obfitą masą z obu stron maski. Łodyga lotosu, zaczynając się od karku, zginała się, zaokrąglając nad głowę i otwierała kielich lazurowy na matowym złocie czoła, dopełniając, wraz z zawojem żałobnym, fryzury, równie bogatej jak eleganckiej.

Szeroki naszyjnik z płytek emaljowanych i nabijanych nitkami złotymi, spadał w kilku rzędach, ukazując, niby dwa puhary złote, czysty i silny zarys dwóch piersi dziewiczych.

Na łonie, ptak święty o głowie barana, niosąc na rogach czerwoną tarczę słońca zachodniego i pod-

trzymywany przez dwa węże, strojne w pszent, zarysował się potworną sylwetką, pełną znaczenia symbolicznego. Niżej, na przestrzeniach wolnych od pręg poprzecznych i pomalowanych żywymi kolorami w paski, wyobrażające bandaże, krogulec Phre, uwieńczony dyskiem, z rozpostartymi skrzydłami, z ciałem, pokrytem symetrycznie piórami, z ogonem, rozłożonym, jak wachlarz, trzymał w szponach tajemnicze To, godło śmiertelności.

Bogowie żałobni o twarzy zielonej, pysku mały i szakala, ruchem, hieratycznie sztywnym, trzymali bat, kij, berło; oko ozyryjskie rozwierało źrenicę czerwoną, okoloną antymonem; żmije niebiańskie nadymały się, dokoła świętych dysków, postacie symboliczne wyciągały ręce, ozdobione piórami, a dwie boginie, początku i końca, z włosami, upudrowanemi proszkiem niebieskim, z popiersiem obnażonym, a resztą postaci obciśniętą w wąską spódnicę, kłęzczały, sposobem egipskim, na poduszkach zielonych i czerwonych, ozdobionych wielkimi żółdźdźkami.

Podłużny zwitek hieroglifów, idący od pasa do nóg, zawierał niewątpliwie pewne formuły rytuału żałobnego, albo raczej imiona i zalety zmarłej, co Rumphius postanowił rozstrzygnąć później.

Wszystkie te malowidła stylem rysunku, śmiałością linii, blaskiem kolorów wykazywały najoczywistszej, dla wprawnego oka, najpiękniejszy okres sztuki egipskiej.

Lord i uczony, przyjrząwszy się do syta pierw-

szej osłonie wydobyli mumję w powłoce ze skrzyni i ustawili ją przy ścianie kabiny.

Osobliwy widok przedstawiał ten powiatak w masce złoconej, stojący jak widmo zmaterializowane i przybierające fałszywą postawę życia, po długoletnim spoczynku w pozie poziomej na łożu bazaltowym w łonie góry, rozdartem przez bezbożną ciekawość. Dusza nieboszczki, która liczyła na spokój wieczny i tyle starań dołożyła, by uchronić swoją powłokę ziemską od wszelkiego gwałtu, wzruszyła się niezawodnie w zaświatach, w kręgu swych metamorfoz i podróży tem świętokradztwem.

Rumphius, uzbrojony w dłuto i młotek, dla rozłupania powłoki mumji, wyglądał jak jeden z owych duchów grobowych o masce zwierzęcej, które na malowidłach w hypogeach krążą dokoła zmarłych, by spełniać jakiś obrządek przerażający i tajemniczy; lord Evandale, spokojny, przyglądający się ze skupioną uwagą, podobny był, ze swym czystym profilem, do boskiego Ozyrysa, czekającego na duszę, by sąd o niej wydać, a jeżeli można porównanie posunąć dalej, jego *stick* przypominał berło, jakie trzyma bóg.

Po skończonej operacji, która zabrała sporo czasu, doktor bowiem nie chciał uszkodzić złocień, pudło, złożone na ziemi, rozłupało się na dwoje i mumja ukazała się w całym blasku tualety grobowej, zalotnie przystrojona, jakgdyby zamierzała uwodzić duchy państwa podziemnego.

Po otwarciu pudła rozszedł się po kabinie delikatny i rozkoszny zapach wonności, oleju cedrowego,

proszku sandałowego, myrry i cynamonu — ciała nieboszczki bowiem nie zanurzono w czarnym bitumie, jak trupy pospolite, które w nim kamienieją, lecz cała sztuka balsamiarzy, dawnych mieszkańców Memnionij, wysiliła się widocznie, by zachować te cenne zwłoki.

Siec wąskich bandażyków, z cienkiego płótna lnia- nego, pod któremi zaznaczały się niewyraźnie rysy twarzy, osłaniała głowę; wonna żywica, którą banda- żyki były przepojone, zabarwiła tkaninę pięknym pło- wym odcieniem. Począwszy od piersi, siatka z cien- kich niebieskich rurek szklanych, podobnych do ba- jórków dżetowych, służących do haftowania spódnic- zek hiszpańskich, krzyżowała swoje oczka, umo- cowane na przecięciu linji paciorkami połączanemi, a wydłużając się do łydek tworzyła całun śmiertelny, godny królowej; złote posążki czterech bogów z Amenti, lśniły się, umieszczone symetrycznie na górnym brzegu siatki, zakończonej u dołu ornamen- tami, najczystsze- go stylu. Pomiędzy postaciami bo- gów żałobnych wydłużała się płyta złota, nad którą skarabeusze z lapis-lazuli rozpościerały długie po- łączone skrzydełka.

Pod głowę mumji umieszczono bogate zwiercia- dło z polerowanego metalu, jakgdyby dla dania duszy nieboszczki możności przypatrywania się podczas długiej nocy grobowej widmu własnej piękności. Obok zwierciadła szkatułka z gliny emaljowanej, wy- twornej roboty, zawierała napierśnik, złożony z obrą- czek z kości słoniowej, oraz paciorków złożonych, z la-

pis-lazuli i krwawnika. Wzdłuż zwłok umieszczono wąską miednicę kwadratową z drzewa sandałowego, w której nieboszczka, za życia, spełniała swoje wonne ablucje. Trzy wazy alabastrowe, przytwierdzone do dna trumny, podobnie jak mumja, pokładem natronu, zawierały: dwa pierwsze wonne olejki, których zapach jeszcze się zachował, zaś trzecia, proszek antymonowy i maleńki szpachtel do zabarwiania brzegów powiek, oraz przedłużania zewnętrznego kącika oka, stosownie do starożytnego zwyczaju egipskiego, uprawianego jeszcze w naszych czasach przez kobiety na Wschodzie.

— Wzruszający to zwyczaj, — odezwał się doktor Rumphius, rozentuzjasmowany widokiem tych skarbów, — tak składać do grobu wraz z młodą kobietą cały zalotny arsenał jej stroju! bo to napewno kobietę młodą owijają te bandaże płócienne, poźółkłe od olejków i wpływu czasu; wobec Egipcjan jesteśmy, doprawdy, barbarzyńcami; pochłonięci przez brutalne życie, zatraciliśmy subtelne poczucie śmierci. Ile tkliwości, ile żalu, ile miłości ujawnia ta drobniagowa troskliwość, niesłychana ostrożność, ta staranność zbyteczna, której nikt nigdy widzieć nie miał, te pieszczoty, składane pozbawionym czucia zwłokom, ta walka dla wyrwania zniszczeniu ubóstwianego kształtu i zwrócenia go, nienaruszonego, duszy w dniu połączenia ostatecznego!

— Może, — odparł lord Evandale w zamyśleniu — nasza cywilizacja, którą uważamy za najwyższą, jest tylko głęboką dekadencją, nie mającą już nawet

historycznego wspomnienia olbrzymich zaginionych społeczeństw. Jesteśmy głupio dumni z kilku pomysłów mechanizmów, świeżo wynalezionych, i nie myślimy o niesłychanym przepychu, o nieziszczalnych dla żadnego narodu, potęgach starożytnej ziemi Faraonów. Mamy parę; ale para jest mniej potężna niż myśl, która wznosiła piramidy, żłobiła hypogea, ciosała skały w sfinksy, w obeliski, pokrywała sale jednym głazem, którego wszystkie nasze maszyny nie zdołałyby ruszyć z miejsca, rzeźbiła kaplice z monolitu i umiała bronić przed nicością kruchą powłokę ludzką, bo miała takie silne poczucie wdzięczności!

— O! Egipcjanie—rzekł Rumphius, uśmiechając się, — byli genialnymi architektami, zdumiewającymi artystami, głębokimi uczonymi; kapłani z Memfisu i Teb stali wyżej nawet od naszych erudytów niemieckich, a pod względem symboliki dorównywali niejednemu Creuzer'owi; ale my w końcu odcyfrujemy ich księgi czarnoksiężskie i wydrzemy im ich tajemnice. Wielki Champollion dał nam ich alfabet, my zaś będziemy czytali biegle ich księgi granitowe. Tymczasem rozbierzmy z całą możliwą delikatnością tę młodą piękność, trzykrotnie tysiącletnią.

— Biedna *lady!*—szepnął do siebie młody lord—oczy profanów oglądać będą te wdzięki tajemnicze, których nie znała może nawet miłość. O! tak, pod czczym pozorem nauki jesteśmy tacy dzicy, jak Persowie Kambyzesa i, gdybym się nie obawiał doprowadzić do rozpaczyny tego zacnego doktora, zamknął-

bym cię z powrotem, nie podnosząc twojej ostatniej osłony, w potrójnej skrzyni twoich trumien!

Rumphius wyjął z powłoki mumję, która nie ważyła więcej, niż ciało dziecka, i zaczął ją rozwijać zręcznie i lekko, jak matka, pragnąca przewietrzyć członki swego niemowlęcia; zdjął najpierw osłonę z płótna zeszytego, przesyconego winem palmowym, oraz szerokie bandaże, owijające w odstępach korpus, potem dotarł do końca bandaża wąskiego, który w nieskończonych skrętach okalał członki młodej Egipcjanki; najsprawniejszy taryszeuta z miasta umarłych nie mógłby zręcznie nawijać bandaża, wydobywając go ze wszystkich załamów postaci.

W miarę, jak robota postępowała, mumja, wyswobodzona z grubszych warstw, jak posąg, który rzeźbiarz ciosa w bloku marmurowym, wyłaniała się coraz smuklejsza. Po zupełnem odwinięciu bandaża, ukazał się inny, węższy, przeznaczony do ściślejszego jeszcze obciśnięcia kształtów. Bandażyk ten był z płótna takiego cienkiego, tak równo tkany, że mógłby wytrzymać porównanie z batysem i muślinem dni dzisiejszych. Uwydatniał dokładnie zarysy, okalając palce rąk i nóg, żłobiąc, jak maska, rysy twarzy, już prawie widoczne przez cienką tkaninę. Wonne oleje, któremi go przesycono, ukrochmaliły go poniekąd tak, że odwijając się pod dotknięciem palców doktora, wydawał lekki suchy szelest, jak rozdzierany lub gnieciony papier.

Pozostał tylko jeszcze jeden zwój do zdjęcia, a, jakkolwiek przywykły do podobnych operacji,

doktór Rumphius zawiesił na chwilę robotę, bądź przez pewne poszanowanie wstydlivości śmierci, bądź pod wpływem uczucia, powstrzymującego człowieka od odpieczętowania listu, od otwarcia drzwi, od podniesienia zasłony, co ukrywa tajemnicę, którą łaknie poznać, zaś przerwę tę położył doktór na karb zmęczenia; istotnie, pot spływał mu z czoła strumieniem, a on nie myślał nawet zetrzeć go swoją kapitałną chustką w niebieskie kraty. Zmęczenie jednak nie grało tu żadnej roli.

Wszelako umarła ukazywała się pod cienką tkaniną jak pod gazą, a nawet przeblyskiwały już tu i owdzie złocenia.

Po zdjęciu ostatniej zasłony młoda kobieta wyłoniła się w nieskażonej nagości pięknych kształtów, zachowawszy, pomimo tylu minionych wieków, całą okrągłość zarysów, całą giętkość i wdzięk czystych linji; poza jej, rzadka u mumji, była taka sama, jak poza Wenus Medycejskiej, jakgdyby balsamiarze nie chcieli nadawać temu przecudnemu ciału smutnej postawy śmierci i pragnęli złagodzić martwą sztywność trupa. Jedna ręka zmarłej zasłaniała nawpół łono dziewicze, druga zakrywała tajemnicze wdzięki, jakgdyby wstydlivość jej nie była dostatecznie zabezpieczona przez ochronne cienie grobowca.

Okrzyk podziwu wybiegł jednocześnie z ust Rumphiusa i Evandale'a na widok tego cudu.

Zarysów wytworniejszych nie miał nigdy żaden

posąg grecki ani rzymski; odrębne cechy ideału egipskiego nadawały nawet tej postaci, tak cudownie zachowanej, smukłość i lekkość, której nie posiadają marmurowe posągi starożytne. Maleńkie ręce o spiczasto zakończonych palcach, z paznokciami lśniącymi jak agat, wytworność wąskich stóp, cienkość kibici, kształt piersi, niewielkich, pełnych jak grona, łagodny zarys biodra, okrągłość uda, łydka długa, pięty subtelnie modelowane przypominały powiewny wdzięk muzykantek i tancerek na freskach, przedstawiających biesiady pogrzebowe w hypogeach tebańskich. Była to owa forma wdzięku jeszcze dziecięcego, a posiadającego już wszystkie uroki kobiece, które sztuka egipska wyraża z taką tkliwą słodyczą, bądź szybkim pędzlem na malowidłach ścian grobowców, bądź cierpliwem dłutem na opornym bazalcie.

Zazwyczaj mumje, przesycone bitumem i natronem, podobne są do czarnych widm, ciosanych w hebanie; rozkład nie może ich doścignąć ale brak im pozorów życia. Trupy nie zamieniły się w proch, z którego powstały, ale skamieniały pod ohydą postacią, na którą nie można patrzeć bez odrazy lub przerażenia. W danym wypadku zwłoki, przyrządzone starannie sposobami pewniejszemi, przewleklejszemi i kosztowniejszemi, zachowały elastyczność ciała, ziarnistość naskórka i koloryt niemal naturalny; cera, jasno-brunatna, miała złotawy odcień nowego brązu florenckiego, a ten gorący ton ambrowy, który podziwiamy na malowidłach Giorgona i Tycjana, przy-

dymionych werniksem, różnił się prawdopodobnie niewiele od cery młodej Egipcjanki za życia.

Głowa wydawała się raczej śpiąca niż umarła; z pod powiek, okolonych jeszcze długimi rzęsami, między kreskami antymonowemi oczy emaljowane lśniły wilgotnym połyskiem życia; zdawać się mogło, że, niby ze snu lekkiego, ockną się z uśpienia przeszło trzydziestowiekowego. Nos, cienki i delikatny, zachował swe czyste linje; najlżejsze zniekształcenie nie szpeciło policzków, zaokrąglonych, jak bok wazonu; usta, zabarwione bladą czerwiecią, zachowały niedostrzegalne zagięcia, na wargach, zmysłowo zarysowanych, igrał uśmiech melancholijny i tajemniczy, pełen słodyczy, smutku i uroku—ten uśmiech tkliwy i zrezygnowany, który takim rozkosznym grymasem osiada na ustach przepięknych głów na kanopach *) w muzeum Luwru.

Czoło gładkie i niskie, jak wymagają przepisy piękności starożytnej, okalały włosy czarne, barwy kruczej, splecione w mnóstwo cienkich warkoczyków, które spadały na ramiona. Dwadzieścia szpilek złotych, wpiętych w te warkocze, jak kwiaty we fryzurę balową, rozświecały błyszczącemi punktami gęste czarne włosy, takie obfite, że możnaby przypuszczać, iż są sztuczne. Dwa wielkie kolczyki, zaokrąglone jak maleńkie dyski, drgały żółtym blaskiem przy smagłych policzkach. Wspaniały naszyjnik, złożony

*) Kanopy — naczynia, w których przechowywano trzewia mumji. (Przyp. Tłom.)

z trzech rzędów bóstw i amuletów ze złota i drogich kamieni, otaczał szyję zalotnej mumji, a niżej, na piersi, spadały dwa inne naszyjniki, w których złote rozety oraz paciorki z lapis-lazuli i krwawnika ułożone były symetrycznie naprzemian z najwytworniejszym smakiem.

Pasek, tego samego, mniej więcej, wzoru, obcisnął smukłą kibić obręczą ze złota i kolorowych kamieni.

Bransoletka, z dwóch rzędów paciorków ze złota i z krwawnika, okalała dłoń lewą w kostce, a na lewym palcu wskazującym iskrzył się, tworząc pierścionek, maleńki skarabeusz z emalji, nabijanej złotem, zawieszony na łańcuszku złotym kunsztownej roboty.

Jakież osobliwe uczucie! znaleźć się wobec istoty ludzkiej, która żyła w epoce, kiedy Historia stawiała zaledwie pierwsze kroki, zbierając baśnie tradycji, wobec piękności, współczesnej Mojżeszowi, która zachowała jeszcze przedziwne kształty młodości; dotykać tej maleńkiej, miękkiej i przesyconej woniami rączki, na której składał może pocałunki jeden z Faraonów; gładzić te włosy, trwalsze od mocarstw, mocniejsze od pomników granitowych!

Na widok pięknej nieboszczki młodym lordem owładnęła owa żądza wsteczna, jaką budzi często widok posągu marmurowego lub obrazu, wyobrażającego kobietę z epoki minionej, słynną z urody; zdawa-

ło mu się, że, gdyby był żył przed trzema z górą tysiącami lat, pokochałby tę piękność, której nicosić nie chciała zniweczyć, a jego myśl sympatyczna dotarła może do zaniepokojonej duszy, krążącej dokoła swojej zbeszczeszczonej powłoki cielesnej.

Znacznie mniej poetyczny niż młody lord, uczony Rumphius sporządzał inwentarz klejnotów, nie zdejmując ich wszelako, albowiem Evandale pragnął, aby nie zabierać mumji tej drobnej i ostatniej pociechy; pozbawić klejnotów kobietę, nawet umarłą, to zabić ją poraz drugi! Nagle zwój papyrusowy, ukryty między łonem, a ręką mumji, uderzył wzrok doktora.

— Aha! — rzekł, — to pewnie egzemplarz rytuału pogrzebowego, który umieszczono w ostatniej trumnie, pisany z mniejszą lub większą starannością, stosownie do bogactwa i znaczenia osoby zmarłej.

I, z niesłychaną ostrożnością, zaczął rozwijać kruchy zwitek. Skoro jednak ukazały się pierwsze wiersze, na twarzy Rumphiusa odmalowało się zdziwienie; nie poznawał zwykłych figur i znaków rytuału: daremnie szukał w miejscu uświęconem winiet, wyobrażających pogrzeb i orszak żałobny, na czele tego papyrusu; nie znalazł też ani litanji stu imion Ozyrysa, ani przepustki duszy, ani supliki do bogów z Amenti.

Rysunki, odrębnego charakteru, zawierały sceny zupełnie odmienne, mające związek z życiem ludzkim, nie zaś z podróżą ducha w zaświaty. Rozdziały

lub alinea wykazywane były znakami nakreślonymi farbą czerwoną, widocznie dla odróżnienia ich od reszty tekstu, napisanego farbą czarną, i zwrócenia uwagi czytelnika na miejsca zajmujące. Napis, umieszczony na czelu, zawierał, jak się zdawało, tytuł pracy i nazwisko kronikarza, który ją skopjował lub napisał; przynajmniej zdawało się doktorowi, że to właśnie odcyfrował na pierwszy rzut oka.

— Stanowczo, milordzie, okradliśmy mości Argypulosa, — rzekł Rumphius do Evandale'a, zwracając mu uwagę na wszystkie różnice między znalezionym papyrusem a rytuałami zwykłymi. — Pierwszy to raz znaleziony został rękopis egipski, zawierający co innego, niż formuły hieratyczne! O! odcyfruję go, choćbym miał nad nim stracić oczy, choćby broda moja, niestrzyżona, miała trzykrotnie okrążyć moje biurko! Tak, wydrę ci twoją tajemnicę, niedostępny Egipcie; tak, poznam twoje dzieje, piękna nieboszczko, bo zawiera je napewno ten papyrus, przytulony do twego serca, twojem cudnem ramieniem! i okryję się sławą, i dorównam Champolion'owi, i przyprawię Lepsiusa o śmierć z zazdrości!

.

Doktor i lord powrócili do Europy; mumja, osłonięta nanowo wszystkimi bandażami i zamknięta ponownie w trzech trumnach, przebywa w parku lorda Evandale'a w Lincolnshire, złożona w sarkofagu bazaltowym, który lord kazał sprowadzić z wiel-

kim kosztem z Biban-el-Moluku, i — nie podarował muzeum Brytańskiemu. Niekiedy lord, oparty na sarkofagu, wpada w głęboką zadumę i wzdycha...

Po trzech latach zawziętej pracy, Rumphius zdołał odcyfrować tajemniczy papyrus, z wyjątkiem kilku rysunków zamazanych, lub zawierających znaki nieznane, i jego to przekład łaciński, przetłómaczony przez nas na język francuski, składamy czytelnikom pod tytułem: *Romans mumji*.

KONIEC PROLOGU.

I

Oph (nazwa egipska miasta, które w starożytności nazywano stubramnemi Tebami lub Diospolis Magna), leżało jakby w uśpieniu wśród pożerającego skwaru ołowianego słońca. Było południe; z bladego nieba padał biały blask na ziemię, omdlewającą od żaru; słońce, roziskrzzone odblaskami, lśniło jak polerowany metal, a cień zaznaczał u stóp budowli tylko cienką linię niebieską, podobną do kreski atramentowej, nakreślonej przez architekta na planie papyrusowym; domy, o murach zlekka skośnych, rozpalone były jak cegły w piecu; drzwi były pozamykane, w oknach, zasłoniętych sztorami trzcinowemi, nigdzie nie ukazywała się ludzka głowa.

Na końcu opustoszałych ulic i ponad tarasami, odcinały się na tle ziejącego żarem przezroczystego powietrza, wierzchołek obelisków, szczyt pylonów, tabulatura pałaców i świątyń, których kapitele, z twarzy ludzkich lub kwiatów lotosu, wyłaniały się w połowie, przecinając linje poziomego dachu, i wznosiły się, niby skały wśród morza budynków.

Tu i owdzie strzelał ponad mur ogrodu pokryty

łuskami pień palmy, zakończony wachlarzem liści, z których nie poruszał się ani jeden, gdyż najlżejszy powiew nie mącił atmosfery; akacje, mimozy i figowce Faraona pochyły się kaskadą listowia, rzucając wąski niebieski cień na olśniewający blask ziemi; te zielone plamy ożywiały i orzeźwiały uroczystą pustkę obrazu, który bez nich przedstawiałby widok miasta umarłych.

Tylko kilku niewolników z rasy Nahasi, o cerze czarnej, o twarzy małpiej i ruchach zwierzęcych, stawiając czoło żarowi dnia, wodę, czerpaną z Nilu, niosło do panów swoich w naczyniach zawieszonych na kiju, opartym na ramionach; jakkolwiek za cały strój mieli majtki w pasy, umocowane na biodrach, niemniej tułów ich, lśniący i gładki jak bazalt, ociekał potem i dążyli śpiesznie, nie chcąc grubej podeszwy stóp swoich poparzyć na płytach kamiennych, gorących, jak posadzka w łaźni.

Majtkowie spali na czółnach, umocowanych przy bulwarku z cegieł, pewni, że nikt ich nie zbudzi, by przepłynąć na brzeg przeciwległy do dzielnicy Memnonij. Wysoko pod stropem niebieskim krążyły sępy, a wśród ogólnej ciszy odzywał się ich ostry pisk, który w innej porze dnia utonąłby we wrzawie miasta. Na gzemsach pomników dwa, czy trzy ibisy, z jedną nogą wtuloną pod brzuch, z dziobem wsuniętym w podgardle, stały, jakby pogrążone w głębokiej zadumie i zarysowywały się smukłą sylwetką na tle rozżarzonego błękitu.

Wszelako nie wszystko spało w Tebach; z po za

murów wielkiego pałacu, którego tabulatura, ozdobiona palmetkami, zarysowywała się długą linią prostą, dobiegał słaby szmer muzyki; fale harmonji dźwięczały od czasu do czasu w przezroczystej, rozedrganej atmosferze, gdzie oko mogło być niemal śledzić ruch dźwięków.

Przytłumiona grubością murów, jak surdyną, muzyka, miała osobliwą słodycz; w pieśni tej drgała smutna rozkosz, niemoc wyczerpania, wyrażająca znużenie ciała i odrętwienie namiętnych pragnień; można też było odgadnąć w niej przesyt świetlanym wieczystym lazurem, niewypowiedziane przygnębienie gorących krajów.

Idąc wzdłuż tego muru, niewolnik zapominał o biczu pana, przerywał pochód i zatrzymywał się, by wyteżonem uchem wchłaniać tę pieśń, przepojoną wszystkimi tajemiami nostalgjami duszy, zwracającą myśl jego ku utraconej ojczyźnie, przerwanej miłości i niepokonanym przeszkodom przez los stawianym.

Skąd szła ta pieśń, to westchnienie, ulatujące przytłumionym szmerem w ciszę miasta? Co za niepokojna dusza czuwała, gdy wszystko dokoła niej spało?

Fasada pałacu, zwrócona w stronę dosyć obszernego placu, miała prostotę linii i podstawę monumentalną, stanowiącą typ charakterystyczny egipskiej architektury świeckiej i religijnej. Pałac ten mógł być tylko siedzibą książęcą albo kapłańską; wykazywał to dobór materiałów, staranne wykonanie budowli i bogactwo ornamentyki.

W środku fasady wznosił się wielki pawilon

z dwoma skrzydłami bocznymi, zakończony dachem płaskim, w kształcie trójkąta. Szerokie wyżłobienie, o profilu wystającym, kończyło mur, gdzie nie widniał żaden inny otwór prócz drzwi, nie umieszczonych symetrycznie na środku, lecz w rogu pawilonu, prawdopodobnie w celu zapewnienia zupełnie swobody układu stopni schodów wewnętrznych. Gzems, w tym samym stylu, co tabulatura, ozdobił u góry te jedyne drzwi.

Pawilon wystawał po za mur, do którego przylegały jak balkony, galerje dwupiętrowe, niby otwarte portyki, utworzone z kolumn osobiłwe fantastycznej architektury; podstawy tych kolumn wyobrażały olbrzymie pąki lotosu, z których torebki, pękającej w płatki zębate, wytryskiwał, jak olbrzymi słupek, napęczniały trzonek dolny, zwężony w górze, ściśnięty pod kapitelem przez otoczkę z wyżłobień, i kończący się kwiatem rozwiniętym.

Między wielkimi otworami kolumnady widać było małe okienka, ozdobione szybami kolorowemi. Powyżej wznosił się tarasami dach, wyłożony wielkimi płytami kamiennymi.

W tych galerjach zewnętrznych przeciąg powietrza chłodził wodę z Nilu w wielkich wazach glinianych, natartych wewnątrz gorzkimi migdałami, zatłakanych liśćmi i ustawionych na drewnianych trójnogach. Na gerydonach spoczywały piramidy owoców, wiązanki kwiatów i różnych kształtów puhary do picia: Egipcjanie bowiem lubią jeść na świeżem powietrzu i biesiadują niejako na drodze publicznej.

Z każdej strony tej fasady ciągnęły się budynki parterowe, utworzone z szeregu kolumn, połączonych w połowie swej wysokości murem i przedzielonych ścianami, tak, że tworzyły dokoła domu miejsce przechadzki, osłonięte od słońca i od natrętnych spojrzeń. Cała ta architektura, rozjaśniona malowidłami ornamentacyjnymi (albowiem kapitele, podstawy, gzemsy, ściany były kolorowane), wywierała wrażenie wesołe i wspaniałe. Drzwi prowadziły na obszerny dziedziniec, otoczony kwadratowym portykiem, podtrzymanym przez słupy, których kapitele wyobrażały cztery głowy kobiece o uszach krowich, podługowatych wąskich oczach, o nosie zlekka spłaszczonym i ustach szeroko roześmianych.

Pod tym portykiem znajdowały się drzwi, prowadzące do apartamentów, gdzie przedostawało się światło, złagodzone cieniem galerji.

Na środku dziedzińca migotała w słońcu woda sadzawki, objętej brzegiem z granitu syeńskiego; na jej powierzchni rozpościerały się szerokie, wykrojone w serce liście lotosu, których kwiaty, różowe albo niebieskie, były nawpół zamknięte, jakby omdlałe z żaru, pomimo że zanurzały się w wodzie.

Śród rabatów, okalających basen, na maleńkich wzgórkach rosły, ułożone w wachlarz, kwiaty, a wąskimi ścieżkami, które się wiły między niemi, przechadzały się ostrożnie dwa oswojone bociany, klekocąc od czasu do czasu długim dziobem i bijąc skrzydłami, jakgdyby chciały odfrunąć.

Na rogach dziedzińca wznosiły się skrzycone pnie

czterech wielkich perseów, jaśniała metaliczną zielenią niesłychanie obfita masa ich liści.

W głębi rodzaj pylonu przerywał portyk, a na końcu długiej altany z winnego szczepu, widać było kiosk letni, budowy równie bogatej, jak wytwornej.

W przegrodach, zaznaczonych na prawo i na lewo od altany przez drzewa karłowate, cięte w stożek, mienily się różnorodną zielenią sykomory, tamaryski, granaty, mimozy, akacje, a kwiaty ich błyszcząły jak kolorowe gwiazdy na tle listowia przerażającego mur.

Muzyka, cicha i łagodna, o której wspominaliśmy, wybiegała z jednej z komnat, której drzwi otwierały się pod portykiem wewnętrznym.

Jakkolwiek słońce padało pełnym blaskiem na dziedziniec, roziskrzony od tej fali ostrego światła, niemniej cień błękitny i orzeźwiający zalewał komnatę, gdzie oko, osłepione gorącymi blaskami, szukało zrazu kształtów i rozróżniało je dopiero, gdy przywykło do tego przyćmionego światła.

Blady cień lila zabarwiał ściany komnaty, którą wieńczył dokoła fryz, malowany barwami jaskrawymi i ukwiecony złotymi plamkami. Podziały architektoniczne, szczęśliwie rozplanowane, tworzyły kwadraty wypełnione rysunkami, ornamentami, wiązaniami kwiatów, ptakami i scenami z życia domowego.

W głębi, przy murze, zarysowało się łoże dziwaczego kształtu, wyobrażające wołu, przystrojonego w pióra strusie i dysk między rogami; wół ten obniżał grzbiet na przyjęcie spoczywającego lub spoczywającej na wąskim czerwonym materacu i zgi-

nał się w kabłąk ku ziemi, tworząc nogi czarne, zakończone zielonemi kopytami, i podnosząc ogon, rozdzielony na dwa kosmyki. Ten czworonóg - łoże, to zwierzę - mebel, wydawałoby się osobliwe w każdym innym kraju, ale nie w Egipcie, gdzie pomysłowość robotnika nadaje łożkom kształt zarówno lwa, jak i szakala. Do łoża tego wschodziło się po stojącym przed niem stołku o czterech stopniach; u wezłowia widniała, w półksiężyc wyżłobiona, podstawa z wschodniego alabastru, przeznaczona do oparcia szyi, bez naruszenia fryzury.

Na środku komnaty stół z cennego drzewa, wytwornej roboty, złożył swój krąg na wydrążonym cokóle. Zastawiony był rozmaitemi przedmiotami: wazon z kwiatami lotosu, zwierciadło z polerowanego brązu na podstawie z kości słoniowej, dzbanek z agatu, pełen proszku antymonowego, miseczka z sykomoru do perfum, wyobrażająca postać młodej dziewczyny, obnażonej do bioder, w pozie pływającej i w ruchu takim, jakgdyby czarkę swoją chciała utrzymać nad powierzchnią wody.

Przy stole, na fotelu z drzewa pozłacanego, podmalowanego farbą czerwoną, o nogach niebieskich, o poręczach wyobrażających lwy, pokrytym dużą poduszką purpurową w złote gwiazdy i czarne kwadraty, której koniec spadał, jak zwitek, po przez poręcz, młoda kobieta, a raczej młoda dziewczyna, przedziwnej urody, siedziała w pozie niedbałej, pemej wdzięku i zadumy.

Rysy jej, idealnej subtelności, składały się na najczystszy typ egipski, a rzeźbiarze niezawodnie

często myśleli o niej, przy ciosaniu wizerunków Izdy i Hathory, narażając się na przekroczenie surowych praw hieratycznych; odbłaski złote i różowe zabarwiały jej gorącą bladość, na której zarysowywały się oczy czarne, podługowate, powiększone kreską antymonu i omdlewające w niewypowiedzianym smutku. Wielkie ciemne oko, o brwiach ostro zaznaczonych, o powiekach malowanych, nadawało osobliwy wyraz twarzycze drobnej, prawie dziecięcej; usta rozchylone, ubarwione jak kwiat granatu, ukazywały między wargami, może nieco za mięsistymi, wilgotny błysk niebieskawej konchy perłowej; osiadł na nich ów uśmiech mimowolny i prawie bolesny, który nadaje taki miły urok twarzom egipskim; nos, zlekka spłaszczony u osady, w miejscu, gdzie brwi łączyły się cieniem aksamitnym, wznosił się linią taką czystą, nozdrza miał tak delikatnie zarysowane, że zadowoliby się nim każda kobieta lub każda bogini, pomimo profilu nieznacznie afrykańskiego; podbródek zaznaczał się wygięciem niesłychanie wytwornem i, wygładzony, lśnił się, jak kość słoniowa; policzki nieco więcej rozwinięte, niż u pięknych kobiet innych narodów, nadawały obliczu wyraz słodczy i wdzięku, pełen niesłychanego uroku.

To piękne dziewczę miało na głowie jakby kask, utworzony z perliczki; skrzydła jej, nawpół rozwinięte, spadały na skronie, ładna wydłużona główka wysuwała się na środek czoła, ogon zaś, nakropiony białymi punktikami, opadał na kark, jak wachlarz. Zręczna kombinacja emalii naśladowała do złudzenia oczkowate upierzenie ptaka; długie pióra strusie, we-

tknięte w kask, jak egreta, dopełniały tego stroju głowy, przeznaczonego dla młodych dziewcząt, podobnie jak sępowi, symbolowi macierzyństwa, wolno zdobić jedynie głowy mężatek.

Włosy młodego dziewczęcia, czarne i lśniące, splecione w cienkie warkoczyki, spadały z obu stron okrągłych i gładkich policzków aż na ramiona; w ich cieniu, jak słońce w chmurze, błyszcząły wielkie złote dyski jako kolczyki; od tej fryzury szły dwa długie pasy materji, zakończone frendzlami, i spadały małowniczo na plecy. Szeroki napierśnik, złożony z kilku rzędów emalii, paciorków, złotych i krwawnikowych, ze złotych rybek i jaszczurek, pokrywał całe łono, które przeglądało, białe i różowe, po przez przezroczystą kalaziris.

Szatę, w duże kwadraty, przewiązywał pod pierśiami pasek z długimi końcami, w dole zaś zdobił ją szeroki szlak w pasy poprzeczne, zakończony frendzlą. Potrójne bransolety z lapis-lazuli, pozczepiane w odstępach rzędem złotych paciorków, obejmowały dłoni w kostce, cienkiej i delikatnej, jak u dziecka; śliczne stopy, o palcach giętkich i długich, osłonięte patynkami z białej skóry, wyciskanej w złoty deseń, spoczywały na taburecie cedrowym, inkrustowanym emalją złotą i czerwoną.

Obok Tahoser, — takie było imię młodej Egipcjanki — klęczała harfiarka, w pozie, jaką malarze z upodobaniem odtwarzają na ścianach w hypogeach: jedną nogę podwinęła pod udo, a drugą tworzyła kąt rozwarty; harfa zaś oparta była na niskim cokóle, przeznaczonym prawdopodobnie do wzmocnienia re-

zónansu instrumentu. Chusta, z materji w pręgi kolorowe, zakończona odrzuconemi w tył welonami, ukrywała jej włosy i, niby ramą, obejmowała twarzyczkę, uśmiechniętą i tajemniczą, jak oblicze sfinksa. Wąska szata, a raczej pochwa z przezroczystej gazy, zaznaczała młodociane zarysy wytwornej i wątłej postaci, z tej szaty zaś, odciętej pod piersiami, wylaniały się dziewiczej nagości ramiona, łono i ręce.

Gdyby nie podpora, przytwierdzona do cokółu, cały ciężar harfy spocząłby na ramieniu młodej kobiety. Harfa zakończona była w górze konchą ozdobioną malowidłami kolorowemi, nad którą wznosiła się rzeźbiona głowa Hathory, strojna w strusie pióro, struny, w liczbie dziewięciu, naciągnięte przekątnie, drgały pod długimi, drobnymi palcami harfiarki, która często, chcąc dosięgnąć tonów niskich, pochylała się wdzięcznym ruchem, jakgdyby pragnęła spłynąć po dźwięcznych falach muzyki i towarzyszyć oddalającej się harmonji.

Za harfiarką stała inna muzykantka, o której możnaby było mniemać, że jest zupełnie naga, gdyby lekka mgła biała nie łagodziła bronzowej barwy jej ciała; grała na mandorze, o rączce nadmiernie długiej, o trzech strunach, zalotnie przybranych na końcu kolorowemi kwastami. Jedna jej ręka, szczupła ale niemniej okrągła, wyciągała się w pozie rzeźbiarskiej do końca rączki, druga podtrzymywała instrument i uderzała w struny.

Trzecia młoda kobieta, której niesłychanie obfite włosy sprawiały, że wydawała się szczuplejsza, niż

była w istocie, wybijała takt na tympanonie, utworzonym z ramy drewnianej, zlekką wklęsłej i obciążonej osłą skórą.

Harfiarka śpiewała unisono z akompanjamentem melopeę żalowaną, niewypowiedzianej słodczy i bezbrzeżnie smutną. Słowa wyobrażały nieokreślone pragnienia, ukryte żale, hymn miłości do nieznanego, nieśmiałe skargi na surowych bogów i okrucieństwo losu.

Tahoser oparła łokieć na jednym z lwów swego fotelu, dłoń na policzku a palec podgięty na skroni i z roztargnieniem, raczej pozornem niż istotnem, słuchała śpiewu harfiarki; niekiedy westchnienie ułatwowało z jej łona i podnosiło klejnoty napierśnika; niekiedy wilgotny blask, spowodowany wzbierającą łzą, zamigotał w jej oku między kreskami antymonowemi, a drobne ząbki przygryzały dolną wargę, jak gdyby młoda dziewczica buntowała się przeciw ogarniającemu ją wzruszeniu.

— Satu, — rzekła, klaszcząc delikatnemi rączkami, by nakazać milczenie harfiarce, która niezwłocznie stłumiła dłońią drganie strun, — twój śpiew mnie drażni, słuchając go omdleam, przyprawiłby mnie niebawem o zawrót głowy, jak zbyt silne wonie. Struny twej harfy wydają mi się skrzycone z fibrów mego serca, a dźwięk ich odbija się boleśnie w mej piersi; wstydzę się niemal z twojej winy, bo to moje serce płacze po przez twoją muzykę; a któż to mógł ci zdradzić jego tajemnicę?

— O pani, — odparła harfiarka — poeta i muzyk wiedzą wszystko, bogowie odsłaniają im rzeczy

ukryte; wyrażają w ich rytmach to, co za ledwie po-
cznie się w myśli i co język bełkoce niezrozumiale.
Ale, jeżeli mój śpiew cię zasmuca, mogę wywołać
myśli weselsze w twej duszy.

I Satu uderzyła z radosną energją w struny harfy,
które zadźwięczały żywym rytmem; tympanon zaś
wybijał takt, przyspieszonymi uderzeniami; po tem
preludjum, zaintonowała pieśń, sławiącą uroki wina,
upojenie woni i szal tańca.

Niektóre z kobiet siedzących na stołkach o szy-
jach łabędzi niebieskich, których żółty dziób gryzł
nogi stołka, albo klęczących na poduszkach szkarłat-
nych, pod wpływem muzyki Satu przybrały pozy
omdlewające i rozpaczliwe; teraz nagle, drgnęły, roz-
dęły nozdrza, wchłonęły rytm czarodziejski, powsta-
ły i, posłuszne niepokonanemu popędowi, zaczęły tań-
czyć.

Strój głowy w kształcie kasku, wykrojonego nad
uchem, obejmował ich włosy, tu i owdzie jednak wy-
mykały się z pod kasku kosmyki i biczowały smagłe
policzki, które w zapale tańca niebawem zabarwiły
się rumieńcem. Duże kółka złote odbijały się o ich
szyję, a po przez długą koszulę gazową, haftowaną
w górze perłami, widać było ich postacie, koloru żół-
tego, połacanego brązu, poruszające się ze zwin-
nością jaszczurki; skręcały się, wyginały, ruszały bio-
drami, obciśniętymi wąską przepaską, przechylały
się w tył, przybierały pozy schylone, przekreślały gło-
wę w prawo i w lewo, jakgdyby w muskaniu wygła-
dzonym policzkiem ramienia, zimnego i nagiego, znaj-
dowały ukrytą rozkosz; klęczały i podnosiły się,

przyciskały dłonie do piersi lub też rozkładały lubieżnie ręce, niby bijąc skrzydłami, jak ręce Izydy i Neftys powłóczyły nogami, zginały łydki, urywanemi ruchami przesuwały zwinne stopy, w takt wszystkich falowań muzyki.

Służebne stanęły przy ścianie, by pozostawić wolne miejsce ewolucjom tancerek, i zaznaczały rytm, trzaskając palcami lub klaszcząc w dłonie. Jedne, zupełnie nagie, miały za całą ozdobę bransoletkę z gliny emaljowanej; inne, odziane w wąską chustę, przytrzymaną szelkami, przystroiły włosy w uwite kwiaty. Było to osobliwe i pełne wdzięku. Pączki i kwiaty, chwiejące się łagodnie, roznosiły woń swoją po sali, a te uwieńczone młode kobiety mogły być natchnąć poetów szczęśliwemi pomysłami porównań.

Ale Satu przypisywała nadmierną potęgę swojej sztuce. Wesóły rytm wzmógł jeszcze smutek Tahoser. Łza spływała po jej pięknem policzku, jak kropla wody Nilu po płątku nenufaru; ukrywając głowę na piersi ulubionej służebnej, która stała oparta o fotel swojej pani, szepnęła, łkając z jękiem duszonej synogarlicy:

— Och! moja biedna Nofre, jestem bardzo smutna i bardzo nieszczęśliwa!

II.

Nofre dała znak, przeczuwając zwierzenie; harfiarki, dwie muzykantki, tancerki i służebne wyszły w milczeniu gęsiego, jak postacie malowane na freskach. Gdy znikła ostatnia, ulubiona służebna rzekła

do pani swojej tonem pieścizotliwym i współczującym, jak młoda matka, kojąca drobne niedole swego niemowlęcia :

— Co ci dolega, pani umiłowana, żeś smutna i nie-szczęśliwa? Czyż nie jesteś młoda, piękna, urodą, której najpiękniejsze mogą ci zazdrościć, wolna, a czyż twój ojciec, wielki kapłan Petamunof, którego mumja spoczywa w bogatym grobowcu, nie pozostawił ci wielkich dóbr, czyż nie rozporządzasz niemi według własnej woli? Twój pałac jest bardzo piękny, ogrody twoje są bardzo obszerne, a zraszają je przezroczyste wody. Twoje skrzynie z gliny emaljowanej i z sykomoru zawierają naszyjniki, pektorały, napierśniki, obrączki na nogi, pierścienie; twoje szaty, kałaziryzy, stroje głowy są liczniejsze niż dni w roku; Hopy-Mu, ojciec wód, pokrywa o jednej porze żyznym mułem twoje ziemie, które sęp, pędząc chyżym lotem, zdoła okrążyć zaledwie od wschodu do zachodu słońca, a twoje serce, zamiast otworzyć się radośnie do życia, jak pąk lotosu w miesiącu Hathory lub Szojaki, zamyka się i ściska boleśnie.

Tahoser odpowiedziała Nofre:

— Tak, niewątpliwie, bogowie sfer wyższych, obdarzyli mnie łaskawie; ale co znaczą wszystkie skarby, jakie posiadamy, jeśli nie mamy jedynej rzeczy, której pragniemy? Jedno niespełnione życzenie sprawia, że bogacz staje się równie ubogi w pałacu złożonym i malowanym żywemi kolorami, wśród stosów zboża, woni i cennych przedmiotów, jak najędźniejszy robotnik w Memnonjach, który, wraz z trocinami,

zbiera krew trupów, albo nawpół nagi Murzyn, kierujący na Nilu barką papyrusową, wśród żaru południowego słońca.

Nofre uśmiechnęła się i rzekła z niedostrzegalnem szyderstwem:

— Czyż to możliwe, o pani, żeby którykolwiek z twoich kaprysów nie był natychmiast urzeczywistniony? Jeśli zamarzysz o jakim klejnocie, dajesz rękodzielnikowi sztabę czystego złota, krwawniki, lapis lazuli, agaty, i on naśladowuje wzór, który ci się spodobał; to samo dzieje się, jeśli chodzi o szaty, o wozy, perfumy, kwiaty i instrumenty muzyczne. Twoi niewolnicy, od Philae do Heliopolisu, szukają dla ciebie wszystkiego, co jest najpiękniejsze, najdroższe; jeśli Egipt nie posiada tego, czego zapragniesz, karawany przywożą ci to z końca świata!

Piękna Tahoser potrząsnęła śliczną główką, jakby zniecierpliwiona brakiem domyślności swej powiernicy.

— Wybacz mi, pani, — rzekła Nofre, zrozumiawszy, że mylną obrała drogę — nie pomyślałam o tem, że wkrótce będzie cztery miesiące, jak Faraon wyruszył na wyprawę do Etyopji wyższej i że piękny oeris *), który, ilekroć przechodził pod tarasem, podnosił głowę i zwalniał kroku, towarzyszy jego królewskiej mości. Jakiż był powabny w stroju wojskowym, jaki piękny, młody i waleczny!

Tahoser rozchyliła różowe usta, jakgdyby chcąc

*) Oficer. (Przyp. tłum.)

przemówić; wszelako lekki obłok purpurowy przesłonił jej lica, pochyliła głowę, i zdanie, gotowe do lotu, nie rozwinęło swych dźwięcznych skrzydeł.

Służebna, w mniemaniu, że słusznie odgadła myśli swojej pani, ciągnęła dalej:

— W takim razie, pani moja, smutek twój się skończy, dzisiaj rano bowiem przybył zadyszany goniec i oznajmił, że tryumfalny powrót króla nastąpi przed zachodem słońca. Czy nie słyszysz już zamętu tysięcy szemrzących odgłosów w mieście, otrząsającym się z południowego odrętwienia? Posłuchaj! koła wozów turkocą po płytach kamiennych na ulicach; a lud dąży już zwartemi tłumami nad brzeg rzeki, by ją przepłynąć i udać się na pole ćwiczeń. Otrząśnij się z tej bolesnej zadumy i pójdz popatrzeć, jak inni, na to nieporównane widowisko. Gdy ogarnie nas smutek, trzeba połączyć się z tłumem. Samotność podsyca ponure myśli. Z wysokości swego wozu wojennego Ahmosis pośle ci wdzięczny uśmiech i wrócisz weselsza do pałacu.

— Ahmosis mnie kocha, — odparła Tahoser, — ale ja jego nie kocham.

— Tak mówią zawsze młode dziewice, — zauważyła Nofre, której piękny wódz wojskowy przypadł do gustu i która mniemała, że pogardliwa obojętność Tahoser jest sztuczna.

Istotnie, Ahmosis był bardzo urodziwy: profil miał podobny do wizerunków bogów, wyciosanych przez najsprawniejszych rzeźbiarzy; rysy dumne, regularne dorównywały pięknocią rysom kobiety; nos,

zlekka orli, iskrzące się czarne oczy, powiększone przy pomocy antymonu, policzki gładkie, jak alabaster wschodni, kształtne usta, wytworność wysokiej postaci, szerokie ramiona popiersia, wąskie biodra, silne ręce, w których jednak nie uwydatniał się ani jeden mięsień pospolitą wypukłością, mogły być oczarować najwybredniejsze kobiety; ale Tahoser nie kochała go, wbrew przypuszczeniom Nofre.

Myśl inna, której nie wyraziła, mniemała bowiem, że Nofre nie zdoła jej zrozumieć, wpłynęła na postanowienie młodej dziewczyny: otrząsnęła się z apatii i opuściła fotel z ożywieniem, którego nikt nie spodziewałby się po niej, sądząc z przygnębienia, jakie ujawniała podczas chórów i tańców.

Nofre, klęcząc u jej nóg, obolała jej stopy w patynki o zagiętym czubku, posypała włosy proszkiem pachnącym, wydobyla ze szkatułki kilka bransoletek w kształcie węża, kilka pierścionków ze świętym skarabeuszem; nałożyła na policzki warstwę zielonej szminki, która zaróżowiła się niezwłocznie przy zetknięciu z naskórkiem; wypolerowała poznokcie maścią kosmetyczną, wygładziła zmięte nieco, fałdy kalazirusu, jak przystało na gorliwą służebną, która dba o to, aby uwydatnić jaknajlepiej wszystkie wdzięki swej pani, poczem wezwała kilku służących i poleciła im, aby przysposobili barkę oraz przeprawili na przeciwny brzeg rzeki wóz z zaprzęgiem.

Pałac, albo jeżeli ta nazwa wyda się nazbyt pompatyczna, dom Tahoser, wznosił się tuż nad Nilem, od którego oddzielały go tylko ogrody. Córka Peta-

munofa, oparłszy rękę na ramieniu Nofre, poprzędzona przez służbę swoją, podążyła do drzwi, wychodzących na wybrzeże, przez altanę, której pnące, tłumiąc blask słoneczny, upstrzyły ciemnymi i jasnymi plamami jej uroczą twarzyczkę. Niebawem przybyła na szeroki bulwark z cegieł, gdzie roilo się od nieprzejrzanego tłumu, oczekującego odpłynięcia lub powrotu łodzi.

W łonie olbrzymiego miasta, Ophu, pozostali tylko chorzy, inwalidzi, starcy, niezdolni ruszyć się z miejsca, i niewolnicy, sprawujący straż w domach; przez ulice, przez place, przez aleje sfinksów, przez pylony, przez bulwarki płynęła rzeka istot ludzkich, kierując się ku Nilowi. Najdziwaczniejsza różnorodność zaznaczała się w tym tłumie; Egipcjanie tworzyli większość, a można ich było poznać po czystym profilu, po smukłej i wysokiej postaci, po szacie z cienkiego lnianego płótna, lub po spódnicach starannie w fałdy ułożonych; niektórzy mieli głowę owiniętą materją w pasy niebieskie lub zielone, lędźwie obciśnięte wąskimi majtkami a tors, koloru wypalanej gliny, obnażony.

Na tem tle tuziemców odcinały się różne okazy ras egzotycznych; Murzyni z nad górnego Nilu, czarni, jak bogowie z bazaltu, z szerokimi obręczkami z kości słoniowej na rękach, z barbarzyńskimi ozdobami, chwiejącemi się w uszach; bronzowi Etjopi, o srogim wyrazie twarzy, zatrwożeni mimowoli wśród tej cywilizacji, jak dzikie zwierzęta wśród białego dnia; Azjaci o cerze jasno żółtej, oczach lazuro-

wych, o brodzie ufryzowanej w długie skręty, w tjarze, przytrzymanej opaską na głowie, w szacie z frendzlami, przybranej haftem; Pelazgowie, odziani w skóry zwierzęce, przywiązane do ramienia, ukazujący ręce i nogi dziwacznie tatuowane z piórami na głowie, a włosami splecionemi w dwa wiszące warkoczki, zakończone cienkim, podkreślonym kosmykiem.

Sród tego tłumu kroczyli z godnością kapłani o głowie zgolonej, owinięci w skórę pantery, w taki sposób, że pysk zwierzęcia naśladował sprzączkę paska; w ręku trzymali wysoką laskę z drzewa akacjowego, na której wyryte były napisy hieroglifowe; żołnierze, ze sztyletem o srebrnych gwoździach przy boku, z tarczą na plecach i siekierą brązową w ręku; dygnitarze, ozdobieni honorowemi napierśnikami, którym niewolnicy składali bardzo niskie pokłony, ręce przykładając do ziemi.

Wzdłuż murów sunęły, nawpół nagie, ubogie kobiety, pokorne i smutne, pochylone pod ciężarem dzieci, zawieszonych u ich szyi na łachmanach lub w koszach; urodziwe dziewczęta, w długich przezroczytych szatach, związanych pod piersiami szarfą, z opadającymi końcami, dążyły dumnie, w otoczeniu służebnych, iskrząc się od klejnotów, pereł i złota, zostawiając za sobą smugę woni kwiatów i perfum.

Pomiędzy piechurami przesuwały się lektyki, niesione przez Etjopów, idących krokiem szybkim i rytmicznym, lekkie wozy, zaprzężone w ręce konie, o łbach strojnych w pióra, wózki familijne, ciągnięte przez woły o ciężkim chodzie. Tłum, nie troszcząc się

o niebezpieczeństwo przejechania, za ledwie ustępował, by im zrobić miejsce, a woźnice często musieli smagać batem opieszających, którzy się nie usuwali.

Ruch niesłychany panował na rzece, pokrytej, mimo swej szerokości, do tego stopnia wszelkiego rodzaju łodziami, że wzdłuż całego miasta nie było prawie widać wody; od lekkiej barki, o podniesionym tyle i przodzie, do czółna, upstrzonego kolorami i złoceniami, do wątlej łupiny z papyrusu, zużytkowano wszystko. Nie pogardzono nawet promami, służącymi zazwyczaj do przewożenia bydła i owoców.

Nielatwe to było zadanie, przeprowadzić z jednego, brzegu rzeki na drugi przeszło mijłon ludzi i żeby tego dokonać potrzeba było całej sprawności marynarzy tebańskich.

Woda Nilu skłócona, rozpruwana wiosłami, sterami, pieniała się jak morze i tworzyła tysiące wirów które osłabiały siłę prądu.

Budowa łodzi była równie różnorodna, jak malownicza: jedne kończyły się u każdego krańca wielkim kwiatem lotosu, zgiętym na wewnątrz, z łodygą obciśniętą barwnymi opaskami; inne rozwidlały się z przodu w spiczaste końce; te znów zaokrąglały się w półksiężyc, tamte dźwigały rodzaj platformy, gdzie stali piloci; na niektóre składały się trzy pasy kory drzewnej, związane sznurami. Promy, przeznaczone do przewozu zwierząt, płynęły jeden przy drugim, brzeg przy brzegu i dźwigały podłogę, gdzie złożony był most ruchomy, który pozwalał ładować i wyładowywać bez trudności. Ilość przewożonych zwierząt

była bardzo znaczna. Konie, zaskoczone tą jazdą, rżały i biły kopytami w drzewo, woły z niepokojem zwracały w stronę wybrzeża łskące pyski, ociekające śliną i uspokajały się pod pieczętą poganiaczy.

Nadzorcy zaznaczali wiosłarzom rytm, uderzając w dłonie; piloci, siedząc na tyle łodzi, lub przechadzając się, rzucali rozkazy, wskazywali zwroty, konieczne dla kierowania się w ruchomym labiryncie statków. Niekiedy, pomimo wszelkich ostrożności, łodzie zderzały się, a marynarze wymyślali sobie wzajemnie lub bili się wiosłami.

Pod temi tysiącami naw, malowanych przeważnie na biało i ożywionych ornamentami zielonemi, niebieskiemi i czerwonymi, zabezpieczonych mężczyznami i kobietami w różnobarwnych strojach, Nil znikł całkowicie na przestrzeni kilku mil, a było to, pod gorącym blaskiem słońca egipskiego, widowisko olśniewające w swej ruchliwości; woda, wzburzona we wszystkich kierunkach, drgała, iskrzyła się, migotała, jak żywe srebro, i podobna była do tarczy słonecznej strzaskanej na miljany odłamków.

Tahoser weszła do swej łodzi, przystrojonej z niesłychanem bogactwem; środek zajmowała kabina, osłonięta baldachimem, nad którym widniał szereg ureuszów, podtrzymywanych na rogach przez kwadratowe słupy; ściany upstrzone były rysunkami symetrycznymi. Szafka, o spiczastym daszku, do przeciwwychowywania busoli, obciążała tył statku, a przeciwwagę na drugim końcu stanowił ołtarz, upiękuszony malowidłami. Ster składał się z dwóch olbrzymich

wioseł, zakończonych głowami Hathory z szyją przewiazaną długimi pasami materji, i poruszających się między dwoma kołkami. Na podniesionym maszcie trzepotał, — podniósł się bowiem wiatr wschodni, — przymocowany do dwóch drągów podłużny żagiel z bogatej materji, haftowanej i malowanej w kąty proste, trójkąty, kwadraty, ptaki, zwierzęta fantazyjne jaskrawych barw; na drągu dolnym zwieszała się frendzla z dużych kwastów.

Odwiązano linę, zwrócono żagiel w stronę wiatru i barka oddaliła się od brzegu, przodem torując sobie drogę wśród nagromadzonych łodzi, których wiosła wiktały się i miotaly, jak nóżki skarabeuszów leżących na grzbiecie; płynęła niefrasobliwie wśród przekleństw i krzyków; jej wyższa siła pozwalała jej pogardzać uderzeniami, które byłyby zatopiły statki węższe. Zresztą, majkowie Tahoser byli tacy sprawni, że zdawało się, iż łódź którą kierowali, obdarzona jest inteligencją, tak szybko bowiem była posłuszna sterowi i odwracała się wobec przeszkód poważnych. Niebawem też pozostawiła w tyle za sobą statki, pełne pasażerów wewnątrz i obciążone jeszcze na dachu kilkoma rzędami mężczyzn, kobiet i dzieci, skulonych w postawie takiej umiłowanej przez lud egipski.

Patrząc na tych ludzi, w ten sposób kłęczących, możnaby było mniemać, że to sędziowie asesorowie Ozyrysa, gdyby ich oblicza, zamiast wyrażać skupienie, właściwe doradcom żałobnym, nie tchnęły najszczęśliwszą wesołością. Wszak Faraon wracał zwycięz-

cą i wiódł ze sobą odbrzymi łup wojenny. W Tebach zapanowała radość, cała ludność dążyła na powitanie ulubieńca Ammona-Ra wielkorządcy sfery czystej, wszechmocnego Aroerisa, wszechpotężnego króla słońca, pogromcy narodów!

Barka Tahoser dotarła niebawem do przeciwnego brzegu. Jednocześnie prawie przy płynęła łódź niosąca wóz: woły przeszły przez pomost ruchomy a zwinni służebnicy, którzy wraz z nimi wylądowali, zarzucili na nie jarzmo w ciągu kilku minut.

Te woły białe w czarne łaty miały łby przystrojone w rodzaj tjary, pokrywającej w części jarzmo przywiązane do dyszla i przytrzymywane przez dwa szerokie rzemienie, z których jeden okalał ich szyję, a drugi, złączony z pierwszym, przechodził pod brzuchem zwierząt. Ich wysokie łopatki, szerokie podgardle, nogi suche i nerwowe, kopyta drobne i błyszczące, jak agat, ogon starannie wyczesany, wykazywały, że są czystej rasy i że ciężka robota w polu nie zniekształcała ich nigdy. Miały ów majestatyczny spokój Apisa, z jakim ten wół święty przyjmuje hołdy i ofiary.

Wóz, niesłychanej lekkości, mógł pomieścić dwie lub trzy stojące osoby; pudło półkoliste, pokryte ornamentami i złoceniami, rozłożonemi w linjach estetycznie wygiętych, podtrzymywała jakby belka przekątna, wystająca nieco po za listwę górną, belki tej zaś trzymał się ręką podróżny, gdy droga była nierówna lub bieg zaprzęgu szybki; na osi, umieszczonej z tyłu pudła, dla złagodzenia wstrząśnień, toczyły się

dwa koła o sześciu szprychach, umocowane ćwiekami płaskimi. Na drzewcu, przytwierdzonym w głębi wozu wznosił się parasol, wyobrażający liście palmowe.

Nofre, pochylona na przód wozu trzymała lejce, — woły szły bowiem w zaprzęgu końskim — i powoziła, stosownie do zwyczaju egipskiego — Tahoser zaś stała obok niej nieruchoma, opierając o brzeg połączonej konchy rękę, ozdobioną pierścieniami, od małego palca do wielkiego.

Te dwie piękne młode dziewczyny, jedna iskrząca się od drogich kamieni i emalji, druga zaledwie osłonięta przezroczystą tuniką gazową, tworzyły śliczną grupę na barwnym wozie. Ośmiu czy dziesięciu służebników, odzianych w spódnice w ukośne pasy, z przodu suto fałdowane, towarzyszyło ekwipażowi, stosując się do biegu wołów.

Z tego brzegu rzeki napływ tłumów nie był mniej liczny; mieszkańcy dzielnicy Memnonij i wioski sąsiednich przybywali ze swej strony i co chwila barki, wysadziwszy na bulwarku jednych pasażerów, przywozły innych ciekawych, którzy powiększali tłum. Koła niezliczonych wozów, dążących na pole manewrów, promieniowały jak słońca wśród tumanów złotawego pyłu, jaki wznosiły. W Tebach w tej chwili panowała niewątpliwie taka pustka, jakgdyby zwycięzca zabrał do niewoli całą ludność.

Ramy zresztą godne były obrazu. Śród jaśniejących zielenią trawników i klombów, gdzie strzelały ku obłokom kiście liści palmowych, zarysowywały się

żywymi barwami malowane wille, pałace, pawilony letnie, otoczone sykomorami i mimozami. Sadzawki jak zwierciadła migotały i lśniły się w słońcu, szczerp winny wplatał się girlandami w sklepienia szpalerów; w głębi odcinała się olbrzymia sylweta pałacu Ramzesa-Meiamuna, jego pylony niesłychanej wielkości, ogromne mury, maszty złożone i malowane, na których powiewały flagi; dalej na północ dwa kołosa, wiecznie jednak obojętne i niewzruszone, góra granitu o kształcie ludzkim, przed wejściem do Ameno-fjum zarysowywała się odcieniem niebieskawym, zasłaniając w połowie odleglejsze Ramesseium i grobowiec wielkiego kapłana; z po za jednego rogu widniał wszakże pałac Menefty.

Bliżej łańcucha libijskiego, w dzielnicy Memnonij, zamieszkałej przez kolszytów, paraszytów i taryszcutów, wznosiły się w błękit rdzawe dymy z kotłów, pełnych natronu: praca śmierci nie przerywa się bowiem nigdy; chociaż życie toczy się z gwarem i wrzawą, niemniej bandaże są przysposabiane, powłoki przyrządzane, trumny pokrywane hieroglifami, a zawsze jakiś zimny trup, wyciągnięty na łożu śmiertelnem o nogach lwa lub szakala, czeka, żeby go przystrojono na wieczność.

Na dalekim widnokręgu, zbliżone jednak, dzięki przezroczystości powietrza, góry libijskie odcinały się zębatego szczytami i wapiennymi skałami, z wyżłobionymi przez grobowce i ciemnice wnętrzami.

Zwracając się ku brzegowi przeciwległemu wzrok miał przed sobą niemniej czarujący widok; promie-

nie słoneczne zabarwiały różowo na mglistem tle łańcucha arabskiego, niezmierny w swej wielkości pałac Północy, który zmniejszyć zaledwie zdołała odległość i który wznosił swoje góry granitowe, swój las olbrzymich kolumn, ponad siedziby o płaskim dachu.

Wsunięta wgląd widoczna była ponad murem okalającym boczne fasada świątyni Ammona; bardziej na prawo zaś wznosiły się świątynie Khonsa i Ofta; olbrzymi pylon, widoczny z profilu i zwrócony na południe, oraz dwa obeliski zaznaczały początek owej niezrównanej alei dwóch tysięcy sfinksów, o cielsku lwa i łbie barana, która ciągnęła się od pałacu Północnego do pałacu Południowego; na cokółkach widniały wielkie grzbiety tych potworów, zwróconych tyłem do Nilu.

Dalej, w różowym świetle wnęków, gdzie mistyczna tarcza słoneczna rozwijała swe szerokie skrzydła, zarysowywały się niewyraźnie głowy kolosów o spokojnych obliczach, narożniki wielkich gmachów, obeliski granitowe, tarasy, kiście liści palmowych, rozrzucone wśród tego stłoczenia niby kępy trawy; a pałac Południowy roztaczał swoje wysokie malowane ściany, swoje maszty, zdobne we flagi, drzwi pochyłe, obeliski swoje i stada sfinksów.

Tahoser patrzyła obojętnie na ten, znany jej dobrze, krajobraz, a roztargnione jej oczy nie wyrażały najłżejszego podziwu; ale, mijając dom, ukryty niemal wśród bujnej roślinności, otrząsnęła się z pozornej apatii i powiodła wzrokiem po tarasie i po galerji zewnętrznej, jakgdyby szukając znajomej twarzy.

Piękny młodzieniec, niedbale oparty o kolumnienkę pawilonu, przyglądał się napozór tłumowi; ale jego ciemne źrenice, przed którymi jakby snuło się marzenie, nie zatrzymały się na wozie, który wioził Tahoser i Nofre.

Drobna dłoń córki Petamunofa zacisnęła się nerwowo na poręczy wozu. Lica jej zbladły pod lekką warstwą szminki, którą je Nofre zabarwiła i, jakby omdlewając, odetchnęła kilkakrotnie wonią wiązanki lotosu.

III.

Pomimo niezwyklej przenikliwości, Nofre nie zauważyła wrażenia, jakie wywarł na jej pani pogardliwy nieznamy: nie widziała ani jej bladości, po której nastąpił ciemny rumieniec, ani żywszego blasku jej spojrzenia, nie słyszała szelestu emalji i paciorków naszyjników, podnoszących się na jej drżącym łonie; co prawda skupiła całą uwagę na kierowaniu zaprzęgiem, co było rzeczą dosyć trudną pomiędzy coraz liczniejszymi tłumami ciekawych, dążących na tryumfalny wjazd Faraona.

Nareszcie wóz przybył na pole manewrów, olbrzymi obszar wyrównany starannie dla parad wojskowych; groble, nad którymi przez długie lata pracowały ręce trzydziestu narodów, wziętych do niewoli, tworzyły wypukłe ramy wielkiego równoległoboku; mury z surowej cegły, tworząc szpalery, pokrywały te groble, na których stały kilku rzędami setki tysięcy Egipcjan, a stroje ich, białe lub upstrzone żywe-

mi kolorami, mieniły się w słońcu w tem rojeniu nieustannem, charakteryzującym tłum nawet wtedy, gdy wydaje się nieruchomy; po za tym sznurem widzów wozy, wózki, lektyki, strzeżone przez woźniców, przewodników i niewolników, takie były liczne, że robiły wrażenie obozu narodu podczas wędrówki, Teby bowiem, cud świata starożytnego, miał więcej mieszkańców niż niejedno królestwo.

Gładki i drobny piasek obszernej areny, obramowanej miljonem głów, iskrzył się w blasku, padającym z nieba błękitnego, jak emalja posążków Ozyrysa.

Córka Petamunofa i Nofre, którym służba utorowała drogę, zatrzymały się na rogu alei, prowadzącej po przez grube mury z cegły aż do pałacu Ramzesa-Meamuna. Tu stanęły na szczycie szpaleru, tak, żeby widzieć u stóp swoich przejście całego orszaku.

Wielka wrzawa, głucha, głęboka i potężna, jak huk napływającego morza, dobiegała w dali i stłumiła szmer tłumy: podobnie ryk lwa zagłusza miauczenie stada szakali. Niebawem odrębny głos instrumentów odciął się od grzmotu ziemskiego, wytworzonego przez turkot wozów wojennych i rytmiczny chód pieszych wojowników; rdzawa mgła, jak ta, którą niesie wicher pustyni, przesłoniła z tej strony niebo, chociaż wiatr ustał zupełnie; nie było najlżejszego powiewu powietrza, najdelikatniejsze gałęzie palmowe znieruchomiały, jakgdyby były wyrzeźbione w granitowych kapitelach; ani jeden włos nie drgnął na wilgotnej skroni kobiet, welony ich opadały miękko

na plecy. Ta kurzawa, wytworzona przez maszerującą armję, unosiła się nad nią, jak płowy obłok.

Wrzawa wzmagala się; kłęby kurzu rozproszyły się i pierwsze szeregi muzykantów wkroczyły na niezmierną arenę, ku niesłychanemu zadowoleniu tłumów, mimo całego szacunku dla jego faraonńskiej mości, już znużonych czekaniem w słońcu, którego żar stopiłby każdą inną czaszkę, tylko nie egipską.

Straż przednia muzykantów zatrzymała się przez kilka chwil: kapłani, deputacje wybitnych mieszkańców Teb przeszły przez pole manewrów, by wyjść naprzeciw królowi, i uszykowały się rzędem w pozach najgłębszego szacunku, tak, żeby zostawić przejście wolne dla korowodu.

Orkiestra, mogąca sama przez się utworzyć małą armję, składała się z podwójnego kształtu bębnów i sistrów.

Pierwszy pluton przeszedł, wygrywając grzmącą fanfarę tryumfalną na krótkich trąbkach miedzianych, lśniących jak złoto. Każdy muzykant niósł pod pachą drugą trąbkę, jakgdyby instrument musiał zmęczyć się prędzej niż człowiek. Strój tych trębaczy składał się z krótkiej tuniki przewiązanej paskiem, którego długie końce spadały z przodu; opaska z dwoma piórami strusiem, obciskała ich bujne włosy. Pióra te, przyczepione rozbieżnie, przypominały różki skarabeuszów i nadawały tym, co byli w nie przystrojeni, dziwny pozór owadów.

Dobosze, ubrani w skromną spódnicę plisowaną, obnażeni do pasa, bili pałeczkami sykomorowemi

w oślą skórę swoich brzuchatych bębnow, według rytmu, jaki wskazywał, uderzając w dłonie, tambur-mażor, który odwracał się do nich często.

Po doboszach następowali gracze na sistrum, którzy potrzęsali instrumentem ruchem nagłym i urywanym, w miarowych przerwach, dzwoniąc metalowymi obręczami na czterech prętach bronzowych.

Każdy oddział orkiestry składał się z dwustu ludzi; ale huragan hałasu, jaki wytwarzały te trąby, bębny i sistry, od którego we wnętrzu pałacu popękałyby bębunki w uszach słuchaczy, nie był zbyt rażący, ani nadmiernie potężny pod bezgraniczną kopułą nieba na tej bezmiernej przestrzeni, wśród szmeru tłumy, na czele armji, zbliżającej się z hukiem wodospadu.

Czyż zresztą za dużo było tych ośmiuset muzykantów, poprzedzających Faraona, umiłowanego przez Ammona-Ra, wyobrażonego przez kolosy bazaltowe i granitowe, którego imię wypisane jest w kartuszach na niezniszczalnych pomnikach, a historia wyrzeźbiona i odmalowana na ścianach sal kolumnowych, na pylonach, w niezliczonych płaskorzeźbach, na freskach bez końca? czyż to za dużo istotnie dla monarchy, królującego nad stu narodami zwyciężonym i z wysokości tronu rządzącego ludami biczem, dla żywego słońca, wypalającego olśnione oczy, dla boka, niemal wieczengo?

Po orkiestrze nadchodzili jeńcy, barbarzyńcy o dziwacznych ruchach, o twarzy zwierzęcej, o czarnej

skórze i włosach kędzierzawych, podobni tyleż do małpy co i do człowieka, ubrani w strój narodowy,— krótką spódnicę, powyżej bioder przytrzymaną jedną szelką, haftowaną w różnokolorowe ozdoby.

Okrucieństwo, fantastycznie pomysłowe, kierowało krępowaniem tych jeńców. Jedni związani byli łokciami na plecach; inni rękami wzniesionemi nad głową, w pozycji nad wyraz bolesnej; ci mieli ręce ściśnięte w drewniane dyby; tamci szyję zdławioną obręczą żelazną albo sznurem, którym spętany był cały szereg ofiar, a osobny węzeł zaznaczał każdą z nich. Zdawało się, że ze specjalnem upodobaniem usiłowano wykrzywiać postawy ludzkie, krępując tych nieszczęśliwych, którzy, krokiem niezręcznym i przymusowym, przechodzili przed swoim zwycięzcą, przewracając oczami i skręcając się z bólu.

Strażnicy, idąc obok nich, regulowali ich chód chłostą.

Kobiety smagłe, z długimi, wiszącymi warkoczami, niosąc dzieci w płachcie, związanej na czole, szły za nimi, zawstydzone, pochylone, ukazując nagość wątlą i zniekształcaną, niby mędzne stado, służące do najniższego użytku. ?

Inne, młode i piękne, mające skórę jaśniejszą, ręce ozdobione szerokimi obrączkami z kości słoniowej, uszy wydłużone dużemi krążkami metalowemi, otulały się w tuniki o szerokich rękawach, ozdobione przy szyi szlakiem haftowanym i spadające w drobnych fałdach; biedne dziewczęta wyrwane ojczyźnie, rodzicom, może ukochanemu; uśmiechały się jednak

przez łyzy, potęga urody bowiem nie ma granic, osobli-
bliwość bywa matką kaprysu i może łaska królewska
czekała jedną z tych barbarzyńskich branek w tajem-
nicznych głębiach gynecceum.

Towarzyszili im żołnierze i osłaniali je od zet-
knięcia z tłumem.

Następnie szli chorążowie, wznosząc pozłacane
drzewce swoich sztandarów, na których wyobrażone
były mistyczne łodzie, święte krogulce, głowy Ha-
thory, strojne w pióra strusie, kartusze z imieniem
króla, krokodyle oraz inne symbole religijne lub wo-
jenne. Do tych sztandarów przywiązane były długie
białe jedwabne wstęgi, w czarne kropki, powiewają-
ce w ruchu pochodu.

Na widok chorążych, zwiastujących przybycie
Faraona, kapłani i dygnitarze wyciągnęli ku niemu
błagalnie ręce, lub też opuścili je na kolana dłońmi
ku górze odwrócone. Niektórzy nawet padli na klęcz-
ki, przycisnąwszy łokcie do boków, a czoło do ziemi,
w postawie zupełnej uległości i głębokiego uwiel-
bienia.

Herold czy lektor, trzymający w ręku zwój po-
kryty znakami hieroglifowemi, kroczył sam jeden
między chorążymi a służebnikami, niosącymi trybula-
rze, którzy poprzedzali lektykę króla.

Oznajmiał głosem silnym, rozlegającym się jak
trąba spiżowa, zwycięstwa Faraona: opowiadał prze-
bieg różnorodnych bitew, jaką liczbę jeńców i wozów
wojennych zabrano wrogowi, jaki jest łup wojenny,
jaka ilość złotego piasku, kłów słoniowych, piór stru-

sich, wonnej gумы, żyraf, lwów, panter i innych rzadkich zwierząt; przytaczał imiona dowódców barbarzyńskich, zabitych pociskami jego królewskiej mości, wszechpotężnego Aroerisa, ulubieńca bogów.

A tłum wydawał grzmiące okrzyki i z wysokości szpalerów ciskał na drogę zwycięzcy długie zielone gałęzie palmowe.

Nareszcie ukazał się Faraon!

Kapłani, odwracając się w jednakowych przerwach, rzucali kadzidło na rozżarzone węgle w bronzowej czarze, osadzonej na rączce w kształcie berła, zakończonego z przeciwnego końca głową świętego zwierzęcia, i, w pełnej szacunku postawie, szli tyłem, zaś wonny niebieskawy dym wznosił się ku nozdrzom tryumfatora, obojętnego na pozór na te hołdy, niby bóstwo z brązu lub bazytu.

Dwunastu oerisów, — wodzów wojskowych — podtrzymywało rodzaj puklerza, na którym stał tron Faraona; lekki kask, zdobny w strusie pióro nakrywał ich głowę, tors mieli obnażony, biodra owinięte chustą w sztywne fałdy, a u pasa zawieszoną tarczę. Tron Faraona, o nogach i poręczach w kształcie lwa, o wysokim oparciu, pokryty poduszką, opadającą niżej siedzenia, zdobila po bokach sieć kwiatów różowych i niebieskich; nogi, poręcze i spojenia były złoczone, a żywe barwy wypełniały miejsca od złoczeń wolne.

Po każdej stronie szosy, czterej wachlarzownicy poruszali, osadzonemi na złoczonych drzewcach, olbrzymiemi wachlarzami z piór, w półkole ułożonych;

dwaj kapłani nieśli wielki róg obfitości, z którego padały snopy olbrzymich lotosów.

Faraon miał na głowie kask, w kształcie mitry, wycięty do koła ucha i spadający na kark dla osłony, Na błękitnym tle kasku migotały kropki, podobne do źrenic ptasich, utworzone z trzech kółek czarnych, białych i czerwonych; szlak szkarłatny i żółty zdobił brzeg a symboliczna żmija, skręcając swe złote pierścienie na części tylnej, powstawała i pochylała się nad czołem królewskim; dwa długie welony purpurowe powiewały na ramionach i dopełniały tego wytwornego i majestatycznego stroju.

Szeroki napierśnik o siedmiu rzędach emalii, drogich kamieni i złotych pereł, lśnił żywym blaskiem w słońcu. Jako szatę wierzchnią miał Faraon rodzaj kaftana w kostkę różową i czarną, wydłużone końce zaś, jak bandaże, opasywały kilkakrotnie popiersie i obcisłały je szczelnie; rękawy, obcięte na wysokości bicepsów i zakończone poprzecznymi pasami złotymi, czerwonymi i niebieskimi, ukazywały ręce pełne i silne; na lewej widniała szeroka obrączka metalowa, przeznaczona do osłabienia dotknięcia cięciwy, gdy Faraon wypuszczał strzałę ze swego trójkątnego łuku, prawa zaś ozdobiona była bransoletą, w kształcie węża zwiniętego w kłębek i trzymającego długie berło złote, zakończone pączkiem lotosu.

Reszta postaci Faraona osłonięta była najcieńszem płótnem lnianem, suto fałdowanem, zebranem na biodrach w pas z płytek emaljowanych i złotych. Między kaftanem i pasem ukazywał się tors, lśniący

i gładki, jak różowy granit, ociosany przez sprawnego robotnika. Sandały z zakrzywionymi czubkami, podobne do patynek, ukrywały stopy wąskie i długie, przysunięte do siebie, jak stopy bogów na ścianach świątyni.

Twarz miał Faraon gładką, wygoloną, o dużych czystych rysach; zdawało się, że żadne wzruszenie ludzkie nie zdoła zmieniô jej wyrazu, że nie zabarwia jej krew życia pospolitego; jej bladość śmiertelna, usta zaciśnięte, ogromne, powiększone jeszcze czarnymi kreskami, oczy, których powieki nie spuszczały się podobnie, jak powieki świętego krogulca, całe to oblicze wzbudzało samą nieruchomością swoją, pełną szacunku trwogę. Wydawać się mogło, że utkwione w dal oczy wpatrzone były tylko w wieczność i w nieskończoność, przedmioty otaczające jakby się w nich wcale nie odbijały. Przesyt rozkoszy, znużenie rozkazami zaledwie wyrażonemi, a już spełnionemi, odosobnienie pół boga, który niema równego wśród śmiertelnych, odtrąca do hołdów uwielbienia i obojętność dla tryumfów sprawiły, że oblicze to skamieniało w granitowej pogodzie. Ozyrys, sędzia dusz, nie mógłby wydawać wyroków z większym majestatem i spokojem.

Wielki lew oswojony, leżąc obok tronu na noszach, wyciągał ogromne łapy, jak sfinks na cokóle i przy mrużał żółte źrenice.

Z kolei toczyły się wozy wojenne młodych książąt rodu królewskiego. Głowy tych książąt przystrajała opaska, która obciskała ich włosy i dokoła której

wiała się żmija królewska; szatą ich była tunika, ozdobiona u szyi na rękawach jaskrawemi haftami i objęta pasmem skórzanym, zapiętym na klamrę metalową z hieroglifami; za pas zatknięty był długi sztylet trójkątny ze spiżu, którego rękojeść zakończyła głowę krogulca.

Za książętami dążyła na wozach, w liczbie, dwudziestu tysięcy, kawalerja egipska, każdy wóz ciągnęły dwa konie, a w każdym jechało trzech wojowników. Na jednym z tych wozów stał wyprostowany wytworny Ahmosis, protegowany Nofre, i wodził wzrokiem po tłumie, szukając Tahoser.

Za wozami szły bataljony piechoty, a następnie niewolnicy nieśli, zapowiedziany przez herolda, łup wojenny, bądź na ramionach, bądź na noszach, wreszcie poskramiacze zwierząt, prowadzili na smyczy pantery, lamparty, które czołgały się po ziemi, jakby chcąc się ukryć, strusie, bijące skrzydłami, żyrafy, przewyższające tłum całą długością szyi, a nawet brunatne niedźwiedzie schwyttane, jak mówiono, w górach Księżycowych.

Król oddawna już był w pałacu, a korowód trwał jeszcze.

Mijając szpaler, gdzie zatrzymały się Tahoser i Nofre, Faraon, który w lektyce, niesionej na ramionach oerisów, znalazł się nad tłumem, na poziomie młodej dziewczyny, zwolna skierował na nią spojrzenie czarnych oczu; nie odwrócił głowy, nie drgnął ani jeden muskuł jego twarzy, a oblicze jego pozostało nieruchome, jak złota maska mumji; źrenice wszakże

przesunęły się między małowanemi powiekami w stronę Tahoser i iskra żądzy ożywiła ich ciemne głębie, co wywołało wrażenie takie przerażające, jakgdyby oczy bóstwa z granitu roziskrzyły się nagle, wyrażając myśl ludzką. Ręka króla uniosła się zlekka nad poręczą tronu; był to ruch niewidzialny dla wszystkich, dostrzegł go jednak jeden ze służebników, idący przy noszach, i oczy jego zwróciły się na córkę Petamunofa.

Wszelako noc zapadła nagle, bowiem w Egipcie niema zmierzchu gdyż noc, a raczej dzień błękitny, następuje po dniu żółtym. Na lazurze idealnej przezroczystości zapalały się niezliczone gwiazdy i iskrzyły się drżącym odblaskiem w wodzie Nilu, zmaconej barkami, które odwoziły ludność Teb na brzeg przeciwny; ostatnie zastępy armji kroczyły jeszcze po równinie, snując się jak pierścienie olbrzymiego węża, gdy łódź Tahoser przybiła do wrót jej pałacu.

IV.

Faraon przybył przed swój pałac, położony w niewielkiej odległości od pola manewrów, na lewym wybrzeżu Nilu.

W błękitnej przezroczystości nocy ogromna budowla przybierała rozmiary jeszcze kolosalniejsze a wielkie jej narożniki odcinały się na fioletowem tle łańcucha libijskiego z przerażającą, ponurą siłą. Pojęcie potęgi absolutnej łączyło się z temi masami niewzruszonymi i zdawało się, że wieczność musi spływać po nich, jak kropla wody po marmurze.

Wielki podwórzec, otoczony grubemi murami poprzedzał pałac; w głębi tego podwórca wznosiły się dwie kolumny o kapitelach w kształcie palmy, zaznaczając wejście do dziedzińca drugiego. Za kolumnami stał olbrzymi pylon, złożony z dwóch potwornych murów, obejmujących drzwi monumentalne, jakby przeznaczone raczej dla przejścia kolosów granitowych niż ludzi z ciała i kości. Poza temi propyleami, zapelniając głąb trzeciego dziedzińca, ukazywał się w całym potężnym majestacie pałac właściwy; na fasadach dwóch, w czworobok wysuniętych, korpusów przednich widniały płaskorzeźby wielkich rozmiarów wyobrażające w postaci uświęconej Faraona zwycięzcę, biczącego i tratującego swoich wrogów; były to niby przeogromne karty historii, wypisane dłutem w olbrzymiej księdze z kamienia, którą czytać miała najodleglejsza potomność.

Pawilony te przekraczały znacznie wysokość pylonu, a ich szerokie gzemsy z parapetami zaokrąglały się dumnie na tle grzbietu gór libijskich, tworzących ostatni plan obrazu. Łącząc pawilony, fasady pałacu zajmowała całą przestrzeń środkową. Ponad olbrzymiemi drzwiami ze sfinksem po bokach, jaśniały trzy piętra kwadratowych okien, zdradzając na zewnątrz oświetlenie wewnętrzne i zarysowując na ciemnej ścianie jakby świetlaną szachownicę. Na pierwszym piętrze wystawały balkony, podtrzymywane przez posągi jeńców w pozie pochylonej.

Oficerowie domu królewskiego, enuchowie, służebnicy i niewolnicy, uprzedzeniu o zbliżaniu się jego królewskiej mości fanfarami trąb i biciem w bębny,

wyruszyli na jego spotkanie i czekali klęcząc, lub bijąc czołem pokłony na kamiennych płytach dziedzińców; jeńcy z marnej rasy Szeto nieśli urny pełne soli i oliwy, gdzie zanurzony był knot, palący się jasnym, syczącym płomieniem, i stali w szeregu od drzwi pałacu do wejścia pierwszego podwórca, nieruchomi, jak świeczniki z bronzu.

Niebawem początek orszaku wkroczył do pałacu, a dźwięki trąb i bębnow zagrzmiały taką wrzawą, że ibisy, śpiące na gzemsach i parapetach, odrunęły.

Oficerowie zatrzymali się przed drzwiami fasady między dwoma pawilonami. Niewolnicy przynieśli stołek o kilku stopniach i umieścili go obok noszy; Faraon podniósł się powoli i przez kilka sekund stał nieruchomy, jak posąg. Stojąc na cokóle z ramion panował nad głowami orszaku, oświetlony dziwacznie, na pół przez księżyc wschodzący, na pół blaskiem lamp, w stroju, roziskrzonym emaljami i złocieniami, podobny był do Ozyrysa a raczej do Tyfona; krokiem posągu zeszedł ze stopni i wkroczył nareszcie do pałacu.

Przez pierwszy dziedziniec wewnętrzny, okolony szeregiem wielkich pilastrów, upstrzonych hieroglifami i podtrzymujący fryz, zakończony wolutą, przeszedł Faraon wolnym krokiem, wśród tłumu niewolników i bijących pokłony służebników.

W głębi dziedzińca drugiego widniały drzwi gynecceum i apartamentów tajnych, ozdobionych ze szczególnym przepychem.

Pod sufitem ciągnął się fryz z ureuszów wznie-
sionych na ogonie i wydymających szyję. Nade-
drzwiami, w zagłębieniu gżemsu, roztaczała swe
skrzydła olbrzymie mistyczna tarcza słoneczna; na
kolumnach, wznoszących się w linjach symetrycz-
nych, spoczywały grube listwy kamienne sufitu o błę-
kitnem tle, zasianem złotymi gwiazdami. Na ścia-
nach wielkie obrazy w płaskorzeźbach, malowane
najtłokrawszymi barwami, przedstawiały zwykle za-
jęcia w gynezeum i sceny z życia prywatnego. Wi-
dniał tam Faraon na tronie, grający poważnie w sza-
chy z jedną z żon swoich, która stała przed nim ob-
nażona, z szeroką opaską na głowie i kwiatami lo-
tosu. Na innym obrazie Faraon, nie tracąc nic ze
swego spokoju monarszego i kapłańskiego, wyciągał
rękę i dotykał podbródka młodej dziewczyny, ubra-
nej w naszyjnik i bransoletkę, podającej mu kwiaty
do wachania.

Gdzieindziej widniał niepewny i uśmiechnięty,
jakgdyby powstrzymał złośliwie wybór pośród mło-
dych królowych, które drażniły jego dostojną powagę
zalotnemi umizgami, przymilając się pieśczośliwie.

Inne płaskorzeźby przedstawiały muzykantki
i tancerki, kobiety w kąpieli, masowane przez nie-
wolnice, w wytwornych pozach, o kształtach, pełnych
wdzięku młodzieńczego, o czystości rysów, nieprze-
ścignionych przez żadną sztukę.

Rysunki ornamentacyjne, bogate i skompliko-
wane, wykonane artystycznie, w których zlewała się
harmonijnie zieleń, czerwień, błękit, biel i barwa

żółta, zapełniały puste przestrzenie. Na kartuszach i na pasach, wydłużonych w stele, umieszczone były tytuły Faraona i napisy na jego cześć.

Pomiędzy ogromnemi kolumnami stały wytworne stoliki z drzewa cedrowego, malowane i złoczone, a na nich czary brązowo napełnione wonnym olejem, z której knoty bawełniane czerpały pachnącą jasność.

Na przemian z temi lampami umieszczone były długie wazony, połączone girlandami kwiatów, które opadały do stóp kolumn, wespół z trawami polnemi i balsamicznemi roślinami.

W głębi wznosił się tron, którego nogi, dziwacznie skrzyżowane, zawierały w otworach cztery posążki jeńców barbarzyńskich — azjatyckich czy afrykańskich.

Z każdej strony tronu ustawione były fotele dla książąt nie takie bogate, niemniej jednak wytworne i pełne fantazji: Egipcjanie bowiem są równie sprawni w rzeźbieniu drzewa cedrowego, cyprysowego i sykomorowego, w złoceniu go, malowaniu, inkrustowaniu emalji, jak i ciosaniu w kamieniołamach Philoe lub Syeny, potwornych głazów granitowych dla pałaców faraonowych i świątyń.

Król przeszedł salę krokiem wolnym i majestatycznym a powieki jego nie drgnęły ani razu; nic nie wskazywało, że słyszy okrzyki miłości, jakimi go witano, albo że spostrzega istoty ludzkie, klęczące lub bijące pokłony, gdy je mijał, muskając ich czoła fałdami szaty, która falowała dokoła jego nóg; usiadł

z zesuniętymi stopami i dłońmi złożonemi na kolanach, w uroczystej postawie bóstw.

Młodzi książęta, piękni jak kobiety, zajęli miejsce z prawej i lewej strony ojca. Służebnicy uwolnili ich od napierśników emaljowanych, od pasów i mieczów, obłali im włosy esencjami, natarli ręce olejami aromatycznymi i podali girlandy kwiatów, świeże, pachnące naszyjniki, lepiej przystosowane do uroczystości, niż ciężkie bogactwo złota, drogich kamieni i pereł.

Piękne, nagie niewolnice, o smukłej postaci dziewczynek w latach przejściowych do wieku młodych dziewic, z biodrami obciśniętymi wąskim paskiem, który nie zasłaniał żadnego wdzięku, z kwiatem lotosu we włosach, z dzbankiem alabastrowym w ręku, krzątały się nieśmiało dokoła Faraona i polewały olejem palmowym ramiona jego, ręce i tors, gładkie i lśniące jak jaspis. Inne służebnice powiewały dokoła jego głowy wielkimi wachlarzami z malowanych piór strusich, oprawionemi w rączki z kości słoniowej lub z drzewa sandałowego, które, rozgrzane ich drobnymi dłońmi, różnosiło woń rozkoszną; niektóre niewolnice podnosiły do wysokości nozdrzy Faraona łądygi białych nenufarów o kielichu otwartym jak czara trybularza.

Wszystkie te zabiegi dokonywane były z głębokiem namaszczeniem, z pełną szacunku trwogą, jako przeznaczone dla istoty boskiej, nieśmiertelnej, która, zdjęta litością, zeszała ze stref wyższych między nędz-

ne stado ludzkie. Albowiem król jest synem bogów, ulubieńcem Phre, którym opiekuje się Ammon Ra.

Kobiety z gynezeum podniosły się i zasiadły na wspaniałych fotelach rzeźbionych, złożonych i malowanych, wysłanych poduszkami z czerwonej skóry: tak usadowione tworzyły linię głów wdzięcznych i uśmiechniętych, które pędzel malarza odtworzyłyby z upodobaniem.

Jedne odziane były w tuniki z białej gazy w pasy kolejno matowe i przezroczyste; z pod krótkich rękawów ukazywały się ręce szczupłe ale zaokrąglone, pokryte bransoletkami od dłoni do łokcia; inne, obnażone do pasa, miały na sobie spódnice, barwy jasno-lila, w pasy ciemniejsze, pokryte siatką z różowych rureczek szklanych, między którymi przeglądał kartusz Faraona, nakreślony na spódnicach; inne jeszcze przywdziały spódnice czerwoną i siatkę z czarnych paciorków; te znów, udrapowane w gazę, powiewną jak utkane powietrze, przezroczystą, jak szkło, obwijały się w nią i układały fałdy tak, aby uwydatnić zalotnie klasyczne zarysy łona; tamte obcisnęły się jakby w pochwę, upstrzoną łuskami niebieskimi, zielonemi i czerwonemi, a przylegającą ściśle do kształtów; były też i takie, które miały ramiona nakryte rodzajem mantyli plisowanej, zaś długą ich szatę, ozdobioną frendzlami, spinał pod piersiami pas z długimi końcami.

Niemniejszą różnorodnością zaznaczały się fryzury: tu włosy splecione, tam spadały swobodnie w gęstych zwojach na plecy i na policzki; wielkie peruki w locz-

ki kędzierzawe i w niezliczone warkoczyki, przytrzymane poprzecznie umocowanemi sznurkami złotemi, rzędami emalji lub pereł, stroiły, niby kaski, młode, śliczne głowy, które zwracały się do sztuki po niepotrzebną pomoc dla swej piękności.

Wszystkie te kobiety trzymały w ręku kwiat lotosu niebieski, różowy lub biały, i lubieżnie drgającemi nozdrzami wdychały przenikliwą woń, unoszącą się z wielkiego kielicha. Łodyga tego samego kwiatu, idąc od karku, zginała się z wdziękiem na ich głowie i składała swój pąk między brwi, uczernione antymonem.

Niewolnice czarne i białe, mające za całe odzienie opaskę na łądźwiach, podawały im kwieciste naszyjniki z białych nazewnątrz a żółtych wewnątrz krokoszów, z purpurowych kartamów, z heljokritysów złocistych, z niezapominajek, jakby zrobionych z takiej samej emalji niebieskiej, co posążki Izydy, z nepentesów, których odurzająca woń zacierą pamięć o wszystkim, nawet o dalekiej ojczyźnie.

Inne niewolnice niosły na dłoni prawej ręki pułhary srebrne albo brązowe, napelnione winem, w ręce lewej zaś trzymały serwetę, którą biesiadnicy ocierali usta.

Wina te czerpano z amfor glinianych, szklanych lub metalowych, umieszczonych w wytwornych koszach plecionych na podstawach z drzewa lekkiego i giętkiego. Kosze zawierały siedem gatunków wina daktylowego, palmowego i winogronowego, wino

białe, wino czerwone, wino zielone, wino fenickie i greckie, wino białe z nad Mareotisu, o woni fijołków.

Faraon wziął również puhar z rąk stojącego przy tronie podczaszego, i umoczył usta królewskie w posilającym napoju.

I rozbrzmiały harfy, liry, flety, mandory, wtórując hymnowi tryumfalnemu, zain-tonowanemu przez chórzystki, które, przyklękawszy na jedno kolano, uszykowały się nawprost tronu i wybijały takt dłońmi.

Zaczęła się biesiada. Potrawy przynosili Etyjopi z olbrzymich kuchen pałacowych, gdzie tysiąc niewolników zajętych było w atmosferze gorejącego ogniska przygotowaniami do uczty; półmiski z brązu, z wonnego, kunsztownie rzeźbionego drzewa, z gliny, lub emaljowanej żywemi barwami porcelany, zawierały ćwiartki wołowe, uda antylopy, gęsi z różną, sumy z Nilu, ciastka z sezamu i z miodu, arbuzy, o różowym miększu, granaty, pełne rubinów, winogrona koloru ambry lub ametystu.

Girlandy papyrusowe wieńczyły te półmiski zielonemi liśćmi; puhary były również okolone kwiatami a na środku stołów, wśród stosów jasnego chleba, naznaczonego wzorzystemi deseniami i hieroglifami, stały wysmukłe wazony, z których zwieszała się w kształcie parasolki olbrzymia wiązanka mirty, granatów, powoju, złocieni, heljotropu, serifjum i perikoplasu, łącząc wszystkie barwy i wszystkie zapachy. Pod stołami, dokoła cokółu, stały doniczki lotosu. Kwiaty, kwiaty, kwiaty, i jeszcze kwiaty, wszę-

dzie kwiaty! Nawet pod fotelami biesiadników; kobiety przystroiły niemi ręce, szyję, głowę, przywdziały bransoletki, naszyjniki, wieńce; lampy paliły się wśród wielkich bukietów; półmiski znikwały wśród liści; wina iskrzyły się w otoczeniu fijołków i róż; rozpanoszyła się niesłychana rozpusta kwiatowa, przeogromna orgja woni, zupełnie odrębnego charakteru, nieznanego u innych narodów.

Co chwila niewolnicy przynosili z ogrodów, które rabowali, nie mogąc ich zubożyć, naręcza liljowych pnączów, oleandrów, kserantosów, granatów, lotosów na miejsce kwiatów zwiedłych, służebnicy zaś rzucali na węgle trybularzy ziarenka cynamonu i innych wonności.

Gdy zabrano półmiski i szkatułki, rzeźbione w kształt ptaków, ryb, chimer, zawierające sosy i przyprawy, jak również kopystki z kości słoniowej, bronzu i drzewa oraz noże ze spiżu i krzemieni, biesiadnicy umyli ręce i pułhary krążyły w dalszym ciągu.

Podczaszy czerpał metalowem wiaderkiem, osadzonem na długiej rączce, wino ciemne i wino przezrocyste z dwóch wielkich waz złotych, ozdobionych łbami koni i baranów, a stojących na trójnogach przed Faraonem.

Teraz zjawiły się muzykantki, albowiem chór muzykantów się oddalił: szeroka tunika gazowa okrywała ich postać smukłą i młodą, osłaniając je nie więcej, niż czysta woda basenu ukrywa kształty tej, która się w niej zanurza; girlanda z papyrusu przy-

trzymywała bujne włosy; kwiat lotosu jaśniał na czubku głowy; wielkie obrączki złote lśniły w uszach; naszyjnik z emalji i pereł okalał szyję, a za każdym ruchem dłoni brzęczały bransoletki.

Jedna grała na harfie, inna na mandorze, trzecia na podwójnym flecie, mając ręce dziwacznie skrzyżowane: prawą na flecie lewym a lewą na prawym; czwarta trzymała pionowo przy piersi lirę pięciostunną; piąta biła w oślą skórę kwadratowego bębna. Dziewczynka siedmio- czy ośmioletnia, naga, z główką osypaną kwiatami, wybijała takt, klaszcząc w dłonie.

I wkroczyły tancerki: szczupłe były, wysokie, giętkie, jak węże; wielkie ich oczy błyszczały między czarnymi linjami powiek, zęby z konchy perłowej między czerwonymi linjami warg; długie zwoje włosów biczowały ich policzki, niektóre przywdziały obszerne tuniki w białe i niebieskie pasy, które snuły się dokoła nich jak obłok mgły; inne — tylko ową prostą spódnicę plisowaną, która zaczyna się na biodrach a kończy u kolan, pozwalając podziwiać nogi kształtne i delikatne, uda zaokrąglone, sprężyste i silne.

Zrazu przybierały pozy powolne a lubieżne, pełne leniwego wdzięku; poczem, potrząsając kwiecistymi gałązkami, uderzając bronzowemi rzegotkami z głową Hathory, bijąc drobnymi piastkami w tambury, przeszły do kroków żywszych, do śmielszych wyginań, do piruetów i wirowały ze wzrastającym zapalem. Ale Faraon, zadumany, nie raczył najlżej-

szym znakiem wyrazić uznania; oczy nieruchome nie spojrzały nawet na tancerki.

Oddały się, zarumienione i zmieszane, przyciskając dłonie do zadyszanej piersi.

Karły o wykrzywionych nogach, o tułowiu bezkształtnym, którzy mieli przywilej spędzania chmur z czoła granitowego majestatu Faraona, nie większem cieszyli się powodzeniem: dziwaczne ich przedrzeźniania nie wywoływały ani jednego uśmiechu na jego usta.

Przy dźwiękach dziwacznej muzyki, złożonej z harf trójkątnych, z sistrów, rzegotek, kotłów i trąb, błazny egipskie, w wysokich białych mitrach śmieszego kształtu, szli, powtarzając komiczne ruchy z automatyczną dokładnością i śpiewając nedorzeczne piosenki, pełne dysonansów. Jego królewska mość nie drgnął.

Pozostał też nieczuły na sztuki gimnastyczne gro-na kobiet, które dokazywały cudów zręczności i sprawności. Nie przypadły mu również do smaku zapasy dwóch szermierzy, ani go zabawiali mężczyźni, rzucający w kłoc drzewa noże, trafiając niechybnie ostrzem w miejsce oznaczone. Odepchnął nawet szachownicę, którą mu podawała do gry piękna Twea, ciesząca się zazwyczaj jego łaskami; napróżno Amense, Taia, Hont-Resze próbowały nieśmiałych pie-szczot; wstał i udał się do swoich komnat, nie prze-mówiwszy słowa.

W progu stał nieruchomy służebnik, który pod-

czas korowodu tryumfalnego zauważył niedostrzegalny gość jego królewskiej mości.

I rzekł:

— O królu, przez bogów umiłowany, odłączyłem się od orszaku; popłynąłem przez Nil w wątej barce z papyrusu śladem łodzi owej kobiety, na którą raczyło paść twoje krogulcze spojrzenie: to Tahoser, córka kapłana Petamunofa!

Faraon uśmiechnął się i odparł:

— Dobrze! daję ci wóz z końmi, pektorał z lapis lazuli i krwawników oraz tyle złota, ile zaważy bryła zielonego bazaltu.

A kobiety, zrozpaczone, wrywały kwiaty z włosów, darły szaty gazowe, łąły na kamiennych płytach posadzki, które odbijały jak zwierciadła, ich przepiękne ciała.

— Pewnie jedna z tych przeklętych branek barbarzyńskich odebrała nam serce naszego pana! — zawodziły.

V.

Na lewym brzegu Nilu ciągnęła się siedziba Poe-rigo, owego młodzieńca, na którego widok zmieszła się tak bardzo Tahoser, gdy, dążąc na wjazd tryumfalny Faraona, przejeżdżała w wozie, ciągniętym przez woły, pod balkonem, gdzie stał, oparty niedbale, piękny marzyciel.

Była to posiadłość rozległa, złożona z folwarku i domu mieszkalnego, a zajmująca między brzegami rzeki i pierwszymi grzbietami łańcucha libijskiego

duży obszar gruntu, który w czasie wylewu pokrywała czerwona woda, niosąca użyźniający muł; przez resztę roku zaś umiejętne odprowadzanie ilości wody zaopatrywało ziemię w potrzebną wilgoć.

Ogród, śpichrze, magazyny i dom okolone były murami z kamienia wapiennego, wydobytego z pobliskich gór; mury te, zlekka skośne, zakończone były gzemsem z metalowemi kolcami, mogącemi powstrzymać każdego, kto usiłowałby przedostać się poza ich obręb. Trzy bramy, przytwierdzone do wielkich słupów, ozdobionych na szczycie kapitelu olbrzymim kwiatem lotosu, przecinały mur w trzech ścianach; w miejsce bramy czwartej zaś wznosił się pawilon, wychodzący jedną fasadą na ogród, a drugą na gościniec.

Pawilon ten nie przypominał niczem domów w Tebach: architekt, który go wybudował, nie szukał mocnej podstawy, monumentalnych linii, bogatych materiałów budowli miejskich, nadając natomiast budynkowi wytworną lekkość, orzeźwiającą prostotę, wdzięk sielankowy, harmonizujący z zielonością i spokojem wsi.

Podmurowanie dolne, do którego fale Nilu podczas przypływu mogły dotrzeć, było z wapienia, reszta zaś z drzewa sykomorowego. Długie wydrążone kolumny niesłychanej smukłości, podobne do drzewca sztandarów, powiewających przed pałacami królewskimi, szły jednym rzutem od ziemi do gzemsu w palmy, rozszerzając pod małym sześcianiem w kielich lotosu swoje kapitele.

Jedyne piętro, wzniesione nad parterem, nie sięgało brzegu dachu tarasami zbudowanego, skutkiem czego powstała próżnia między sufitem willi a tym dachem.

Niskie kolumnienki o kwiecistych kapitelach, rozdzielone po cztery przez kolumny wysokie, tworzyły dokoła otwartą galerję.

Przez okna o podwójnych skrzydłach, szersze u osady niż u góry, zgodnie ze stylem egipskim, wpadało światło na pierwsze piętro. Parter oświetlony był oknami węższymi i bardzo do siebie zbliżonemi.

Cała budowa malowana była barwami łagodnemi i wesołemi, lotosy kapiteli wymykały się z zielonej szypułki to różowe to niebieskie; palmety gzemsów, zarysowywały się na tle lazurów — na białych ścianach fasad uwydatniały się malowane futryny okien a czerwone i zielone prążki naśladowały spojenia kamieni.

Poza murem okólnym, przylegającym do pawilonu, wznosił się szereg drzew, strzyżonych i tworzących zasłonę od wiatru południowego, niosącego zawsze żar pustyni.

Przed pawilonem rozpościerała się wielka winnica; kamienne kolumny z lotosem na kapitelach, w symetrycznym oddaleniu ustawione, zaznaczały w winnicy aleje, przecinające się prostokątnie; szcepki winne przerzucały z jednego na drugi girlandy gałązek i tworzyły łuki liściaste, pod którymi można było przechadzać się swobodnie. Ziemia, wygracowana starannie i usypana w maleńkie wzgórki u stóp każ-

dego szczepu, brunatną barwą swoją uwydatniała wesołą zielen liści, wśród których igrały ptaki i promienie.

Z każdej strony pawilonu na przezroczystem zwierciadle dwóch podłużnych sadzawek wznosiły się kwiaty i ptaki wodne. W rogach tych sadzawek cztery wielkie palmy rozpościerały, jak parasol, na szczycie pnia, rzeźbionego w łuski, zieloną aurełę liściastą.

Wąskie ścieżki, równomiernie wytknięte, przecinały w kwatery ogród dokoła winnicy. Aleja, niejako okólna, wysadzona była naprzemian palmami afrykańskimi i sykomorami; na kwaterach rosły figowce, brzoskwinie, migdały, oliwki, granaty i inne drzewa owocowe; to znów drzewa ozdobne, akacje, tamaryndy, kasje, mitry, mimozy i wonne krzewy, pochodzące z po za katarakt Nilu, z oaz pustyni Libijskiej i z nad brzegów zatoki Erytrejskiej; Egipcjanie bowiem zamiłowani są w hodowli krzewów i kwiatów i wymagają od narodów podbitych daniny z nowych odmian.

Kwiaty najrozmaitsze, różne gatunki arbuzów, łubinu, cebule zdobiły rabaty; na dwóch większych sadzawkach, zasilanych przy pomocy kanału krytego, idącego od Nilu, stały niewielkie czółna, by umożliwić panu domu rozrywkę rybołówstwa: albowiem ryby różnych kształtów i kolorów prześlizgiwały się w przezroczystej wodzie sadzawek między łodygami i szerokimi liśćmi lotosu, a bujne zarośla otaczały je i przeglądały się w ich zielonej toni.

Przy każdej sadzawce wznosił się kiosk, utworzo-

ny z kolumnienek, podtrzymujący dach lekki i okolony balkonem otwartym, gdzie można było napawać się widokiem wody i odychać chłodem ranka i wieczora, spoczywając na leżakach z drzewa i sitowia.

Ten ogród, oświetlony przez wschodzące słońce wyglądał jak siedziba wesołości, wypoczynku i szczęścia. Zieleń drzew była taka świeża, barwy kwiatów takie pełne blasku, powietrze i słońce zalewały tak radośnie rozległą przestrzeń powiewami i promieniami, że brała ochota zatrzymać się i rozbić tu swój namiot. Istne gniazdko, uwite dla wymarzonego szczęścia!

Alejami szli służebnicy z dzbanami glinianymi, pełnymi wody, którą wlewali do rowu, wykopanego dokoła każdej rośliny. Inni wodą z naczynia, zawieszzonego na żerdzi, przytwierdzonej do słupa, zasilali drewniane korytko, skąd płynął orzeźwiający strumień na najbardziej wysuszone grunty ogrodu. Inni jeszcze strzygli drzewa, nadając im kształt okrągły lub kulisty; przy pomocy motyki, zrobionej z dwóch kawałków twardego drzewa, związanych sznurkiem, robotnicy uprawiali ziemię pod nową plantację.

Ujmujący był widok tych mężczyzn o czarnej, kędzierzawej czuprynie, o torsie barwy ceglastej, ubranych w zwyczajne białe majtki, krzątających się wśród krzaków i zarośli czynnie lecz bez nieładu, w takt wiejskiej pieśni, którą nucili. Ptaki, siedzące na drzewach, znały ich widocznie i nie odlatywały prawie wcale, gdy, przechodząc, potrącali o gałęzie.

Drzwi pawilonu otworzyły się i Poeri ukazał się w progu. Jakkolwiek ubrany był według mody egip-

skiej, niemniej rysy jego nie miały nic wspólnego z typem narodowym i nie trzeba było przyglądać mu się długo, żeby stwierdzić, że nie należał do rasy krajowców doliny Nilu. Nie było to napewno Rot-en-nerome; nos orli, policzki płaskie, wąskie wargi, poważne usta, doskonały ował twarzy różniły się zasadniczo od nosa afrykańskiego, wystających kości policzkowych, grubych warg i szerokiej twarzy Egipcjan.

Karnacja również była odmienna; czerwony odcień miedziany zastąpiła oliwkowa bladość, zabarwiona niedostrzegalnie różowym tonem krwi zdrowej i czystej; oczy, zamiast iskrzyć się czarną źrenicą między kreskami antymonowemi, jaśniały ciemnym szafiry jak niebo nocy; włosy bardziej jedwabiste, układały się w zwoje mniej odporne; ramiona nie miały owej sztywnej linii poprzecznej, odtwarzanej, jako charakterystyczny znak rasy, w posągach świątyń i na freskach grobowców.

Wszystkie te odrębności składały się na rzadką urodę, wobec której córka Petamunofa nie mogła pozostać nieczułą. Od dnia, w którym Poeri ukazał się jej przypadkiem, oparty na galerji pawilonu, w miejscu ulubionem, gdy nie zajmowała go już praca na folwarku, powracała wielokrotnie, pod pozorem spaceru, i przejeżdżała wozem swoim pod balkonem willi.

Ale, jakkolwiek przywdziewała najwytworniejsze tuniki, stroiła się w najcenniejsze naszyjniki, w bransolety najmisterniej cyzelowane, wieńczyła głowę najświeższymi kwiatami lotosu, przedłużała do skroni czarną linję oczu, ożywiała lica szminką, nigdy

Poeri nie zwrócił na nią uwagi. Jednakże Tahoser była bardzo piękna, a miłość, o której nie wiedział, lub którą pogardzał melancholijny mieszkaniec willi, okupiłby Faraon bardzo drogo; za córę kapłana oddałby Tweę, Talę, Amense, Hont-Resze, branki azjatyckie, naczynia srebrne i złote, ryngrafy z kolorowych kamieni, wozy wojenne, armję niezwy- cieżoną, berło, wszystko, nawet grobowiec, nad którym od początku jego panowania pracowały w podziemiach tysiące robotników.

Miłość w strefach gorących, w które wnosi żar wiatr płomienny, inna jest niż na ziemiach północ- nych, gdzie, wraz z mgłą śniegową, idzie z nieba spokój; tam krąży w żyłach nie krew lecz ogień: to też Tahoser opadała na siłach i omdlewała, jakkolwiek orzeźwiała się wonnościami, otaczała się kwiatami i chłodziła napojami, przynoszącemi zapomnienie. Muzyka nudziła ją lub podniecała nadmiernie jej wrażliwość; tańce towarzyszek nie sprawiały jej już żadnej przyjemności; w nocy sen uciekał z jej po- wiek i, rozgorączkowana, bez tchu prawie, z piersią, wezbraną westchnieniami, opuszczała zbytłowne łóże i rzucała się na wielkie płyty kamiienne, opierając łono na twardym granicie, chcąc je ochłodzić.

W nocy, która nastąpiła po tryumfalnym wjeździe Faraona, Tahoser czuła się taka nieszczęśliwa, taka niezdolna do życia, że nie chciała umrzeć bez osta- tniej jeszcze próby.

Otuliła się w draperję z pospolitego materiału,

zachowała tylko jedną bransoletkę z wonnego drzewa, owinęła dokoła głowy welon z gazy w pasy i o pierwszym brzasku dnia opuściła swoją komnatę, tak, że Nofre, śniąca o pięknym Ahmosisie, jej nie słyszała, przeszła przez ogród, otworzyła zasuwę furtki, wychodzącej na wybrzeże, wyszła na bulwark, obudziła wioślarza, który spał w głębi swego czółna papyrusowego, i kazała się przewieźć na przeciwległy brzeg rzeki.

Chwiejnym krokiem, przyciskając drobną dłoń do serca, by przytłumić jego bicie, szła ku pawilonowi Poeriego.

Był już jasny dzień i bramy otwierały się, wypuszczając woły, idące w zaprzęgu do roboty i stada, wychodzące na paszę.

Tahoser uklękła w progu i błagalnym ruchem wzniosła rękę nad głowę; piękniejsza jeszcze była może w tej pokornej postawie, w tem ubogiem odzieniu. Pierś jej drżała, łzy płynęły po bladych licach,

Poeri spostrzegł ją i wziął za to, czem była istotnie — za kobietę bardzo nieszczęśliwą.

— Wejdz, — rzekł, — wejdz, bez obawy, dom jest gościnnie.

VI.

Tahoser, ośmielona przyjaznymi słowami Poeriego, zaniechała postawy błagalnej i powstała. Żywy rumieniec barwił jej, przed chwilą jeszcze takie blade, lica; wraz z nadzieją powracała w niej wstydlivość; rumieniła się za czyn niezwykły, do którego popchnęła ją miłość, i zawahała się w tym progu,

tylokrotnie przekraczanym w marzeniach: skrupuły dziewicy, stłumione przez namiętność, powstawały nanowo wobec rzeczywistości.

Młodzieniec, mniemając, że jedynie nieśmiałość, towarzyszka niedoli, powstrzymała Tahoser od wejścia do domu, rzekł głosem dźwięcznym i łagodnym, w którym przebijał akcent cudzoziemski:

— Wejdz, dziewczę, i nie drżij, dom jest taki obszerny, że może ci dać schronienie. Jeżeliś znużona, odpocznij, jeżeli jesteś spragniona, służebnicy moi przyniosą ci wody czystej, ochłodzonej w naczyniach glinianych; jeżeli głód ci dokucza, położą przed tobą chleb pszeniczny, daktyle i figi suszone.

Córka Petamunofa, zachęcona temi gościnnemi słowy, weszła do domu, który usprawiedliwiał hieroglif powitalny, na drzwiach wypisany.

Poeri zaprowadził ją do komnaty parterowej, o ścianach malowanych warstwą farby białej, na której pręciki zielone, zakończone kwiatami lotosu, zaznaczały miłe dla oka kwatery. Cienka mata z różnokolorowego, symetrycznie plecionego, sitowia pokrywała podłogę; w każdym rogu wielkie wiązanki kwiatów zwieszały się z długich wazonów, stojących na cokółkach, i roznosiły wonie swoje w orzeźwiający cieniu komnaty. W głębi niska kanapa, której drzewo ozdobiły wyobrażenia liści i zwierząt fantastycznych, kusiła szerokiem wezgiłowiem do spoczynku. Dwa ciemne fotele z trzciny nilowej, o oparciu wygiętem w łuk, stołek drewniany, wydrążony w konchę, oparty na trzech nogach, stół po-

dłużny, również o trzech nogach, obramowany inkrustacjami, ozdobiony na środku ureuszami, girlandami i godłami rolnictwa, na którym stał wazon lotosów różowych i niebieskich, dopełniał umeblowania, pełnego prostoty i wdzięku sielankowego.

Poeri zasiadł na kanapie. Tahoser podwinęła jedną nogę pod udo, drugą zgięła w kolanie i tak spoczęła przed młodzieńcem, który utkwiał w niej wzrok życzliwy a pytający.

Przecudna była w tej pozie: welon gazowy, którym owinęła głowę, opadł w tył, odsłaniając obfite zwoje włosów, przewiązanych wążką białą opaską, i jej oblicze, łagodne, urocze i smutne. Tunika bez rękawów ukazywała kształtne ręce aż do ramienia i zostawiała im zupełną swobodę ruchów.

— Nazywam się Poeri — rzekł młodzieniec — i jestem rządcą dóbr koronnych, mającym prawo nosić na głowie podczas uroczystości rogi baranie złożone.

— A moje imię Hora — odparła Tahoser, która zgóry ułożyła bajeczkę o sobie, — rodzice moi umarli już, zaś z dóbr ich, sprzedanych przez wierzycieli, otrzymałam tylko tyle, że zdołałam opłacić ich pogrzeb. Pozostałam zatem sama i bez środków; ale, skoro chcesz mnie przygarnąć, będę umiała być ci wdzięczna za gościnność; wykształcono mnie w robotach kobiecych, jakkolwiek stanowisko moje nie zmuszało mnie do ich wykonywania. Umiem kręcić wrzeciono, tkąć płótno, wrabiając nitki różnokolorowe, naśladować kwiaty i kreślić ozdoby igłą na ma-

terjałach; potrafię nawet, gdy będziesz wyczerpany pracą, a upał dzienny cię znuży, rozerwać cię śpiewem, grą na harfie lub mandorze.

— Horo, bądź pozdrowiona u Poeriego — rzekł młodzieniec. — Znajdziesz tutaj, nie nadwyreżając sił, bo wydajesz się delikatna, zajęcie odpowiednie dla młodej dziewczyny, która znała lepsze czasy. Śród moich służebnych są dziewczęta bardzo miłe i bardzo zacne, które ci będą miłymi towarzyszkami i zaznajomią cię z trybem życia w tej wiejskiej siedzibie. Dni wszakże następują po sobie i nadejdą może dla ciebie czasy lepsze. Jeśli nie będziesz mogła zestarzeć się powoli u mnie w zamożności i spokoju: gość zesłany przez bogów, jest święty.

Wypowiedziawszy te słowa, Poeri wstał, jakgdyby chciał uniknąć podziękowań rzekomej Hory, która schyliła się do jego stóp i całowała je, jak czynią nieszczęśliwi, którym wyświadczone jakąś łaskę; ale rozkochana zastąpiła błagającą i jej świeże różowe usta odrywały się z trudnością od tych pięknych stóp, czystych i białych, jak jaspisowe stopy bóstw.

Poeri, zanim wyszedł pilnować robotników, pracujących na obszarze posiadłości, odwrócił się w progu komnaty i rzekł do Hory:

— Pozostań tutaj, dopóki nie wyznaczę ci pokoju. Przyślę ci jadło przez jednego z moich służebników.

I oddalił się krokiem spokojnym, a na ręku jego kołysał się zawieszony bicz, symbol jego władzy. Pracownicy witali go, przykładając jedną rękę do głowy, a dru

gą do ziemi; ale serdeczność ich powitania wskazywała że był to pan dobry. Niekiedy zatrzymywał się, dając rozkaz lub radę, był bowiem bardzo uczony w sprawach, dotyczących rolnictwa i ogrodnictwa; poczem szedł dalej, rzucając oczami w prawo i w lewo, bacząc na wszystko. Tahoser, która szła za nim pokornie do drzwi i, z łokciem na kolanie, a podbródkiem na dłoni, usiadła skulona w progu, śledziła go wzrokiem, dopóki nie znikł pod liściastem sklepieniem. Oddawna już nie było go widać, a ona jeszcze goniła go spojrzeniem.

Służebnik, stosownie do rozkazu, jaki Poeri wydał, przechodząc, przyniósł na tacy gęsie udo, cebule pieczone w popiele, chleb pszeniczny i figi, oraz dzbanek wody, zatkany liśćmi mirtowemi.

— Oto co pan ci przysyła; jedz, dziewczyno, i odzyskaj siły.

Tahoser nie była bardzo głodna, ale rola jej wymagała, by okazała apetyt: nieszczęśliwi winni rzucać się na potrawy, jakie im podaje litość. Jadła zatem i napiła się świeżej wody.

Skoro służebnik się oddalił, wróciła do zadumy. Tysiące sprzecznych myśli wirowały w jej młodej głowie: to, pod wpływem wstydlivosti dziewiczej, żalowała swego czynu; to znów, namiętną miłością kierowana, rada była, że zdobyła się na taką odwagę. A potem mówiła sobie:

„Oto jestem wprawdzie pod dachem Poeriego, będę go widywała codziennie; upajać się będę w cichości jego pięknnością, która jest raczej urodą

boga niż człowieka; słyszeć będę jego uroczy głos, brzmiący niby muzyka duszy, ale on, który nigdy nie zwrócił uwagi na mnie, gdy przejeżdżałam mimo jego pawilonu, okryta barwnymi sztami, strojona w najprzedniejsze klejnoty, pachnąca wonnościami i kwiatami, stojąca na wozie malowanym i złocym, osłoniętym parasolem, otoczona, jak królowa, orszakiem służby, czy zauważy prędzej ubogą dziewczynę, przygarniętą przez litość i ubraną w strój z pospolitego materiału?

„Czego nie zdołał dokazać mój zbytek, czy dokaże moja nędza? Może jednak jestem szpetna a Nofre mówi pochlebstwa, twierdząc, że od nieznanego źródła Nilu do miejsca, gdzie wpada do morza, niema dziewczęcia piękniejszego niż jej pani... Nie, jam piękna: mówiły mi to po tysiąc razy pałające oczy mężczyzn, a zwłaszcza gniewne spojrzenia i pogardliwe miny kobiet, które mnie mijały. Czy Poeri, który wzbudził we mnie taką szaloną miłość, pokocha mnie kiedykolwiek? Byłby wczoraj przyjął tak samo starą kobietę o czole, przeciętem zmarszczkami, o wyschłej piersi, owiniętą w ohydne łachmany, okrytą kurzem. Każdy inny byłby niezwłocznie pod przebraniem poznał Tahoser, córkę wielkiego kapłana Peta-munofa; ale on nigdy nie zniżył swego spojrzenia na mnie, jak nie zniża go posąg bóstwa bazaltowego na pobożnych, którzy składają mu ofiary w ćwiartkach antylopy i naręczach lotosu.“

Te rozmyślania osłabiały odwagę Tahoser, niebawem jednak ufność wracała i młoda dziewczyna mówiła sobie, że piękność jej, młodość i miłość wzruszą w koń-

cu to serce nieczułe: będzie taka łagodna, taka troskliwa, taka oddana, tyle sztuki i zalotności włoży w swój ubogi strój, że Poeri napewno nie zdoła się oprzeć. I przyrzekała sobie, że wówczas wyzna mu, iż skromna służebnica jest dziewczęciem z wysokiej sfery, posiadającym niewolników, ziemie i pałace, i w marzeniach roiła o życiu bezbrzeżnego, promiennego szczęścia.

„Przedewszystkiem, trzeba być piękną“, powiedziała sobie i skierowała się ku jednej z sadzawek.

Tu uklękła na kamiennej cembrowinie, obmyła twarz, szyję i ramiona; zmacona woda, w zwierciadle, potrąskaniem na tysiące kawałków, odbijała jej oblicze niewyraźne i drżące, które uśmiechało się do niej, jakby przez zieloną gazę, a rybki, dostrzegłszy jej cień, podpływały gromadnie do brzegu, w mniemaniu, że rzuci im trochę okruchów.

Zerwawszy kilka lotosów, rozkwitłych na powierzchni sadzawki, okręciła łodygi dokoła opaski na włosach i utworzyła strój głowy, jakiemu nie dorównałaby cała sztuka Nofre, opróżniając szkatuły z klejnotów.

Gdy skończyła, podniosła się, orzeźwiona i promienna, a oswojony ibis, który przypatrywał się poważnie jej zabiegom, uniósł się na wysokich łapach, wyciągnął długą szyję i zatrzepotał kilkakrotnie skrzydłami, jakgdyby bijąc oklaski.

Teraz Tahoser powróciła na miejsce w drzwiach pawilonu i oczekiwała Poeriego. Niebo jaśniało głębokim szafirem; światło drgało widocznymi falami w przezroczyście powietrza; upajające wonie uno-

sily się z kwiatów i roślin; ptaki przeskakiwały z gałęzi na gałąź, chwytając dziobkiem tu i owdzie jagodę, motyle gonily się i wirowaly dokoła. Z tym radosnym krajobrazem łączyl się widok pracy ludzkiej, który rozweselał go bardziej jeszcze, nadając mu duszę. Ogrodnicy krzątali się wszędzie; służebnicy szli, niosąc pęki roślin i wiązki jarzyn; inni, stojąc u stóp figowców, zbierali w koszyki owoce, które rzucaly im, tresowane specjalnie i usadowione na górnych gałęziach, małpy.

Tahoser z zachwytem wpatrywała się w otaczającą przyrodę, której spokój wstępował w jej duszę, i powiedziała sobie: „Och! jakże słodko byłoby być kochaną tutaj, wśród światła, woni i kwiatów!”

Poeri ukazał się w ogrodzie; ukończył inspekcję i udał się do swojej komnaty, by spędzić tam gorące godziny dnia, Tahoser poszła za nim nieśmiało i zatrzymała się przy drzwiach, gotowa oddalić się, za najlżejszem skinieniem; ale Poeri dał znak, żeby została.

Postąpiła kilka kroków i ukłękła na macie.

— Powiedziałaś mi Horo, że umiesz grać na mandorze; weź ten instrument, zawieszony na ścianie, uderz w struny i zaśpiewaj mi jaką starą melodię, bardzo łagodną, bardzo tkliwą i bardzo spokojną. Sen, który schodzi na nas, wykołysany muzyką, przynosi cudne marzenia.

Córa kapłana zdjęła mandorę, zbliżyła się do łóża, na którym wyciągnął się Poeri, składając głowę na podporze drewnianej, wyłobionej w półksiężyc, wyciągnęła rękę do końca rękojęści instrumentu, któ-

rego pudło przycisnęła do bijącego serca, przesunęła palce po strunach i wydobyła kilka akordów. Poczem zaintonowała głosem wprawnym, jakkolwiek nieco drżącym, starą melodję egipską, niby westchnienie przodków, przekazywane z pokolenia na pokolenie, w której powtarzał się ciągle ten sam frazes, przejmujący jednostajnością i słodyczą.

— Istotnie, — odezwał się Poeri — zwracając szafirowe źrenice ku młodej dziewczynie, — nie zawiodłaś mnie. Znasz rytm i śpiew, jak muzykantka z załodu i mogłabyś popisywać się sztuką swoją w pałacu królów. Ale pieśni swojej nadajesz nowy wyraz. Można by powiedzieć, że sama stworzyłaś melodję, którą śpiewasz, tchnęłaś w nią czarodziejski urok. Twoje oblicze nie jest już takie, jakie było zrana; wydaje się, że po przez ciebie ukazuje się kobieta inna, jakby światło za zasłoną. Kto jesteś?

— Jestem Hora, — odparła Tahoser; — czyżem ci już nie opowiedziała swoich dziejów? Tylko otarłam twarz z kurzu przydrożnego, wyprostowałam fałdy zgniecionej szaty i wetknęłam kwiat we włosy. Jeżeli jestem uboga, to nie racja, żebym była brzydka, a bogowie odmawiają niekiedy urody bogaczom. Ale raczyłybyś jeszcze posłuchać?

— Tak! powtórz tę melodję, która mnie czaruje, obezładnia i pozbawia pamięci, jak puhar nepentesu; powtarzaj dopóki sen wraz z zapomnieniem nie zstąpi na moje powieki.

Oczy Poeriego, utkwione zrazu w Tahoser, przymknęły się niebawem, a potem zwały zupełnie. Młoda dziewczyna brzdąkała w dalszym ciągu na stru-

nach mandory i powtarzała coraz cichszym głosem zwrotkę swej pieśni. Poeri spał; Tahoser umilkła i zaczęła chłodzić go wachlarzem z liści palmowych, leżącym na stole.

Poeri był piękny, a sen nadawał jego czystym rysom niewysłowiony wyraz obezwładnienia i tkliwości; zdawało się, że długie rzęsy, opadające na twarz, przesłaniają mu jakąś wizję niebiańską, a kształtne pąsowe wargi drżały, nawpół rozchylone, jakgdyby wypowiedziały nieme słowa istocie niewidzianej.

Tahoser stała długo zapatrzona w śpiącego, poczemś ośmielona ciszą i samotnością, oszalała wzruszeniem, pochyliła się, powstrzymując oddech, przyciskając dłoń do serca, i złożyła na jego czole trwożliwy, przelotny, uskrzydłony pocałunek; poczem wyprostowała się, zawstydzona i cała w rumieńcach.

Poeri odczuł przez sen usta Tahoser; westchnął i szepnął po hebrajsku:

— O Rachelo, umiłowana Rachelo!

Na szczęście te wyrazy, wypowiedziane w języku nieznanym, nie miały żadnego znaczenia dla córki Petamunofa; powróciła do wachlarza z liści palmowych, bojąc się, żeby się Poeri nie przebudził i pragnąc tego przebudzenia.

VII.

Skoro zaświtał dzień Nofre, która spoczywała na małym łóżeczku u stóp swej pani, zdziwiła się, nie słysząc klaskania w dłonie, którem Tahoser zazwyczaj ją wzywała. Podniosła się na łokciu i zobaczyła, że łożo jest puste. Pierwsze promienie słońca, sięgały dopiero fryzu portyku i zaczynały zaledwie rzucić na

ścianę cień kapitelów i wyższych słupów kolumn. Tahoser zwykle nie wstawiała tak rano i nie opuszczała łoża bez pomocy swoich służebnic; nigdy również nie wychodziła przed zatarciem we fryzurze śladów rozwichrzenia nocnego i oblaniem pięknego ciała wonną wodą, której potoki przyjmowała klęcząc, z rękami złożonemi na piersi.

Nofre, zaniepokojona, zarzuciła przezroczystą koszulę, wsunęła stopy w sandały z włókien palmowych i wyruszyła na poszukiwanie swej pani.

Szukała jej najpierw pod portykami obu dziedzińców, w mniemaniu, że Tahoser, nie mogąc spać, zechciała może orzeźwić się chłodem świtu w tych alejach wewnętrznych.

Ale Tahoser tam nie było.

„Zwiedzmy ogród,“ powiedziała sobie Nofre; „może przyszła jej fantazja ujrzenia błysku rosy nocnej na liściach roślin, może chciała raz być obecna przy przebudzaniu się kwiatów“.

Przebiegła ogród we wszystkich kierunkach, ale spotkała wszędzie samotność. Przeszukała aleje, altany, gaje, zarośla, bez powodzenia. Weszła do kiosku, na końcu szpaleru; i tu nie było Tahoser. Pobiegnęła do sadzawki, gdzie zachciało się może jej pani wykąpać, jak to czyniła niekiedy z towarzyszkami, na stopniach granitowych, które schodziły od brzegu na dno, zasypane przesianym piaskiem. Szerokie liście nenufarów unosiły się na powierzchni, a nic nie wskazywało, że ktoś zakłócił ich spokój; tylko kaczki, zanurzając szyje lazurowe w spokojnej toni, przecinały ją zmarszczkami i powitały Nofre radosnym wrzaskiem.

Wierna służebna zaczęła niepokoić się na serjo; podniosła alarm w całym domu; niewolnice i służba wyszli ze swoich cel i, zawiadomieni przez Nofre o osobliwym zniknięciu Tahoser, rozpoczęli najściślej-sze poszukiwania; wchodzili na tarasy, badali każdą komnatę, każdy zakamarek, wszystkie miejsca, gdzie mogłaby przypuszczalnie przebywać. Nofre w trwodze swojej otwierała nawet skrzynie z sukniami, szkatułki z klejnotami, jakgdyby jej pani mogła się w nich znajdować.

Tahoser stanowczo w domu nie była.

Stary sługa, rozważny i doświadczony, wpadł na myśl zbadania piasku w alejach i poszukania tam śladów swej młodej pani; ciężkie zasuwu bramy, wiodącej do miasta były na miejscu, niwecząc przypuszczenie, że Tahoser wyszła tą stroną. Wprawdzie Nofre w oszalałej trwodze przebiegała wszystkie ścieżki, zaznaczając na nich ślady swoich sandałów; wszelako stary Suhem, pochyliwszy się tuż nad ziemią, wykrył niebawem wśród nich odcisk podeszwy wąskiej, kształtnej, wskazującej stopę o wiele mniejszą, niż stopa służebnej. Ślad ten zaprowadził go pod pylon a stamtąd do bramy od strony wody. Zasuwu były otwarte, a podwoje tylko przymknięte, na co Suhem zwrócił uwagę Nofre i córka Petamunofa wyfrunęła zatem tędy.

Dalej ślad zaginał. Na bulwarku z cegieł nie zachował się najlżejszy odcisk. Przewoźnik, który przewoził Tahoser, nie powrócił. Inni spali, a zapytani, odpowiedzieli, że nic nie widzieli. Jeden tylko dodał, że jakaś kobieta, ubogo odziana i należąca widocznie

do najniższej klasy ludu, udała się bardzo wczesnym rankiem na drugą stronę rzeki, do dzielnicy Memnoj, dla spełnienia tam prawdopodobnie jakiegoś obrzędu żałobnego.

Szczegóły te, które nie mogły pod żadnym względem dotyczyć Tahoser, zbiły zupełnie z tropu domniemanie Nofre i Suhema.

Powrócili do domu smutni i przygnębieni. Służebnicy i służebne zasiedli na ziemi w pozach, wyrażających rozpacz; zwiesiwszy jedną rękę z dłońią zwróconą ku niebu, a położywszy drugą na głowie, wszyscy wołali, niby chór żałobny:

— Biada! biada! pani nas opuściła!

— Na Omsa, psa piekiel! ja ją odnajdę — rzekł stary Suhem — choćbym miał wtargnąć żywcem do ostatniej głębi sfery zachodniej, dokąd wędrują umarli. Dobra to była pani; nie żałowała nam strawy, nie wymagała od nas nadmiernej pracy, skazywała na chłostę sprawiedliwie i umiarkowanie. Stopa jej nie ciążyła na naszych schyłonych karkach, niewolnik mógł się czuć u niej wolnym.

— Biada! biada! biada! — powtarzali mężczyźni i kobiety, posypując głowę popiołem.

— Niestety! pani umiłowana, kto wie, gdzie przebywasz teraz?—odezwała się wierna Nofre, nie tamując płynących łez. — Może czarodziej wywabił cię z pałacu niepokonanem zaklęciem, aby dopuścić się na tobie ohydnych uroków; porani twoje cudne ciało, wytnieżeń serce, jak paraszyta, ciśnie twe szczątki na pastwę krokodylom a twoja okaleczona dusza w dniu połączenia znajdzie już tylko

bezkształtne strzępy. Nie podążysz w głąb studzien grobowych, do malowanej i złoconej mumji ojca, wielkiego kapłana Petamunofa, do żałobnej komnaty dla siebie przeznaczonej!

— Uspokój się Nofre — rzekł stary Suhem — nie rozpaczajmy nadmiernie przed czasem; być może, iż Tahoser wróci niebawem. Poszła niewątpliwie za głosem jakiejś nieznaney nam fantazji, i za chwilę ukaże się, wesoła i uśmiechnięta, z kwiatami wodnemi w dłoniach.

Ocierając powieki skrajem szaty, Nofre skinęła potakująco.

Suhem usiadł, zginając kolana, jak owe wyobrażenia małe o psich łbach, wyciosane na kwadratowych głazach bazaltowych, i, objąwszy skronie wysuszonymi dłońmi, zapadł w głęboką zadumę.

Twarz jego, czerwono-brunatna, zapadnięte oczodoły, wystające szczęki, policzki, zorane głębokimi zmarszczkami, sztywne włosy, okalające twarz, jak szczecina, dopełniały podobieństwa do bogów o głowach małpich; nie był to wprawdzie bóg, ale wyglądał zupełnie jak małpa.

A taki oto był wynik jego rozmyślań, z niepokojem przez Nofre oczekiwany:

— Córka Petamunofa jest zakochana.

— A tobie kto to powiedział? — zawołała Nofre, przekonana, że ona jedna tylko umie czytać w sercu swej pani.

— Nikt, ale Tahoser jest bardzo piękna; widziała już szesnaście razy przyływ i odpływ Nilu. Cyfra szesnaście to emblemat rozkoszy, a od pewnego cza-

su Tahoser wzywa o dziwnych godzinach swoje dziewczęta, grające na harfie, na mandorze i na flecie, jak ktoś, kto pragnie ukoić serce muzyką.

— Dobrze mówisz, a mądrść zamieszkuje twoją starą, łysą głowę; ale w jaki sposób poznałeś duszę kobiety, ty, który tylko kopiesz ziemię i nosisz dzbany z wodą?

Niewolnik rozwarł usta w cichym uśmiechu, ukazując dwa rzędy długich białych zębów, zdolnych zmiażdżyć pestki daktyłów; uśmiech ten miał znaczyć: „Nie zawsze byłem stary i w niewoli.“

Pod wpływem sugestji Suhema, myśl Nofre pobiegła niezwłocznie ku pięknemu Ahmosisowi, oerisowi Faraona, który tak często przechodził u stóp tarasu i tak wspaniale wyglądał na wozie wojennym w tryumfalnym korowodzie; ponieważ sama kochała go, nie zdając sobie z tego sprawy, przeto przypisywała własne uczucia i swojej pani. Przywdziała mniej przejrzystą szatę i udała się do domu oficera: tam to, jak sobie wyobrażała, musiała być niezawodnie Tahoser.

Młody oeris siedział w głębi komnaty, której ściany zasłane były trofeami z różnej broni: widniała tam tunika skórzana, pokryta, jak łuska, płytkami bronzowymi, na których wryty był kartusz Faraona, sztylet spiżowy o rękojeści z jaspisu, topór wojenny z krzemienia, miecz o ostrzu zakrzywionem, kask z podwójnem piórem strusiem, łuk trójkątny i strzały, ozdobione czerwienią; na cokółkach rozłożone były napierśniki honorowe, a w kilku skrzyniach otwartych spoczywała zdobycz, zabrana wrogowi.

Na widok stojącej w progu Nofre, którą znał dobrze, uczucie żywej radości ogarnęło Ahmosisa; brunatne policzki zabarwiły się, mięśnie zdrząły, serce zakolało. Mniemał, że Nofre przynosi mu jakąś wieść od Tahoser, jakkolwiek córka Petamunofa nie odpowiedziała nigdy na rzucane jej przez niego spojrzenia. Ale mężczyzna, którego bogowie obdarzyli urodą, wyobraża sobie z łatwością, że wszystkie kobiety pałają ku niemu miłością.

Wstał i postąpił kilka kroków ku Nofre, która zaniepokojonym wzrokiem przeszukiwała wszystkie zakątki komnaty, chcąc się upewnić czy Tahoser tu jest czy też jej niema.

— Co cię tu sprowadza, Nofre? — spytał Ahmosis, widząc, że, zajęta poszukiwaniem, nie przerywa milczenia. — Pani twoja jest zdrowa, mam nadzieję, bo zdaje mi się, że widziałem ją wczoraj podczas wjazdu Faraona.

— Czy moja pani jest zdrowa, powinieneś wiedzieć lepiej, niż ktokolwiek inny, — odparła Nofre, — albowiem uciekła z domu, nie zwierzywszy się nikomu ze swoich zamiarów, a przysięgåłabym na Hathorę, że znasz schronienie, które sobie obrała.

— Znikła! co mówisz? — zawołał Ahmosis ze zdumieniem, które z pewnością nie było udane.

— Sądziłam, że cię kocha — rzekła Nofre — a niekiedy młode dziewczęta najpościągliwsze dopuszczają się czynów szalonych. Więc niema jej tutaj?

— Bóg Phre, który wszystko widzi, wie gdzie ona jest, ale żaden z jego promieni, zakończonych ręką-

mi, nie dosięgnął jej u mnie. Zobacz raczej sama i przeszukaj komnaty.

— Wierzę ci, Ahmosisie, i odchodzę bo, gdyby Tahoser tu przybyła, nie ukrywałbyś jej przed wierną Nofre, która z radością służyłaby waszej miłości. Ty jesteś piękny, ona jest dziewicą wolną i bogatą. Bogowie byliby radzi temu związkowi.

Nofre powróciła do domu jeszcze bardziej zaniepokojona i wzburzona; obawiała się, żeby nie posądzono służby, iż zabiła Tahoser, żeby zagarnąć jej bogactwa i żeby nie chciano kijami zmusić ich do wyznania tego, czego nie wiedzieli.

Faraon ze swojej strony również myślał o Tahoser. Wychyliwszy puławy na cześć bóstw i złożywszy im ofiary, jak wymagały przepisy rytuału, zasiadł w wewnętrznym dziedzińcu gyneceum i marzył, nie zwracając uwagi na zabiegi swoich kobiet, które, nagie i uwieńczone kwiatami, igrały w przezroczyściej toni sadzawki, oblewały się wzajemnie wodą, wybuchając dźwięcznym śmiechem, dla zwrócenia uwagi pana; wbrew zwyczajowi bowiem nie postanowił która z nich będzie uprzywilejowaną królową w tygodniu bieżącym.

Uroczy obraz tworzyły te piękne kobiety, których smukłe postacie lśniły pod wodą, jak zatopione jaspisowe posągi, w tem obramieniu roślin i kwiatów, wśród tego dziedzińca, okolonego kolumnami, o malowidłach jaskrawych, w czystym blasku lazuruwego nieba, po którym snuł się od czasu do czasu ibis.

Amense i Twea, znużone pływaniem, wyszły z wody i, klęcząc na brzegu basenu, suszyły na słoń-

cu rozpuszczone sploty obfitych czarnych włosów; pod tym hebanowym płaszczem ciała ich wydawały się bielsze jeszcze; ostatnie krople kąpieli staczały się po ich połyskujących ramionach i po rękach lśniących, jak jaspis; służebne nacierały je esencjami i olejami aromatycznymi, młoda Etjopka zaś podawała im do wachania kielich wielkiego kwiatu.

Zdawaćby się mogło, że artysta, który wyrzeźbił płaskorzeźby dekoracyjne w gynezeum, brał modele z pośród tych grup pełnych wdzięku i uroku: ale Faraon nie patrzyłby okiem zimniejszem na wzór, wyciosany w kamieniu.

Usadowiona na oparciu fotela, oswojona małpa gryzła daktyle i szczekała zębami; kot ulubiony, zakręglając grzbiet, ocierał się o nogi pana, niekształtny karzeł ciągnął małą za ogon a kota za wasy przy czem małpa skowyczała, kot miauczał a karze kłął, co zazwyczaj rozchmurzało oblicze jego królewskiej mości ale jego królewska mość dzisiaj nie miał ochoty do śmiechu. Odepchnął kota, kazał zdjąć małą z fotelu, pięścią uderzył karła w głowę i skierował się ku komnatom granitowym.

Każda z tych komnat utworzona była z gładów olbrzymiej wielkości i zamknięta na wrota kamienne, których żadna siła ludzka nie zdołałaby otworzyć, nie znając tajemnicy ich zamków.

W komnatach tych zamknięte były bogactwa Faraona i łup zabrany narodom podbitym. Były tam sztaby drogocennych metali, korony złote i srebrne, napierśniki i bransolety z emalji, kolczyki, lśniące, jak dysk Mui; naszyjniki z siedmiu rzędów krwaw-

ników, lapis - lazuli, krwawego jaspisu, pereł, agatu, sardoników, onyksu; przedziwnej roboty obrączki na nogi, paski ze złotych płytek, z wyrytymi na nich hieroglifami, pierścionki ze skarabeuszami; ryby, krokodyle, serca z kutego złota, węże z emalji, zwi-
jające się w kilkakrotne splety; wazy z brązu, dzba-
ny z alabastru, z niebieskiego szkła, w których wiły
się białe skręty; szkatułki z gliny emaljowanej, pu-
dełka z drzewa sandałowego, kształtów dziwacznych
i fantastycznych, stosy wonności ze wszystkich kra-
jów, kłody hebanu; materje cenne, a takie cienkie,
że całą sztukę możnaby przesunąć przez obrączkę;
strusie pióra czarne i białe, albo zabarwione w różne
odcienie; kły słoniowe potwornej wielkości, puchary
złote, srebrne, ze szkła złoconego, posążki przepiękne,
zarówno jako materiał, jak też jako robota.

Faraon w każdej komnacie kazał ładować te skar-
by na nosze, trzymane przez dwóch silnych niewol-
ników z Kusz i Szeto, poczem, klasnąwszy w dłoń,
wezwał Timofta, który śledził Tahoser i rzekł doń:

— Każ to zanieść od Faraona do Tahoser, córki
Petamunofa.

Timoft stanął na czele wysłańców, którzy prze-
płynęli Nil w łodzi królewskiej, i niebawem niewol-
nicy przybyli wraz ze swym ładunkiem do domu Ta-
hoser.

— Dla Tahoser od Faraona — rzekł Timoft, stu-
kając do wrót.

Na widok tych skarbów Nofre omal nie zemdląła,
nawpół ze strachu, napoły z zachwytu; bała się, że

król skaże ją na śmierć, gdy się dowie, że córki kapłana niema.

— Tahoser znikła, — odparła drżąc Timoftowi — i przysięgam na cztery święte gęsi, Amset, Sis, Sumauts i Kepsniv, które fruwać na cztery strony wiatru, że nie wiem gdzie jest.

— Faraon, ulubieniec Phre i faworyt Ammona-Ra, przysłał te dary, ja ich zatem zabrać z powrotem nie mogę; zachowaj je, dopóki ona nie wróci. Odpowiadasz mi za nie głową; każ je schować w komnatach i strzedz przez wierne sługi, — odrzekł wysłaniec króla.

Gdy Timoft wrócił do pałacu i w głębokim pokłonie, przycisnąwszy łokcie do boków, powiedział, że Tahoser znikła, król wpadł w szaloną wściekłość i uderzył tak gwałtownie berłem w kamienną posadzkę, że płyta pękła.

VIII.

Tahoser, trzeba to przyznać, nie myślała wcale o Nofre, swojej ulubionej powiernicy, ani o niepokoju, jaki jej nieobecność musiała wywołać. Ta umiłowana pani zapomniała zupełnie o swym pięknym domu w Tebach, o służbie swojej i strojach, rzecz bardzo niezwykła, nieprawdopodobna dla kobiety.

Córka Petamunofa nie domyślała się bynajmniej miłości Faraona: nie zauważyła pałającego żądzą spojrzenia, jakie padło na nią z wysokości tego majestatu, którego nic na świecie nie zdołało wzruszyć; a gdyby je była dostrzegła, złożyłaby to pożądanie

królewskie wraz ze wszystkimi kwiatami swej duszy u stóp Poeriego.

Siedząc przy wrzecionie, śledziła ukradkiem wszystkie ruchy młodego Hebrajczyka i obejmowała go spojrzeniem jak pieczętą; radowała się w cichoci ducha szczęściem przebywania przy nim w pawilonie, do którego nie wzbronił jej dostępu.

Gdyby Poeri zwrócił ku niej głowę, uderzyłyby go niewątpliwie wilgotny blask jej oczu, nagłe rumieńce, przemykające się po jej cudnych policzkach, niby różowe obłoki, gwałtowne bicie serca, zdradzone drżeniem jej łona. Ale, siedział za stołem, pochylony nad papyrusem, czerpał atrament w wydrążonej tabliczce alabastrowej i zapisywał, przy pomocy trzcinki, rachunki cyframi demotycznymi.*)

Rozumiał-że Poeri miłość, taką widoczną, jaką Tahoser żywiła dla niego? Czy też dla jakichś przyczyn, ukrytych, udawał, że jej nie spostrzega? Jego obejście, w stosunku do niej, było łagodne, życzliwe, ale powściągliwe, jakgdyby chciał uprzędzić lub odeprzeć niepożądane wyznanie, na które nie byłby zdolny odpowiedzieć. Jednakże rzekoma Hora była bardzo piękna; wdzięki jej zyskały na potęgze przez ubóstwo stroju; i, podobnie jak podczas najgorętszych godzin dnia widać drgający świetlny opar nad połyskującą ziemią, tak atmosfera miłości drgała dokoła niej. Na jej ustach rozchylonych trzepotała się miłość niby ptak, pragnący zerwać się do lotu, i cicho,

*) Rodzaj hieroglifów egipskich dla użytku ludu. (Przyp. tłum.)

cichutko, gdy była pewna, że młodzieniec jej nie usłyszy, powtarzała, jak monotonna kantylenę: „Poeri, kocham cię“.

Był to czas żniw i Poeri wyszedł, żeby skontrolować robotników. Tahoser, która nie mogła się odeń oderwać, jak nie może oderwać się cień od ciała, szła za nim nieśmiało, obawiając się, żeby jej nie nakazał zostać w domu, ale młodzieniec rzekł do niej głosem, w którym nie było cienia gniewu:

— Widok spokojnych robót na roli przynosi ulgę smutkowi i jeżeli jakie bolesne wspomnienie minionego szczęścia gnębi twoją duszę, rozproszy się wobec tej wesołej pracy. Są to niewątpliwie rzeczy dla ciebie nowe: albowiem naskórek twój, na którym słońce nigdy nie składało pocałunków, delikatne nogi, wytworne ręce, umiejętność, z jaką układasz chustę z pospolitego materiału, która ci służy za odzież, wykazują mi tak wyraźnie, że o tem wątpić nie mogę, iż mieszkałaś zawsze w mieście, na łonie wygod i zbytku. Pójdź zatem i usiądź, kręcąc wrzeciono, w cieniu tego drzewa, gdzie żniwiarze zawiesili sobie naczynie z napojem.

Tahoser, posłuszna, zasiadła w cieniu, skrzyżowała ręce na kolanach i oparła na nich podbródek.

Od muru ogrodowego równina ciągnęła się do pierwszych urwisk łańcucha libijskiego, niby żółty ocean, w którym najlżejszy powiew żłobił złote fale. Blask słońca był taki jaskrawy, że złocisty ton zboża bielał miejscami i przybierał srebrzyste odcienie. Na podłożu żyznego mułu nilowego wyrosły kłosa jędrne, sztywne i wysokie, jak pociski; nigdy bogatsze żni-

wo nie dojrzało w piekącym żarze słonecznym, było czem napęlić do szczytu stodoły, których sklepienia zaokrąślały się obok spichrzów.

Robotnicy odawna już byli przy pracy, zdala ukazywały się wystające nad falami zboża głowy ich kędzierzawe lub wygolone, osłonięte białą chustą, i nagie torsy, barwy wypalanej cegły. Schylali się i podnosili równomiernym ruchem, ścinając sierpami kłosy z taką dokładnością, jakby według linii przeciągniętego postronka.

Za nimi chodzili w brzdach inni robotnicy, niosąc na ramieniu lub zawieszane na drągu, kosze, w które zbierali zżęte kłosy i składali na sterty, umieszczone w pewnych odległościach.

Niekiedy zniwiarze, zadyszani, zatrzymywali się, wsuwali sierp pod prawe ramię, orzeźwiali się łykiem wody, i, zaczerpnąwszy tchu, powracali coprędzej do roboty, w obawie kija nadzorczy.

Poeri dał znak poganiaczowi wołów, żeby się zbliżył. Były to wspaniałe okazy, o długich rogach rozwidlonych, jak strój głowy Izydy, o potężnem podgardlu, o nogach szczupłych i nerwowych. Na udach zwierząt widniał znak dóbr, wypalony gorącym żelazem. Szły poważnie pod jarzmem poziomem, łączącym ich cztery łby.

Zepchnięte na deptak, popędzane batem zaczęły dreptać dokoła, a z pod ich kopyt wysypywało się ziarno z kłosów; błyszcząca ich sierść połyskiwała w słońcu a kurz, który wznosiły, zatykał im nozdra; to też po dwudziestu okrażeniach deptaka opierały się o siebie wzajemnie i, pomimo świszczącego rzemienia,

który smagał ich boki, zwalniały znacznie kroku. Dla zachęty poganiacz, który ich nie opuszczał, zaintonował wesóły rytm starej piosenki do wołów: „Pracujcie dla siebie samych; o woły, pracujcie dla siebie samych; miarka dla was, miarka dla waszych panów!“

I podniecony zaprząg ruszał żywiej naprzód i znikał w obłoku jasnego kurzu, w którym migotały złote iskierki.

Skoro woły ukończyły swoją robotę, przyszedli niewolnicy, uzbrojeni w łopaty drewniane, któremi oczyszczali zboże ze słomy, kopyści i plewy, poczem składali je w worki, które pisarz spisywał, i zanosili do stodół, dokąd prowadziły drabiny.

Tahoser, w cieniu swego drzewa, z przyjemnością przypatrywała się temu obrazowi, pełnemu życia i dostojności, a często ręka jej zapominała skręcać nić. Dzień mijał, słońce, które wzeszło za Tebami, przekroczyło Nil i skierowało się ku łańcuchowi libijskiemu, za który tarcza promienna zachodzi każdego wieczora. O tej godzinie zwierzęta wracały z pola do obór i Tahoser obecna była wraz Poerim wielkiemu korowodowi pasterskiemu.

Najpierw ukazało olbrzymie stado wołów — jedne białe, inne rudawe; te czarne w jasne łaty, tamte srokate, niektóre w ciemne pręgi; słowem wszelkiej maści i wszelkich odcieni; przechodziły, podnosząc lśniące pyski, z których wypływały włókna śliny, otwierając szeroko wielkie, łagodne ślepie. Niecierpliwsze, węsząc oborę, stawały dęba i przez chwilę wznosiły się nad rogatym tłumem, powolniejsze,

wyprzedzone przez towarzyszków, odzywały się przeciągłym żalonym rykiem, jakby na znak protestu.

Obok wołów szli poganiacze, uzbrojeni w bat i zwinęty sznur.

Przybywszy przed oblicze Poeriego, klękali z łokciami przy bokach i czołem dotykali ziemi na znak hołdu.

Pisarze zapisywali na tabliczkach liczbę łbów bydła.

Po wołach szły osły, drepcząc i wierzgając, pod batem dozorców, o głowie ogolonej, odzianych tylko przepaską płócienną, której koniec zwieszał się między udami; idąc potrzęsały długimi uszami i biły w ziemię drobnymi, twardymi kopytami.

Ich dozorczy przyklękali przed Poerim tak samo jak poganiacze wołów, a pisarze zaznaczali dokładną cyfrę i tych zwierząt.

Następnie przysła kolej na kozy; biegły z kozłami na przedzie, becząc radośnie wątlwym głosem; pastuchy z trudnością wielką powstrzymywali ich swawolę i zganiali odbiegające od szeregów. Policzone je tak samo jak woły i osły, pastuchy zaś z takim samym ceremonjałem złożyli pokłon u stóp Poeriego.

Korowód zamykał gęsi, które, zmęczone drogą, kołysały się na szerokich łapach, biły hałaśliwie skrzydłami, wyciągały szyję i skrzeczały przeraźliwie; ich liczba została zapisana, a tabliczki wręczone zarządcy dóbr.

Woły, osły, kozy, gęsi wróciły już oddawna, a słup kurzu, którego wiatr nie zdołał rozproszyć, wznosił się jeszcze zwolna w niebiosa.

— I cóż, Horo, — odezwał się Poeri do Tahoser, — czy rozerwał cię widok tych żniwiarzy i tych zwierząt? Takie są rozrywki pól; nie mamy tu harfiarek i tancerek, jak w Tebach. Ale praca na roli jest święta; bo rola to matka-karmicielka człowieka, a kto sieje zboże popelnia czyn miły bogom. Teraz idź na wieczerzę w gronie towarzyszek; ja wracam do pawilonu i obliczę ile ćwierci pszenicy dały kłosa.

Tahoser przyłożyła jedną dłoń do ziemi, a drugą do głowy, na znak, pełnego szacunku, posłuszeństwa i oddaliła się.

W sali jadalnej grono młodych służebnic śmiało się i szczebiotało, zajadając surowe cebule, ciastka i daktyle; oświetlał je wazon z gliny, pełen oleju, w którym tkwił knot, albowiem zapadła już noc i złotawym blaskiem oblewała ich brunatne lica i płuwy, niczem nie osłonięte torsy. Jedne siedziały na prostych stołkach drewnianych, inne, z nogą zgiętą w kolanie, na ziemi, oparte o ścianę.

— Dokąd to nasz pan może chodzić co wieczór? — spytała złośliwie mała dziewczynka, obierając granat zwinnymi ruchami małpki.

— Pan chodzi, dokąd chce, — odparła wysoka niewolnica, żując płatki kwiatów, — może ma ci się opowiadać, co? Nie ty, w każdym razie, zdołasz zatrzymać go tutaj.

— Tak samo, jak żadna inna, — odparło dziecko urażone.

Wysoka dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nawet Hora, bielsza i piękniejsza od nas wszystkich, nie zdołałaby tego dokazać. Jakkolwiek

ma imię egipskie i jest w służbie Faraona, pan nasz należy do barbarzyńskiej rasy Izraela; a jeżeli wychodzi nocą, to niezawodnie dlatego, żeby uczestniczyć w składaniu przez Hebrajczyków dzieci na ofiarę w miejscach odludnych, gdzie puszczyk zawodzi, hjena wyje, a żmija syczy.

Tahoser wyszła po cichu, nie mówiąc słowa i ukryła się w ogrodzie za krzakiem mimozy; po dwugodzinnem oczekiwaniu ujrzała Poeriego, idącego w pole.

Lekka i milcząca jak cień, podążyła za nim.

IX.

Poeri, trzymając w ręku gruby kij palmowy, skierował się wąską drogą ku rzece przez nawodnione pole papyrusów, których proste łodygi, okryte u dołu liśćmi a zakończone w górze kitką włóknistą, wznosiły się wysoko, niby dzidy armji w szyku bojowym.

Powstrzymując oddech, zaledwie dotykając stopą ziemi, Tahoser szła za nim. Noc była bezksiężycowa zresztą gęstwina papyrusów wystarczyłaby i tak do ukrycia młodej dziewczyny, która trzymała się w pewnem oddaleniu.

Następnie trzeba było przejść przestrzeń odsłoniętą. Rzekoma Hora pozwoliła, żeby Poeri ją wyprzedził, zgięła się i czołgała przy ziemi. Poczem weszli w gaj mimozy i, ukryta wśród gęstych drzew, Tahoser mogła iść szybciej, bez tylu ostrożności. Była tak blisko Poeriego, obawiając się utracić go z oczu wśród ciemności, że często gałęzie, które rozchyłał, smały ją po twarzy, ale nie zwracała na to uwagi: uczucie piekającej zazdrości pchało ją do wykrycia tajem-

nicy, której nie tłumaczyła sobie tak, jak służba domowa.

Ani przez jedną chwilę nie wierzyła, żeby młody Hebrajczyk wychodził co wieczór dla spełnienia niecnego i barbarzyńskiego obrządku, powzięła podejrzenie że kobieta jest celem tych nocnych wycieczek i chciała poznać swoją rywalkę. Zimna życzliwość Poeriego wykazywała jej, że miał serce zajęte — inaczej czyż pozostałby nieczuły na wdzięki, słynne w Tebach i w całym Egipcie? czyżby udawał, że nie dostrzega miłości, która byłaby dumą oerisów, wielkich kapłanów, uczonych pisarzy, a nawet książąt krwi królewskiej?

Przybywszy nad rzekę, Poeri zeszedł z kilku stopni wyciosanych w urwistym brzegu i schylił się, a Tahoser, leżąca wśród zarośli nadbrzeżnych, ujrzała ku swej wielkiej rozpaczycy, że tajemniczy wędrowiec odwiązuje barkę papyrusową, wąską i długą, jak ryba, i sposobi się do przepłynięcia rzeki.

Jakoż wskoczył do barki, odepchnął ją nogą od brzegu i popłynął w dal, przy pomocy jedyne go wiosła, umieszczonego na tyle wąskiego statku.

Biedna Tahoser załamana ręce z bólu; zgubi trop tajemnicy, którą poznać tak gorąco pragnie. Co począć? wrócić, z podejrzeniem i niepewnością w sercu, które są najgorsze z udręczeń? Niebawem jednak zebrała odwagę i powzięła postanowienie. O wyszukaniu drugiej barki, nie było co myśleć. Stoczyła się ze spadzistego nasypu nadbrzeżnego, zdjęła jednym zamachem szatę i owinęła ją dokoła głowy; poczem wsunęła się do rzeki, bacząc, żeby nie wytwarzać piany.

Zwinna, jak jaszczurka wodna, wyciągnęła piękne ręce na ciemnej fali, na której drgał odbłask gwiazd i popłynęła śladem barki. Pływała świetnie; codziennie bowiem z kobietami swojemi wprawiała się w tę sztukę w wielkiej sadzawce swego pałacu, a żadna z nich nie umiała tak znakomicie przecinać toni, jak Tahoser.

Prąd, spokojny w tem miejscu, nie stawiał jej wielkiego oporu; ale w środku rzeki musiała, żeby fala nie uniosła jej w bok, spotęgować ruchy rąk i nóg. Oddech jej stawał się krótki i przyspieszony—powstrzymywała go, w obawie, żeby młody Hebrajczyk nie dosłyszał. Niekiedy fala, wyższa od innych, bryznęła pianą w usta rozchylone, zmoczyła jej włosy i dosięgała nawet, złożonej w zawiniątko, szaty; na szczęście, gdyż siły zaczynały ją opuszczać, wpłynęła niebawem na ton spokojniejszą. Wiązka sitowia, prądem niesiona, otarła się o nią, przyprowadzając ją o niemalą trwozę. Ten pęk ciemno-zielony, przybrał wśród mroku pozór grzbietu krokodyla; Tahoser zdało się, że czuje dotknięcie chropowatej skóry potwora, ale uspokoiła się niebawem i powiedziała sobie, płynąc dalej: „Mniejsza o to, że mnie krokodyle zjedzą, jeżeli Poeri mnie nie kocha“.

Niebezpieczeństwo wszakże było istotne, zwłaszcza nocą; w ciągu dnia ustawiczny ruch łodzi, praca na wybrzeżach, gwar miasta sprawiają, że krokodyle trzymają się zdaleka, i dążą tarzać się w mule i wygrzewać w słońcu na brzegi mniej przez ludzi uczęszczane; ale ciemności przywracają im całą odwagę.

Tahoser nie pomyślała o tem; namiętna miłość nie rozważa. Gdyby nawet przyszło jej na myśl to niebezpieczeństwo, byłaby mu śmiało stawiała czoło, ona, taka lekliwa jednak, że przestraszał ją uparty motyl, który fruwał nieraz dokoła niej, w mniemaniu, że okraża kwiat.

Nagle barka stanęła, jakkolwiek brzeg był jeszcze w pewnem odaleniu. Poeri powstrzymał pracę wiosła i powiódł dokoła zaniepokojonym wzrokiem. Spostrzegł białą plamę, wytworzoną na wodzie przez zwiniętą suknię Tahoser.

W mniemaniu, że została wykryta, śmiała pływaczka dała nurka, zdecydowana wypłynąć na powierzchnię — choćby się miała udusić — dopiero wtedy, gdy podejrzenia Poeriego zostaną rozproszone.

„Zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi wplaw“, pomyślał Poeri, puszczając znów w ruch wiosło. „Ale kto odważyłby się wejść do Nilu o tej godzinie? Byłem szalony. Wziąłem za głowę ludzką, opasaną chustą, pęk białych lotosów, może nawet poprostu smugę piany, bo już nic nie dostrzegam.“

Gdy Tahoser, która zaczynała już widzieć czerwone błyski w ciemnej toni rzeki, ze świszczącym w skroniach tętnem wypłynęła na powierzchnię, by śpiesznie zaczerpnąć tchu w rozdęte płuca — barka papyrusowa płynęła równym biegiem, a Poeri poruszał wiosłem z niezamącynym spokojem postaci alegorycznych, kierujących mistyczną łodzią na płasko-rzeźbach i malowidłach w świątyniach.

Brzeg już był blisko; olbrzymi cień pylonów i ogromnych murów pałacu Północnego, którego

skośne zarysy wraz z piramidjonami sześciu obelisków, odcinał się na fioletowem tle nocy — rozpóścierał się, potężny i bezmierny na rzeczce i osłaniał Tahoser, tak, że mogła płynąć bez obawy, iż ją kto spostrzeże.

Poeri przybił do brzegu nieco poniżej pałacu w dół Nilu, i przywiązał barkę do pała, by ją znaleźć za powrotem; poczem wziął w rękę kij palmowy i szybkim krokiem wszedł na schody bulwarku.

Biedna Tahoser, omdlewająca niemal z wyczerpania, uczepiła się dłońmi pierwszego stopnia schodów i z trudnością wydobyła z rzeki swą ociekającą wodą postać — wszystkie członki przy zetknięciu z powietrzem, zaciężyły zmęczeniem; ale najtrudniejsze zadanie było spełnione.

Weszła po schodach jedną rękę przyciskając do kołającego gwałtownie serca, a drugą przytrzymując na głowie zwiniętą i przemoczoną szatę. Zobaczywszy w jakim kierunku udał się Poeri, usiadła na najwyższym stopniu, rozwinęła i włożyła tunikę. Zetknięcie z mokrą szatą przyprawiło ją o lekki dreszcz. Noc jednak była łagodna, a wiatr południowy niósł ciepły powiew, ale rozgorączkowana znużeniem Tahoser szczękała maleńkimi zębami; niebawem otrząsnęła się z osłabienia i, sunąc wzdłuż murów olbrzymich gmachów, zdołała nie stracić z oczu młodego Hebrajczyka, który skręcił za róg wielkiego muru z cegieł, okalającego pałac i wszedł w ulice Teb.

Po kwadransie drogi, pałace, świątynie, bogate domy znikły, by ustąpić mniejsza domostwom skromniejszym; po granicie, wapieniu, piaskowcu, nastę-

powwały cegły, muł ulepiony ze słomą. Kształty architektoniczne zacierały się; lepianki wyrastały jak pęcherze lub brodawki na pustych obszarach, wśród rzadkich uprawnych przestrzeni, przybierając w nocnym mroku potworne konfiguracje; szczapy drzewa, cegły, ułożone w stosy, zawały drogę. Z ciszy unosiły się odgłosy osobliwe, niepokojące; puszczyk przecinał powietrze milczącym skrzydłem; wychudłe psy, wyciągające długie, spiczaste pyski towarzyszyły żalostnym wyciem nierównemu lotowi nietoperza; skra-beusze i lęдлиwe gady uciekały, szeleszcząc suchą trawą.

„Czyżby Harfre powiedziała prawdę?“ myślała Tahoser, pod wrażeniem widoku ponurej dzielnicy; „czyżby Poeri szedł składać ofiarę z dziecka tym bogom barbarzyńskim, którzy upodobali sobie krew i cierpienie? Niema chyba miejscowości odpowiedniejszej dla spełniania okrutnych obrządków“.

Wszelako, korzystając z cienistych zakątków, z przymurków, z kęp roślinności, z nierówności terenu, trzymała się ciągle w jednakowej odległości od Poeriego.

„Choćbym musiała być świadkiem niewidzialnym sceny przerażającej, jak zmora, słyszeć krzyki ofiary, widzieć ofiarnika wydobywającego, czerwonymi od krwi rękami z drobnego ciała drgające serce, nie cofnę się“, powiedziała sobie Tahoser, widząc, że młody Hebrajczyk wschodzi do lepianki, z której wydobywały się przez szpary promienie żółtawego światła.

Skoro Poeri wszedł do wnętrza, córka Petamunofa zbliżyła się — ani jeden kamień nie zaskrzypiał

pod jej krokami, lekkimi, jak chód widma, ani jeden pies nie zdradził najlżejszem szczeknięciem jej obecności; obeszła lepiankę dokoła przyciskając dłonią serce, powstrzymując oddech, i dostrzegła jaśniejącą na ciemnem tle glinianej ściany szparę taką dużą, że można było zajrzeć swobodnie do wnętrza.

Niewielka lampka oświetlała pokój mniej ubogi, niż można było się spodziewać, sądząc z pozoru lepianki. Na postumentach drewnianych, malowanych różnemi kolorami, stały wazy złote i srebrne; klejnoty iskrzyły się w nawpół otwartych skrzyniach. Półmiski ze lśniącego metalu błyszczały na ścianie, a na środku małego stolika jaśniała wiązanek rzadkich kwiatów w wazonie z gliny emaljowanej.

Ale nie szczegóły urządzenia pokoju zajęły Tahoser, jakkolwiek kontrast tego ukrytego zbytku z zewnętrzzną nędzą mieszkania zadziwił ją zrazu. Inny przedmiot przyciągnął nieprzeparcie jej uwagę.

Na wzniesieniu, obitem matami, siedziała kobieta rasy nieznanej i precudnej urody. Żadna córka Egiptu nie dorównywała jej białością — była biała, jak mleko, jak lilja, biała, jak owca po umyciu, brwi jej, zarysowane łukiem hebanowym, łączyły się u osady cienkiego nosa orlego, o nozdrzach różowawych, jak wnętrze muszli. Oczy miała jak synogarlica — żywe i rozmarzone zarazem; usta jej były niby dwie smugi purpurowe, które w rozchyleniu połyskiwały blaskiem pereł; włosy w zwojach czarnych i lśniących, spadały z obu stron na policzki, jak dwa dojrzałe winogrona; koleczki drżały w uszach a naszyjniki z płytek złotych, inkrustowanych srebrem, iskrzyły

się dokoła szyi, pełnej i połyskującej, jak kolumna alabastrowa.

Odzież miała osobliwą; składała się z szerokiej tuniki, haftowanej w różnokolorowe zygzaki i wzory symetryczne, spadającej od ramion za kolana i nie okrywającej wcale rąk.

Młody Hebrajczyk usiadł obok niej, na macie, i prowadził z nią rozmowę, której treść Tahoser odgadrywała aż nadto dobrze na swoje nieszczęście, jakkolwiek słów jej nie mogła rozumieć. Poeri i Rachelabowiem mówili językiem ojczystym, takim drogim wygnańcowi i jeńcowi.

Nadzieja z trudnością zamiera w sercu zakochanem.

„Może to jego siostra“ myślała Tahoser, „a on przychodzi odwiedzać ją potajemnie, nie chcąc, żeby wiedziano, że należy do tej rasy, wziętej w niewolę.“

Poczem przyciskała twarz do szpary, nasłuchując z boleśnie natężoną uwagą słów harmonijnych, których każda sylaba zawierała tajemnicę; oddałaby życie, żeby tę tajemnicę poznać, a tymczasem wyrazy wpadały w jej uszy pozbawione znaczenia i szumiące, jak wiatr w liściach i woda odbijająca się o wybrzeże.

„Bardzo piękna... za piękna... na siostrę“ szeptała, pożerając zazdrośnem okiem twarz osobliwą i uroczą, o bladej cerze, o ustach ponsowych, uwydatnioną jeszcze ozdobami kształtu egzotycznego, twarz, której piękność miała w sobie coś tajemniczego.

— O Rachelo! moja umiłowana Rachelo! — powtarzał często Poeri.

Tahoser przypomniała sobie, że słyszała, jak szeptał te słowa, gdy go wachlowała i czuwała nad jego snem.

„Myślał o niej nawet we śnie; Rachela to pewnie jej imię“.

I biedna dziewczyna uczuła w piersi ból przeszywający, jakgdyby wszystkie ureusze na tabulaturach, wszystkie zmije faraonowe wpiły jadowite żądło w jej serce.

Rachela złożyła głowę na ramieniu Poeriego, jak kwiat, nadmiernie przepojony wonią i miłością; usta młodzieńcze musnęły włosy pięknej Żydówki, która przechylała się powoli, poddając tej pieśszczocie, błagalnej i nieśmiałej, czoło wilgotne i oczy nawpół przymknięte; dłonie ich szukały się i złączyły nerwowym uściskiem.

— Och! czemużem go nie zastała przy jakim obrzędku bezbożnym i potwornym, zabijającego własnymi rękoma ofiarę ludzką, pijącego z czarnego puharu krew i nacierającego nią twarz swoją! zdaje mi się, że przyprawiłoby to mnie o mniejszą mękę, niż widok tej pięknej kobiety, którą całuje tak nieśmiało, — szeptała słabym głosem Tahoser, osuwając się na ziemię w cieniu lepianki.

Dwukrotnie usiłowała się podnieść ale opadła na kolana; mgła przesłoniła jej oczy; zachwiała się i runęła zemdlna.

Poeri tymczasem wychodził z lepianki, składając na ustach Racheli ostatni pocałunek.

X.

Faraon, zaniepokojony i rozwścieczony zniknięciem Tahoser, uległ potrzebie zmiany miejsca, nurtującej serca, dręczone niezaspokojoną namiętnością. Ku wielkiej zgryzocie Amense, Hont-Resze i Twei, faworyt swoich, które usiłowały całą sztuką zalotności kobiecej zatrzymać go w pawilonie letnim, zamieszkał w pałacu Północnym, na przeciwległym brzegu Nilu.

Obecność i szczebiot kobiet drażniły go. Nie podobało mu się wszystko, co nie było córką kapłana; szpetne stały się dlań piękności, które dawniej wydawały mu się takie urocze; ich młode, smukłe, wdzięczne postacie w łubieżnych pozach, ożywione antymonem podłużne oczy, w których płonęła żądza; usta purpurowe, w omdlewającym uśmiechu ukazujące białe zęby — słowem wszystko w nich aż do słodkich zapachów, ulatujących z ich młodego ciała, niby z wiązanki kwiatów lub pudełka z wonnościami, było mu wstrętne; wydawało się, że ma do nich urazę za to, iż je kochał i że już nie rozumie, jak mogły go podbić wdzięki takie pospolite.

Gdy Twea składała mu na piersi długie, różowe palce drobnej ręki, drżącej ze wzruszenia, jakgdyby chcąc wskrzesić wspomnienia dawnej poufałości, gdy Hont-Resze przysuwała mu szachownicę, stojącą na grzbiecie dwóch lwów, by rozpocząć grę, albo, gdy Amense podawała mu kwiat lotosu pełnym wdzięku ruchem błagalnym — Faraon z trudnością powstrzymywał się od bicia ich berłem; jego krogulcze oczy zaś ciskały takie błyskawice pogardy, że biedne ko-

biety, które odważyły się na taką zuchwałość, cofały się przerażone, z załzawionemi oczami, i opierały się w milczeniu o malowane ściany, usiłując nieruchomością zespolic się z postaciami na freskach.

Chcąc uniknąć tych scen płaczu i wybuchów, Faraon przeniósł się do pałacu w Tebach, sam, milcząco, rozwścieczony; i tam, zamiast siedzieć na tronie, w uroczystej postawie bogów i królów, którzy są wszechmocni i jakby skamieniali w nieruchomości—chodził gorączkowo po ogromnych salach.

Osobliwy był widok tego Faraona o wysokiej postaci, wyniosłej postawie, groźnego, jak jego wyobrażenia, kolosy granitowe, którego kroki rozlegały się na wielkich płytach kamiennych.

Gdy przechodził, przerażona straż zamieniała się w posągi; powstrzymywała oddech, nie drgały nawet podwójne pióra strusie na ich głowie. Skoro się oddalił zaledwie mieli odwagę pytać siebie:

— Co się stało dzisiaj Faraonowi? Gdyby powrócił zwyciężony z wyprawy nie byłby posępniejszy i bardziej ponury.

Gdyby, zamiast odnieść dziesięć zwycięstw, zabić dwadzieścia tysięcy wrogów, sprowadzić dwa tysiące dziewic, wybranych wśród najpiękniejszych, przywieźć sto ładunków złotego piasku, tysiąc ładunków drzewa hebanowego i kłów słoniowych, nie licząc rzadkich produktów i nieznanych zwierząt, Faraon był ujrzał swoją armję rozbitą i zdziesiątkowaną, wozy wojenne przewrócone i strzaskane i, okryty kurzem, ociekający krwią, wyrwawszy lejce z rąk zabitego wóznicy, ocalił się sam jeden z pod gradu strzał, z pew-

nością oblicze jego nie byłoby posepniejsze i bardziej zrozpaczone. Ostatecznie ziemia egipska jest płodna w żołnierzy; niezliczone konie rżą i ryją kopytem ziemię w stajniach pałacowych, a robotnicy szybko obrabiają drzewo, odlewają miedź, ostrzą spiż! Los walk jest zmienny; klęskę można powetować! ale zaprzagnąć czegoś, czego nie można było osiągnąć niezwłocznie, napotkać na przeszkodę między swoją wolą i jej urzeczywistnieniem, rzucić, jak pocisk, życzenie, które nie trafiło do celu — oto co zdumiewało tego Faraona w sferach wyższej jego wszechmocy! Przez chwilę zdało mu się, że jest tylko człowiekiem!

Błąkał się po obszernych dziedzińcach, wzdłuż olbrzymich kolumn, przechodząc pod ogromnymi pylonami, między obeliskami, wznoszącymi się jednym rzutem, i kolosami, przebiegał salę kolumnową i gubił się w tym lesie granitowym stu sześćdziesięciu dwóch kolumn, wysokich i mocnych, jak wieże. Zdało się, że postacie bogów, królów i istot symbolicznych, malowane na ścianach, utkwily w nim oczy, zaznaczone czarnymi linjami na masce z profilu, że ureusze skręcają się i nadymają gardła, bóstwa ibisogłowe wyciągają szyję, tarcze słoneczne biją skrzydłami kamiennymi, wyzwoliwszy je z pod gzemów. Ruch osobliwy i fantastyczny ożywił te dziwaczne wyobrażenia, zaludniając pozorami życia samotność olbrzymiej sali, równej rozmiarami całemu pałacowi. Te bóstwa, ci przodkowie, te fantastyczne potwory, w odwiecznej nieruchomości, zdumieni byli widząc Faraona, zazwyczaj równie jak oni spokojnego, po-

ruszającego się i chodzącego, jakgdyby miał członki z ciała, a nie z porfiru lub bazaltu.

Znużony chodzeniem po tym potwornym lesie kolumn, podtrzymującym sklepienia z granitu, jak lew, który szuka tropu zdobyczy i węży pomarszczonym pyskiem ruchomy piasek pustyni — Faraon wszedł na jeden z tarasów pałacowych, spoczął na niskim łożu i kazał wezwać Timofta.

Timoft przybył i w głębokich pokłonach zbliżał się od schodów do Faraona. Obawiał się gniewu pana, którego łaski spodziewał się przez chwilę. Czy zřeczność, z jaką odkrył siedzibę Tahoser, wystarczy do przebaczenia przestępstwa, które popełnił, utraciwszy ślad pięknej dziewczyny?

Podnosząc jedno kolano a drugie pozostawiając zgięte, Timoft wyciągnął do króla ręce ruchem błagalnym.

— O królu, nie skazuj mnie na śmierć ani na chłostę nadmierną; piękna Tahoser, córka Petamunofa, na którą żądza twoja raczyła zstąpić, jak krogulec spada na gołębicę, odnajdzie się niewątpliwie i, gdy za powrotem do domu, ujrzy twoje wspaniałe dary, serce jej wzruszy się i przyjdzie z własnej woli, żeby wśród kobiet, zamieszkujących twoje gyneceum, zająć miejsce, jakie jej wyznaczysz.

— Czy wybadałeś jej służbę i jej niewolników?— spytał Faraon; — kij rozwiązuje najoporniejsze języki, a pod wpływem bólu człowiek mówi to, co chciałby ukryć.

— Nofre, jej ulubienica z orszaku i Suhem, najstarszy jej służebnik, powiedzieli mi, że zauważyli,

iż zasuwy od bramy ogrodowej są otwarte i że prawdopodobnie pani ich wyszła tamtędy. Brama wychodzi na rzekę, a woda nie utrwała bruzd łodzi.

— Co powiedzieli przewoźnicy na Nilu?

— Że nic nie widzieli; jeden tylko mówił, że kobieta, ubogo odziana, przepłynęła przez rzekę o pierwszym brzasku dnia. Ale nie mogła to być piękna i bogata Tahoser, której oblicze sam zauważyłeś i która odziana jest we wspaniałe szaty, jak królowa.

Wywody Timofta nie przekonały widocznie Faraona; oparł podbródek na dłoni i zastanowił się przez kilka chwil. Biedny Timoft czekał w milczeniu, obawiając się gniewnego wybuchu. Usta króla poruszały się, jakgdyby mówił do siebie: „Ta skromna odzież była przebraniem... Tak, napewno... i w tem przebraniu udała się na drugą stronę rzeki... Timoft jest idjotą, bez najmniejszego sprytu. Mam wielką ochotę kazać go cisnąć na pastwę krokodylom lub wychłostać... — Ale z jakiego powodu dziewczica wysokiego rodu, córka wielkiego kapłana, wymyka się w ten sposób z pałacu, sama, nie uprzedzając nikogo o swoich zamiarach?... Może na dnie tej tajemnicy tkwi sprawa miłosna.“

Na tę myśl oblicze Faraona oblało się purpurą, niby łuna pożaru; cała krew z serca nabiegła mu do twarzy; niebawem purpurę zastąpiła śmiertelna bledność, brwi mocarza skrzyły się jak żmije korony, usta się wykrzywiły, zęby zgrzytnęły a twarz przybrała wyraz taki straszny, że Timoft, przerażony, padł nosem na płyty kamienne, jak pada człowiek martwy.

Ale Faraon uspokoił się, na oblicze jego powrócił wyraz majestatyczny, znudzony i spokojny; widząc zaś, że Timoft się nie podnosi, kopnął go pogardliwie.

Gdy Timoft, który już widział siebie w dzielnicy Memnonij, wyciągniętego na łożu śmiertelnem, o nogach szakala, mając łono rozprute, brzuch opróżniony, cały przygotowany do słonej kąpieli — powstał, nie śmiał podnieść oczu na króla i opadł na pięty, w nieopisanej trwodze.

— Timoft, wstań, — rzekł jego królewska mość, — wyślij gońców na wszystkie strony, każ przeszukać świątynie, pałace, domy, wille, ogrody, aż do najniższych lepianek, i odnajdź Tahoser; wyślij wozy na wszystkie drogi, niechaj barki zorają brzdami Nil we wszystkich kierunkach; idź sam i zapytaj tych, których spotkasz, czy nie widzieli kobiety podobnej; pogwałć grobowce, jeżeli ukryła się w schronisku śmierci, szukaj jej, jak Izyda szukała małżonka swego, Ozyrysa, rozszarpanego przez Tyfona, i, żywą czy umarłą, przyprowadź ją tutaj, albo na ureusza mego pszentu, na pąk lotosu mego berła, zginiesz w najokropniejszych męczarniach.

Timoft rzucił się z błyskawiczną szybkością, by wykonać rozkazy Faraona, który, wypogodzony, przybrał ową pozę, pełną wyniosłości, jaką rzeźbiarze lubią nadawać kolosom, wznoszącym się przed drzwiami świątyni i pałaców, i ze spokojem, jak przystoi tym, których sandały spoczywają na głowie narodów, czekał.

Dokoła pałacu rozległ się głuchy łoskot i, gdyby niebo nie miało niepokalanej barwy szafiru lapis-lazuli,

możnaby mniemać, że burza nadchodzi; tymczasem były to odgłosy wozów, puszczonej galopem we wszystkie kierunki, był to turkot kół, toczących się po ziemi.

Niebawem Faraon ujrzał z wysokiego swego tarasu barki, przecinające toń rzeki, kierowane silnymi dłońmi wiosłarzy, oraz gońców, rozpraszających się po równinie na przeciwległym wybrzeżu.

Łańcuch libijski, tonący w świetle różowym i w cieniach szafirowych, zamykał widnokrąg i służył za tło olbrzymim budowłom Ramzesa, Amenofa i Menefty; pylony o świątyniach narożnikach, mury o szerokich gzymsach, kolosy, o dłoniach złożonych na kolanach zarysowywały się, ozłoczone promieniem słonecznym, a oddalenie nie zdołało zmniejszyć ich wielkości. Ale Faraon nie na te wyniosłe budynki spoglądał; pomiędzy kępami palm i uprawnymi polami wznosiły się tu i ówdzie domy, kolorowe kioski, niby plamy na zielonej barwie roślinności. Pod jednym z tych tarasów ukrywała się niewątpliwie Tahoser, a Faraon byłby rad, za sprawą jakichś czarów, podnieść je lub sprawić, żeby się stały przezroczyste.

Godziny mijały, słońce znikło za górami, rzucając ostatnie blaski na Teby, a gońcy nie wracali. Faraon trwał niewzruszenie w nieruchomej postawie. Noc rozpostarła się nad miastem cicha, orzeźwiająca, błękitna; gwiazdy roziskrzyły się, ich długie, złote rzęsy drgały w ciemnym lazurze; a w zakątku tarasu Faraon, milczący, niewzruszony, odcinał się czarnymi zarysami, jak posąg bazaltowy, przytwierdzony do tabulatury. Kilkakrotnie ptaki nocne okrążyły je-

go głowę, chcąc na niej spocząć; lecz, wystraszone jego oddechem wolnym i ciężkim, uciekały bijąc skrzydłami.

Z tej wysokości król panował nad miastem, które rozpościerało się u jego stóp. Z łona błękitnawego mroku strzelały obeliski, o spiczastych piramidjonach, pylony, — wrota olbrzymie, poprzecinane promieniami, wysokie gzemsy, kolosy, wyłaniające się po ramiona z zamętu budowli, propyleje, kolumny, rozchylające swoje kapitele, niły ogromne kwiaty granitowe, narożniki świątyń i pałaców, oświetlone srebrzystą smugą światła; święte sadzawki rozpościerały się, migocząc, jak metal polerowany, sfinksy, wznoszące się szeregami, wyciągały łapy, rozszerzały grzbiet, a płaskie dachy ciągnęły się bez końca, biejąc w księżycowym blasku masami, poprzecinanymi tu i ówdzie przez place i ulice; te błękitnawe ciemności usiane były czerwonymi punkcikami, jakgdyby gwiazdy upuściły na ziemię iskierki; były to lampy, które czuwały jeszcze w uśpionem mieście; dalej, między mniej zacieśnionymi budynkami, chwiały się liściaste wachlarze na wierzchołkach drzew palmowych; za nimi zarysy i kształty ginęły w zamglonym bezmiarze, albowiem nawet oko orła nie zdolałoby osiągnąć granic Teb, z drugiej zaś strony stary Hopi-Mu schodził majestatycznie ku morzu.

Krążąc okiem i myślą ponad tem niezmiernem miastem, którego był panem samowładnym, Faraon ze smutkiem zastanawiał się nad granicą władzy ludzkiej; żądza, jak sęp zgłodniały, żarła jego serce, i mówił sobie:

„W tych wszystkich domach mieszczą się istoty, które na mój widok padają w pokłonach i dla których moja wola jest rozkazem bogów. Gdy ukażę się na złocistym wozie lub w lektyce, niesionej przez oerisów, dziewice z bijącym sercem śledzą mnie przeciągłym spojrzeniem, kapłani okadzają mnie wonnym dymem trybularzy, lud powiewa palmami lub rozsypuje kwiaty; na świst mojej strzały drżą narody, a mury pylonów, olbrzymie jak skały, zaledwie mogą pomieścić spis moich zwycięstw; kamieniołomy wyczerpują się dostarczaniem granitu na moje posągi; raz jeden zdarza mi się, w pełni przesytu, zapragnąć czegoś i nie mogę tego pragnienia zadowolić. Timoft nie przybywa; pewnie nic nie odnalazł. O Tahoser, Tahoser, ileż szczęścia winna mi jesteś za to czekanie!”

Wszelako wysłańcy z Timoftem na czele zwiedzali domy, tropili gościńce, wypytyjąc o córkę kapłana, podając jej rysopis wszystkim, których spotykali. Ale nikt nie mógł im nic powiedzieć.

Pierwszy goniec zjawił się na tarasie, donosząc Faraonowi, że Tahoser nie została odnaleziona.

Faraon wyciągnął berło; goniec padł martwy, pomimo przysłowiowej twardej czaszki egipskiej.

Przybył drugi; potknął się o zwłoki towarzysza, leżącego na płytach kamiennych; pochwyciło go drżenie, albowiem ujrzał gniew na czole Faraona.

— A Tahoser? — spytał Faraon, nie zmieniając postawy.

— O, najjaśniejszy panie! ślad jej zaginął, — odparł nieszczęśliwy, klęcząc w mroku przed tym

czarnym cieniem, podobnym raczej do posągu ozyry-sowego niż do żywego króla.

Ręka granitowa oderwała się od nieruchomego torsu i berło metalowe opadło jak grzmot. Drugi go-niec potoczył się ku pierwszemu.

Ten sam los spotkał trzeciego.

...Wędrując od domu do domu, Timoft przybył do pawilonu Poeriego, który, powróciwszy z wycieczki nocnej, zdumiał się rano, nie widząc rzekomej Hory. Harfre oraz służebnice, które w przeddzień wieszczyły wraz z nią, nie umiały powiedzieć, co się z nią stało; pokój jej był pusty; napróżno szukano jej w ogrodach, łamusach, w śpichrzach i sadzawkach.

Na pytanie Timofta, Poeri odpowiedział, że istotnie, młoda dziewczyna w pokornej postawie, widocznie nieszczęśliwa, przybyła przed drzwi jego, błagając na klęczkach o gościnność, że przyjął ją przychylnie, ofiarowując pomieszczenie i strawę, ale, że odeszła w sposób tajemniczy, z przyczyny, której nie może się nawet domyśleć. Dokąd poszła? nie wie. Zapewne, wypocząwszy nieco, udała się w dalszą drogę, dążąc do nieznanego celu. Była piękna, smutna, odziana skromną szatą i wydawała się uboga; czyżby imię Hora, jakie sobie nadała, ukrywało imię Tahoser? rozstrzygnięcie tej kwestji pozostawiał Poeri przenikliwości Timofta.

Z temi wieściami powrócił Timoft do pałacu i, stojąc, poza obrębem ciosu berła Faraonowego, zdał sprawę z wyniku poszukiwań.

„Poco ona poszła do Poeriego?“ — mówił sobie Faraon; „jeżeli istotnie pod Horą ukrywa się Tahoser, w takim razie kocha Poeriego. Nie, bo nie byłaby uciekła w ten sposób, skoro przyjęta została pod jego dach. Ach! ja ją odnajdę, choćbym miał przetrząsnąć Egipt od katarakt do Deltę“.

XI.

Rachela stała w progu chaty i śledziła wzrokiem oddalającego się Poeriego, gdy nagle zdało się jej, że dobiega ją lekkie westchnienie; wyteżyła słuch. Kilka psów wyło do księżyca, puszczyk odzywał się pogrzebowym krzykiem, a krokodyłe kwiliły między sitowiem na rzece, naśladując zawodzenie dziecka. Młoda Izraelitka zabierała się do wejścia, gdy jęk wyraźniejszy, którego nie można było przypisać nieokreślonym odgłosom nocy, a który napewno pochodził z piersi ludzkiej, poraz drugi obił się o jej uszy.

Zbliżyła się ostrożnie, w obawie zasadzki, do miejsca, skąd dochodził dźwięk, i pod murem chaty dostrzegła w cieniu błękitnawym i przezroczystym, zarysy postaci, leżącej na ziemi; przemoczona szata oblepiała kształty rzekomej Hory, a zaokrąglenie ich zdradzało płęć. Rachela, widząc, że ma do czynienia tylko z zemdloną kobietą, otrząsnęła się z wszelkiej obawy i uklękła obok niej, nasłuchując oddechu ust i bicia serca. Oddech konał na białych wargach, bicie zaledwie poruszało zimne łono. Czując wilgoć przemoczonej szaty, Rachela zrazu mniemała, że to krew i wyobraziła sobie, że ma przed sobą ofiarę morderstwa; chcąc zatem nieść pomoc skuteczniej-

szą, wezwała Tamarę, sługę swoją, i we dwie zaniósłły Tahoser do chaty.

Tu kobiety złożyły ją na łożu spoczynku. Tamara trzymała lampę wzniesioną do góry, Rachela zaś, pochylona nad młodą dziewczyną, szukała rany; wszakże najlżejsza czerwona kreska nie przecinała matowej białości ciała Tahoser, a na szacie jej nie było plamy, zabarwionej purpurą, zdjęty z niej zatem wilgotną odzież i zarzuciły na nią chustę wełnianą w pasy, której łagodne ciepło przywróciło powstrzymany bieg życia. Tahoser otworzyła powoli oczy i powiodła dokoła spojrzeniem schwytej gazeli.

Kilka minut upłynęło, zanim zdołała nawiązać przerwany wątek myśli. Nie mogła jeszcze zrozumieć, jak się stało, że znajduje się w tym pokoju, na tem łożu, gdzie przed chwilą widziała Poeriego i młodą Izraelitkę, siedzących obok siebie, z dłońmi we wzajemnym uścisku, mówiących o miłości, gdy ona, z zapartym oddechem, nawpół przytomna patrzyła przez szparę w murze; ale niebawem odzyskała pamięć, a wraz z nią świadomość własnego położenia.

Światło padało pełnym blaskiem na twarz Racheli i Tahoser wpatrywała się w nią w milczeniu, zgnębiona jej nieposzlakowaną pięknnością.

Napróżno, z całą zaciętością zazdrości kobiecej, szukała w tej twarzy wady, i uczuła, że ta uroda, jeśli jej nie zwycięża, to jej dorównywa. Rachela była ideałem piękności izraelskiej, jak Tahoser egipskiej. Córka kapłana zmuszona była przyznać, że miłość Poeriego jest słuszna i w godne złożona ręce — rzecz to ciężka dla kochającego serca. Te oczy

o rzęsach czarnych i wygiętych, te ponsowe usta o olśniewającym uśmiechu, nos tak szlachetnie zarysowany, wydłużony wytwornie owal twarzy, ręce, silne u ramion, a zakończone dzieciennymi dłońmi, szyja pełna i kształtna, która, obracając się układała się w załamy piękniejsze niż naszyjniki z drogich kamieni, to wszystko, czemu jeszcze strój egzotyczny i osobliwy dodawał blasku, musiało podobać się bezsprzecznie.

„Popeliłam wielki błąd“, mówiła sobie w duchu Tahoser — „gdy przybyłam do Poeriego pod skromną postacią żebraczki, ufając swym wdziękowi nadmiernie wysławianym przez pochlebców. Szalona! postąpiłam, jak żołnierz, który wybrałby się na wojnę bez pancerza i oręża. Gdybym była się ukazała, zbrojna w mój zbytek, okryta klejnotami, stojąc na wozie złotym, w orszaku licznych niewolników, może byłabym podnieciła jego próżność, jeżeli już nie jego serce“.

— Jakże się czujesz teraz? — rzekła Rachela po egipsku do Tahoser, albowiem po kształcie twarzy i po włosach, splecionych w warkoczyki, poznała, że młoda dziewczyna nie należy do rasy izraelskiej.

Dźwięk tego głosu był współczujący i łagodny, a akcent cudzoziemski dodawał mu wdziękowi.

Tahoser, wzruszona nim mimowoli, odparła:

— Jest mi trochę lepiej; dzięki twojej troskliwości, wyzdrowieję niebawem.

— Nie męcz się mówieniem, — odpowiedziała Izraelitka, kładąc dłoń na ustach Tahoser. — Posta-

raj się zasnąć, żeby odzyskać siły; Tamara i ja czuć będziemy nad snem twoim.

Wzruszenia, przepłynięcie Nilu, długa wędrówka po odległych dzielnicach, wyczerpały córkę Petamunofa. Wypieszczone jej ciało było obolałe i niebawem długie jej rzęsy opadły, tworząc czarne półkole na policzkach, zabarwionych ogniem gorączki. Sen nadszedł, ale niespokojny, zakłócony dziwaczniemi widziadłami, nawiedzany groźnemi zjawami; nerwowe drgawki wstrząsały postacią śpiącej i słowa bez związku, odpowiadające djalogowi sennemu, wybiegały z jej ust rozchylonych.

Siedząc w głowach łoża Rachela śledziła zmiany oblicza Tahoser, niepokojąc się, gdy rysy chorej kurczyły się bolesnym wyrazem, i wypogadzając, gdy wracał na nie spokój; Tamara skulona naprzeciwko swojej pani, śledziła również córkę kapłana, ale wyraz jej twarzy był mniej życzliwy. W zmarszczkach jej niskiego czoła, przyciśniętego opaską fryzury izraelskiej, widniały instynkty pospolite. W źrenicach, które mimo wieku, iskrzyły się jeszcze w ciemnych oczodołach, gorzała piekąca ciekawość, zdawało się, że nos kościsty i zakrzywiony, jak dziób sępa, węszył tajemnice, a usta, poruszające się w milczeniu, przygotowują pytania.

Ta nieznamoma, znaleziona podedrzwiemi chaty, intrygowała ją wielce; zkąd przybyła? jak się tu przedostała? w jakim celu? kim jest? Takie pytania zadawała sobie Tamara i, ku wielkiemu żalowi swemu, nie mogła znaleźć odpowiedzi zadawałających. Należy też zaznaczyć, że Tamara, jak wszystkie ko-

biety stare, miała uprzedzenie do piękności, stąd Tahoser nie podobała jej się. Wierna sługa tylko pani swojej wybacziała urodę, a tę urodę uważała za swoją własność: dumna z niej była i zazdrosna o nią.

Wobec milczenia Racheli, stara wstała, usiadła przy niej i, mrugając smagłemi powiekami, które opuszczały się i podnosiły jak skrzydła nietoperza, rzekła do niej po cichu, w języku hebrajskim:

— Pani moja, nie wróżę nic dobrego z przybycia tej kobiety.

— A to dlaczego Tamaro? — odparła Rachel, tym samym tonem i tą samą mową.

— Dziwne to, — mówiła podejrzliwa Tamara, — że zemdlą tutaj, a nie gdzieindziej.

— Upadła na miejscu, gdzie opuściły ją siły.

Stara potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

— Czy przypuszczasz, — ciągnęła dalej ukochana Poeriego, — że jej zemdlecie nie było prawdziwe? Taka była podobna do trupa, że paraszyta byłby mógł przeciąć jej łono swoim ostrym kamieniem. Spojrzenie miała zagasłe, usta sine, lica wybladłe, ręce i nogi, ciało zimne, jak ciało umarłej, a tego nadszadować nie można.

— Nie, zapewne, — odrzekła Tamara, — chociaż są kobiety, umiejące tak zręcznie udawać w jakimś ukrytym celu, że mogą wprowadzić w błąd ludzi najbystrzejszych. Ale sądzę, że ta młoda dziewczyna istotnie utraciła przytomność.

— A więc do czego stosują się twoje podejrzenia?

— Jakim sposobem znalazła się tutaj, wśród nocy, w tej odległej dzielnicy, zamieszkaney jedynie przez

biednych jeńców naszego plemienia, których zły Faraon używa do wyrobu cegieł, a nie chce im dać słomy do wypalania gliny? Jaka przyczyna sprowadza tę Egipcjanke do dzielnicy naszych nędznych chat? Dlaczego odzież jej była taka przemoczona, jakgdyby wychodziła z sadzawki lub z rzeki?

— Nie wiem, tak samo jak ty, — odparła Rachel.

— A jeśli to jest szpieg naszych władców? — rzekła stara i w oczach jej zapłonęła błyskawica niewiści. — Przygotowują się wielkie rzeczy; kto wie, czy ich nie ostrzeżono?

— W jaki sposób ta chora młoda dziewczyna mogłaby nam szkodzić? jest w naszych rękach, osłabiona i samotna: możemy zresztą, za najmniejszym pozorem do podejrzeń, zatrzymać ją jako więźnia, aż do dnia wyzwolenia.

— W każdym razie, nie trzeba jej ufać; spojrzij jakie ma delikatne i wypieszczone ręce.

I stara Tamara uniosła jedną z rąk śpiącej Tahoser.

— W czem delikatność jej ciała może nas narazić na niebezpieczeństwo?

— O nierozważna młodości! — rzekła Tamara; — o młodości szalona, która nie umie nic dostrzedz i idzie w życie, pełna ufności, nie wierząc w zasadzki, w cierń, ukryty pod trawą, w węgiel, osłonięty popiołem, i która głaskałaby chętnie żmiję, utrzymując, że to tylko mały wąż niejadowity. Zechciej zrozumieć Rachelo, zrzuć bielmo z oczu. Ta kobieta nie pochodzi z klasy, do której z pozoru należy; duży palec jej dło-

ni nie spłaszzył się na nitce wrzeczona! a ta drobna ręka, wydelikaccona maściami i wonnościami, nie pracowała nigdy; jej nędza jest udana.

Słowa Tamary wywarły wrażenie na Racheli; przyglądała się teraz Tahoser z większą uwagą.

Lampa rzucała na nią drżące płomienie i przedziwnie piękne kształty córki kapłana zarysowały się wśród żółtawego blasku w pełnem wdzięku sennem zaniedbania. Ręka, którą Tamara podniosła, spoczywała na wełnianej chuście w pasy, bielsza jeszcze na tle ciemnego materiału; na przegubie opasywała ją bransoletka z sandałowego drzewa, a jeżeli ta pospolita ozdoba ubogiej zalotności była ordynarnej roboty, to ciało, istotnie, wydawało się skąpane w wonnej toni bogactwa. Rachela dostrzegła teraz jaka piękna jest Tahoser, ale odkrycie to nie zrodziło w jej sercu bynajmniej złośliwego uczucia. Uroda młodej dziewczyny rozrzewniła ją, zamiast ją gniewać, jak Tamarę. Nie mogła wierzyć, żeby w tem ciele, doskonale pięknem, ukrywała się dusza nieczna i zdradziecka, i pod tym względem jej młodociana nieświadomość wydawała sąd trafniejszy niż stare doświadczenie sługi.

Dzień zaświtał nareszcie i gorączka Tahoser wzmogła się; miewała chwile maligny, po których następowało długie milczenie.

— Gdyby umarła tutaj, — rzekła Tamara, — oskarżonoby nas, żeśmy ją zabiły.

— Nie umrze, — odparła Rachela, przysuwając do spieczonych pragnieniem ust chorej kubek czystej wody.

— Poszłabym nocą rzucić zwłoki do Nilu — ciągnęła dalej uparta Tamara — a krokodyle postarałyby się o to, żeby te zwłoki znikły.

Minął dzień, nadeszła noc i, w zwykłej godzinie, Poeri, dawszy sygnał umówiony, ukazał się, jak dnia poprzedniego, w progu chaty. Rachela wyszła go powitać, palcem na ustach dając mu znak, by zachował się cicho, gdyż Tahoser spała.

Poeri, którego Rachela wzięła za rękę i zaprowadziła do łoża, gdzie spoczywała Tahoser, poznał niezwłocznie rzekomą Horę; zniknięcie jej zastanawiało go, zwłaszcza od chwili odwiedzin Timofta, który jej szukał, w imieniu swego pana.

Wielkie zdumienie odmalowało się na jego twarzy, gdy, pochyliwszy się nad łożem, przekonał się, że spoczywa na niem istotnie owa młoda dziewczyna, którą przygarnął; nie mógł pojąć jakim sposobem znalazła się w tem właśnie miejscu.

Zdumienie to ugodziło boleśnie Rachelę; stanęła przed Poerim, by zbliższy wyczytać prawdę z jego oczu, położyła mu dłonie na ramionach i, usiłując przeniknąć go wzrokiem, spytała krótko głosem suchym, stanowiącym sprzeczność z jej mową zwykłą, słodką jak gruchanie synogarlicy:

— To ty ją znasz?

Twarz Tamary wykrzywiła się wyrazem zadowolenia; dumna była ze swej bystrej domyślności i niemal rada, że sprawdziły się w części jej podejrzenia, co do obcej dziewczyny.

— Tak, — odparł z prostotą Poeri.

Iskrzące się oczy sługi rozżarzyły się złośliwą ciekawością.

Na oblicze Raeheli powrócił wyraz spokoju; nie wątpiła już o ukochanym.

Poeri opowiedział jej, że młoda dziewczyna, podająca się za Horę, przybyła przed dom jego po proźbie, że ją przyjął, jak należy przyjąć każdego gościa; że nazajutrz nie było jej już między służebnicami i że nie może sobie wytłumaczyć w jaki sposób znalazła się tutaj; dodał, że wysłańcy Faraona szukają wszędzie Tahoser, córki wielkiego kapłana Petamunofa, która znikła ze swego pałacu.

— Widzisz, pani moja, że miałam słuszość, — odezwała się, tonem tryumfu, Tamara, — Hora i Tahoser to jedna i ta sama osoba.

— Bardzo możliwe, — odparł Poeri. — Ale jest tu kilka tajemnic, których rozum mój nie może sobie wytłumaczyć: najpierw z jakiego powodu Tahoser (jeżeli to ona) przywdziałyby przebranie? a następnie jakim cudem spotykam tutaj tę młodą dziewczynę, którą zostawiłem po tamtej stronie Nilu, i która z pewnością nie wiedziała dokąd iść.

— Poszła za tobą niewątpliwie, — zauważyła Raehela.

— Jestem pewien, że o tej godzinie nie było na rzece innej barki prócz mojej.

— Więc to dlatego włosy jej ociekały wodą, a szata jej była przemoczona; przepłynęła przez Nil.

— Rzeczywiście przez chwilę zdawało mi się, że dostrzegam w ciemnościach głowę ludzką ponad wodą.

— To była ona, — rzekła Rachela, — dowodzi tego jej zemdleńie i zmęczenie; albowiem po twojem odejściu znalazłam ją nieprzytomną na ziemi, za chałą. Biedne dziecko!

— Istotnie, taki najpewniej był przebieg rzeczy, — odparł młodzieniec. — Widzę czyny, ale nie rozumiem pobudek.

— Ja ci je wytłomaczę, — rzekła Rachela z uśmiechem, — jakkolwiek jestem tylko biedną ciemną istotą, a ciebie porównują, dla twojej nauki, z owymi kapłanami egipskimi, dniami i nocą przesiadującymi w głębi sanktuarjów, pełnych tajemniczych hieroglifów, których głębokie znaczenie oni jedni mogą odgadywać; ale niekiedy mężczyźni, tacy zajęci astronomją i liczbami, nie przeczuwają co się dzieje w sercu młodych dziewcząt. Dojrzą na niebie gwiazdę daleką a nie zauważą miłości tuż przy sobie Hora, a raczej Tahoser, bo to ona napewno, przywdziała to przebranie, żeby wejść do twego domu i żyć przy tobie; pod wpływem zazdrości szła w ciemnościach za tobą, narażając się na pożarcie przez krokodyle w rzece, przepłynęła przez Nil; przybywszy tutaj, śledziła nas przez którąkolwiek szparę w ścianie i nie mogła znieść widoku naszego szczęścia. Ona cię kocha, bo jesteś bardzo piękny, bardzo mocny i bardzo łagodny; ale mnie to obojętne, skoro ty jej nie kochasz. Zrozumiałeś teraz?

Lekki rumieniec zabarwił lica Poeriego obawiał się, że Rachela jest może podrażniona i mówi tak do niego, chcąc go wciągnąć w pułapkę ale promienne i czyste spojrzenie nie zdradzało żadnej ukrytej my-

śli. Nie miała żalu do Tahoser, że kocha tego, którego ona sama tak kochała.

Po przez senne widziadła Tahoser dostrzegła Poeriego, który stał przed nią. Niebiańska radość odmalowała się na jej obliczu i, nawpół się unosząc, pochwyliła zwieszoną rękę młodzieńca i do ust ją poniosła.

— Usta jej płoną, — zauważył Poeri, cofając rękę.

— Z miłości zarówno jak i z gorączki — odparła Rachel; — ale ona istotnie chora; gdyby może Tamara wezwała Moszego? on mądrzejszy od mędrców i wróżbitów Faraona, naśladuje przecież wszystkie ich cuda; zna właściwości roślin i umie warzyć z nich napoje, które wskrzesiłyby umarłych; uzdrowi Tahoser, bo nie jestem taka okrutna, żebym pragnęła jej śmierci.

Tamara poszła niechętnie i niebawem powróciła ze starcem wysokiego wzrostu, którego majestatyczna postawa nakazywała szacunek; wielka biała broda spadała, falując, na piersi, po obu stronach czoła ogromne guzy chwytaly i wchłaniały światło; rzekłbyś dwa rogi albo dwa promienie. Pod gęstymi brwiami oczy świeciły, niby płomienie. Pomimo skromnej odzieży wyglądał, jak prorok albo jak bóg.

Objaśniony przez Poeriego, usiadł przy łożu Tahoser i, wyciągając nad nią ręce, rzekł:

— W imieniu Tego, który może wszystko i obok którego inni bogowie są tylko bożkami i szatanami, jakkolwiek nie należysz do rasy, wybranej przez Pana, dziewico, bądź uzdrowiona.

XII.

Wielki starzec odszedł, krokiem wolnym i uroczystym, zostawiając jakby blask poza sobą. Tahoser, zdumiona, że opuściła ją nagle niemoc, wodziła wzrokiem po pokoju i niebawem, zarzuciła chustę, którą nakryła ją młoda Izraelitka, zesunęła nogi na ziemię i usiadła na skraj łoża: znużenie i gorączka znikły zupełnie. Rzeźwa była, jak po długim wypoczynku, piękność jej jaśniała w całym blasku. Odgarnawszy drobnymi dłońmi splecione zwoje włosów za uszy, odsłoniła twarz, promieniejącą miłością, jakgdyby pragnęła, żeby Poeri mógł w niej czytać. Ale widząc, że stoi bez ruchu, przy Racheli, nie zachęcając jej ani znakiem, ani spojrzeniem, podniosła się z wolna, podszła do młodej Izraelitki i, w nagłym porywie, zarzuciła jej ręce na szyję.

Twarcz ukryła na łonie Racheli i płakała zcicha, zwilżając jej pierś ciepłymi łzami.

Niekiedy łkanie, którego nie mogła powstrzymać, wstrząsało konwulsyjnie jej postać i drżała na sercu rywalki; ta zupełna niemoc, ten szczery, głęboki smutek wzruszyły Rachelę — Tahoser uznała się za zwyciężoną i błagała o jej litość milczącymi prośbami, zwracając się do wspaniałomyślności niewieściej.

Rachela ucałowała ją i rzekła:

— Osusz łzy swoje i utul rozpacz. Kochasz Poeriego; a więc! kochaj go; nie będę zazdrosna. Jakób, jeden z patrjarchów naszej rasy, pojął dwie żony: jedna miała imię Rachela, jak ja, a druga Leja; Ja-

kób wolał Rachełę a jednak Leja, która nie miała twojej urody, żyła przy nim szczęśliwa.

Tahoser uklękła u stóp Racheli i złożyła pocałunek na jej dłoni; Rachela podniosła ją i objęła ramieniem jej kibić.

Czarującą grupę tworzyły te dwie kobiety różnych ras, jakby uosabiające ich piękność. Tahoser wytworna, pełna wdzięku i smukła, jak dziecko, zbyt szybko wyrosłe; Rachela olśniewająca, silna i wspaiała w swej wczesnej dojrzałości.

— Tahoser, — odezwał się Poeri, — bo przecież takie jest twoje imię, Tahoser, córka wielkiego kapłana Petamunofa...

Młoda dziewczyna skinęła potakująco.

— Czem się to dzieje, że ty, która mieszkasz w Tebach w bogatym pałacu, otoczona niewolnikami, pożądana przez najpiękniejszych Egipcjan, wybrałaś i pokochałaś syna rasy, będącej w niewoli, cudzoziemca, który nie wyznaje twojej wiary, i od którego dzieli cię taka wielka różnica?

Rachela i Tahoser uśmiechnęły się a córka wielkiego kapłana odparła:

— Właśnie dlatego.

— Jakkolwiek mam łaski u Faraona, jestem zarządcą dóbr jego i noszę rogi złożone na uroczystościach rolnych, niemniej nie mogę wznieść się do ciebie; w oczach Egipcjan jestem tylko niewolnikiem, a ty należysz do kasty kapłańskiej, najwyższej, najbardziej czczonej. Jeśli mnie kochasz, a nie mogę o tem wątpić, musisz zejść ze swego wysokiego stanowiska...

— Czyż nie uczyniłam się już twoją służebnicą? Hora nie zachowała nic z Tahoser, nawet naszyjników z emalji i kalazirysów z przezroczystej gazy; to też uważałeś, że jestem szpetna.

— Trzeba, żebyś się wyrzekła swego kraju i poszła za mną w strony nieznanne, przez pustynię, gdzie pali słońce, gdzie wichur dmie, gdzie ruchomy piasek zaciera drogi, gdzie nie rośnie nawet krzak, ani szemrze najmniejsze źródło, między doliny błakania się i zatury, gdzie drogowskazami są pobielające kości zaginionych tam ludzi.

— Pójdę, — rzekła spokojnie Tahoser.

— To nie dosyć, — ciągnął dalej Poeri; — twoje bogi nie są moimi bogami, twoje bogi ze spiżu, z bazaltu i granitu, tworzone ręką człowieka, potworne bałwany o głowie krogulca, małpy, ibisa, krowy, szakala, lwa, przybierające maski zwierzęce, jakgdyby onieśmielała je twarz ludzka, w której jaśniej odblask Jehowy. Powiedziane jest: „Nie będziesz czcił ani kamienia, ani drzewa, ani metalu“. W głębi tych ogromnych świątyń, zroszonych krwią ras uciśnionych, szydzą, skulone ohydnie, nieczyste duchy, które przywłaszczają sobie prawo do odbierania czci, darów i ofiar. Jeden jedyny Bóg, nieskończony, wieczny, bez kształtu, bez barwy, wystarczy do zapelnienia bezmiaru niebios, które wy zaludniacie tłumem widm. Nasz Bóg stworzył nas, a wy stwarzacie waszych bogów.

Jakkolwiek Tahoser zakochana była w Poerim, niemniej słowa te wywarły na nią straszne wrażenie i cofnęła się przerażona. Córka wielkiego kapłana

przyzwyczajona była czcić tych bogów, przeciw którym młody Hebrajczyk bluźnił tak zuchwale; składała w ofierze na ich ołtarzach wiązanki lotosu i paliła kadzidła przed ich milczącymi wyobrażeniami; pełna zdziwienia i zachwytu przechadzała się po ich świątyniach, upstrzonych jaskrawymi malowidłami. Widywała ojca, spełniającego tajemnicze obrządki, szła za korowodami kapłanów, niosących symboliczną łódź przez olbrzymie propyleje i nieskończone aleje sfinksów, podziwiała, nie bez trwogi, psychostazje, gdzie drżąca dusza stawała wobec Ozyrysa, uzbrojonego w bat i kij, i przyglądała się rozmarzonym freskom, wyobrażającym postacie emblematyczne, dążące w sfery zachodnie: nie mogła tak od razu wyrzec się swoich wierzeń.

Milczała przez kilka miut, wahając się między religją a miłością; miłość wzięła górę i Tahoser rzekła:

— Wytłómaczysz mi istotę twego Boga, a ja postaram się Go zrozumieć .

— Dobrze, — odparł Poeri, — będziesz moją żoną, tymczasem zostań tutaj, bo Faraon, niewątpliwie zakochany w tobie, kazał cię szukać; nie odnajdzie cię pod tym ubogim dachem, a za kilka dni wyzwolimy się z pod jego władzy. Ale już późno, muszę wracać.

Poeri odalił się a młode dziewczęta, leżąc przy sobie na małym łóżku, zasnęły niebawem, trzymając się za ręce, jak siostry.

Tamara, która podczas całej tej sceny siedziała skulona w kącie pokoju, jak nietoperz uczepony na

zrębie pazurami swojej skrzydlatej błony, i mruzczała urywane słowa, marszcząc niskie, zorane bruzdami, czoło wyprostowała kościste członki, wstała, pochyliła się nad łóżkiem i słuchała przez chwilę oddechu śpiących. Gdy z jednostajności ich tchnienia nabrała przekonania, że spoczywają snem głębokim, skierowała się w stronę drzwi, idąc na palcach z niesłychaną ostrożnością.

Poczem, śpiesznym krokiem podążyła w kierunku Nilu, opędzając się od psów, które zębami czepiały się jej tuniki, tak, że wlokła je za sobą po piasku, to znów spoglądała na nie takim płomienistym wzrokiem, że cofały się, wyjąc żałośnie, i pozwalały jej przejść swobodnie.

Niebawem przekroczyła obszary niebezpieczne i pustkowia, zamieszkane nocą przez złodziei, i weszła w zamożne dzielnice Teb; ulice, wzdłuż których wznosiły się wysokie gmachy, rzucające cienie wielkich zrębów, zaprowadziły ją do muru, okalającego pałac, czyli do celu wycieczki.

Chodziło teraz o to, żeby się dostać do wnętrza, co nie było rzeczą łatwą dla służącej izraelskiej, mającej nogi pokryte warstwą kurzu, i odzianej w podejrzaną łachmany.

Stała przed pylonem głównym, przed którym czuwa pięćdziesiąt sfinksów, spoczywających w dwóch szeregach, jak potwory, gotowe zmiażdżyć granitowymi szczękami nierozważnych, którzy zapragnęliby wtargnąć przemocą.

Straż powstrzymała ją i obiała drzewcami oszczepów, poczem zapytała czego chce.

— Chcę widzieć Faraona, — odpowiedziała stara pocierając plecy.

— Doskonale... właśnie niepokoić dla tej czarownicy Faraona, ulubieńca Phre, wybrańca Ammona-Ra, pogromcę narodów! — mówili żołnierze, zanosząc się od śmiechu.

Tamar powtórzyła uparcie:

— Chcę natychmiast widzieć Faraona.

— Dobrą chwilę wybrałaś! Faraon tylko co załtłukł berłem trzech wysłańców; siedzi na tarasie, nieruchomy i ponury, jak Tyfon, Bóg złego, — rzekł jeden z żołnierzy, racząc poniżyć się do objaśnienia.

Służebna Racheli usiłowała przełamać zakaz; oszczepty spadały rytmicznie na jej głowę, jak młoty na kowadło.

Podniosła wrzask taki, jak orzeł morski, skubany żywcem.

Na te krzyki przybiegł oeris; żołnierze przestali bić Tamarę.

— Czego chce ta kobieta, — spytał oeris — i dlaczego ją tak bijecie?

— Chcę widzieć się z Faraonem! — zawołała Tamarą, padając do nóg oficera.

— Niepodobna, — odrzekł, — gdybyś nawet nie była nędzarką ale najwyższym dygnitarzem państwa.

— Wiem gdzie jest Tahoser, — szepnęła mu stara, kładąc nacisk na każdej sylabie.

Na te słowa oeris wziął Tamarę za rękę, przeszedł z nią przez pierwszy pylon i zaprowadził ją przez kolumnadę do drugiego dziedzińca, gdzie wznosiło się

sanktuarjum granitowe, poprzedzone przez dwie kolumny o kapitelach w kształcie lotosu; tam wezwał Timofta, który zaprowadził służebnicę na taras, gdzie siedział Faraon w ponurem milczeniu.

— Mówiąc do niego trzymaj się zdala od jego berła, — zalecił Timoft Izraelitce.

Skoro tylko dostrzegła króla w ciemnościach, Tamara padła twarzą na płyty kamienne, obok trupów których jeszcze nie uprzątnięto, i niebawem rzekła pewnym głosem:

— O Faraonie! nie zabijaj mnie, przynoszę dobrą nowinę.

— Mów bez obawy, — odparł król, którego gniew minął.

— Znam schronienie tej Tahoser, której twoi wysłańcy szukali daremnie.

Na dźwięk imienia Tahoser, Faraon zerwał się i postąpił parę kroków ku klęczącej jeszcze ciągle Tamarze.

— Jeśli mówisz prawdę, możesz z moich komnat granitowych zabrać tyle złota i klejnotów, ile zdołasz udźwignąć.

— Oddam ją w twoje ręce, bądź spokojny, — rzekła stara z przeraźliwym śmiechem.

Jaka pobudka zniewoliła Tamarę do zdradzenia Faraonowi schronienia, gdzie ukryła się córka kapłana? Chciała przeszkodzić związkowi, który jej się nie podobał; żywiła dla rasy egipskiej nienawiść ślepą, dziką niemal zwierzęcą, i uśmiechała się jej myśl rozdarcia serca Tahoser; gdy raz dostanie się w ręce Faraona, rywalka Racheli, już się wyswobodzić nie

zdola; granitowe mury pałacu potrafią upilnować swoją zdobycz.

— Gdzie ona jest? — rzekł Faraon; — powiedz, chcę ją widzieć natychmiast.

— Najjaśniejszy panie, ja jedna tylko mogę cię tam zaprowadzić; znam zaułki tych nieczystych dzielnic, gdzie nie postąpiłaby noga najniższego ze sług twoich. Tam jest Tahoser w chacie z gliny i słomy, której nic odróżnia od lepierek sąsiednich, wśród stosu cegieł, wyrabianych dla ciebie przez Hebrajczyków, po za domami miasta.

— Dobrze, ufam ci; Timoft, niech zaprzęgną wóz.

Timoft znikł.

Niebawem rozległ się na płytach kamiennych turkot kół i odgłos kopyt końskich.

Faraon zeszedł, a za nim Tamara.

Wskoczył na wóz, schwycił lejce, a widząc, że Tamara się waha, rzekł: — Wsiadaj, — młasnął językiem i konie ruszyły z miejsca. Echo roznosiło turkot kół, który rozległ się wśród ciszy nocnej, jak głuchy grzmot, w wielkich i głębokich salach.

Ohydna stara, uczepiona kościstymi palcami u wozu obok Faraona, olbrzymiej postawy i podobnego do boga, tworzyli osobliwe widowisko, które, na szczęście, miało za świadków tylko gwiazdy, roziskrzone na szafirze nieba; Tamara, tak usadowiona, podobna była do jednego z owych złych duchów, o potwornej postaci, towarzyszących grzesznym duszom do piekieł. Namiętności zbliżają tych, którzy nie powinni się nigdy spotkać.

— Czy tędy? — spytał Faraon na końcu ulicy, która rozchodziła się w dwie strony.

— Tak, — odparła Tamara, wyciągając suchą rękę we właściwym kierunku.

Konie, podniecone batem, pędziły naprzód, a wóz ze spiżowym łoskotem podskakiwał na kamieniach.

Przez ten czas Tahoser spała obok Racheli — dziwaczne widziadła zakłócały jej sen.

Zdało jej się, że jest w świątyni olbrzymich rozmiarów; na potężnych kolumnach, niesłychanej wysokości, spoczywał sufit błękitny, zasiany gwiazdami, jak niebo, niezliczone linje hieroglifów ciągnęły się w górę i na dół wzdłuż ścian, między freskami symbolicznymi o jaskrawych kolorach. Wszyscy bogowie Egiptu spotkali się w tem sanktuarjum, nie w wyobrażeniach ze spiżu, bazaltu lub porfiru, lecz w postaci żywych. W pierwszym rzędzie siedzieli bogowie podniebiańscy: Knef, Buto, Phta, Pan-Mendes, Hathor, Phre, Izyda; następnie dwunastu bogów niebiańskich, sześciu męskich: Rempha, Pizeus, Ertosi, Pi-Hermes, Imutes; i sześciu żeńskich: Księżyc, Eter, Ogień, Powietrze, Woda, Ziemia.

Za nimi, jak tłum niewyraźny tłoczyło się trzysta sześćdziesiąt pięć szatanów dnia powszedniego. Następnie ukazywały się bóstwa ziemskie; drugi Ozyrys, Haroeri, Tyfon, druga Izyda, Neftys, Anubis o głowie psa, Thot, Buziris, Bubastis, wielki Serapis. Dalej zaś, w cieniu zarysowywały się bożki o kształtach zwierzęcych: woły, krokodyle, ibisy, hipopotamy. Na środku świątyni zaś leżał Petamunof w otwartej powłoce, twarz miał odsłoniętą i, z iro-

nicznym wyrazem spoglądał na to osobliwe i potworne zgromadzenie. Umarł, ale był żywy, jak to często zdarza się w sennem widziadle, i mówił córce: „Wybadaj ich i zapytaj, czy są bogami“.

A Tahoser chodziła od jednego do drugiego, zadając każdemu pytanie, a wszyscy odpowiadali: „Jesteśmy tylko liczbami, prawami, siłami, właściwościami Boga; ale nikt z nas nie jest Bogiem prawdziwym.“

A w progu świątyni ukazał się Poeri i, biorąc Tahoser za rękę, prowadził ją do światła takiego olśniewającego, że słońce wydałoby się przy niem czarne, a wśród światła iskrzyły się w trójkącie wyrazy nieznane.

Wszelako wóz Faraona pędził po przez przeszkody, na wąskich drogach osie ocierały się o ściany chat.

— Powstrzymaj pęd koni, — rzekła Tamara do Faraona; — turkot kół w tej samotności i ciszy mógłby obudzić i ostrzedz Tahoser i wymknęłaby ci się powtórnie.

Faraon, uznawszy słuszność tej rady, zwolnił, mimo swej niecierpliwości, szalony bieg rumaków.

— To tutaj, — odezwała się Tamara, — zostawiłam drzwi otwarte. Wejdz, a ja pilnować będę koni.

Król zeszedł z wozu i, schylając głowę, wszedł do chaty.

Lampa paliła się jeszcze i rzucała dogasające światło na śpiące dziewczęta.

Faraon pochwycił Tahoser w silne ramiona i skierował się ku wyjściu.

Gdy córka kapłana przebudziła się i ujrzała przy twarzy swojej rozognione oblicze Faraona, mniemała narazie, że to fantasmagorja nowej przemiany jej snu; ale chłodny powiew nocy przywrócił jej niebawem poczucie rzeczywistości. Oszalała z przerażenia, chciała krzyknąć, wzywać pomocy; z krtani jej jednak nie wydobył się jednak najłżejszy dźwięk. Kto zresztą pośpieszyłby jej z pomocą przeciw Faraonowi?

Król jednym skokiem stanął na wozie, założył leżce dokoła bioder i, przyciskając do serca nawpół martwą Tahoser, puścił rumaki galopem ku pałacowi Północnemu.

Tamara wślizgnęła się, jak gad, do chaty, przykucnęła na zwykłym miejscu i wzrokiem, niemal tak tkliwym, jak wzrok matki, wpatrzyła się w swoją ukochaną Rachełę, która spała w dalszym ciągu.

ROZDZIAŁ XIII.

Pod wpływem prądu chłodnego powietrza, wytwarzanego przez szybki ruch wozu, Tahoser niebawem odzyskała zupełną przytomność. Przyciśnięta do piersi Faraona w granitowych objęciach, niemal niemi miażdżona, zaledwie zdołała na tej piersi pomieścić uderzenia swego serca, a twarde naszyjniki z emalii wrzynały się w jej falujące gwałtownie łono. Konie, którym król popuścił cugli, pędziły jak szalone; koła wirowały, spiżowe okucia dzwoniły, rozpalone osie dymiły. Tahoser, przerażona, widziała nie-

wyraźnie, jak przez sen, przelatujące na prawo i na lewo powikłane kształty budowli, drzew, pałaców, świątyń, pylonów, obelisków, kolosów, którym noc nadawała postać fantastyczną i straszną.

Jakie myśli roily się w jej głowie podczas tej wściekłej jazdy? Nie myślała wcale, niby synogarlica w szponach sokoła, który ją porywa do swego gniazda; osłupiała, obezwładniona w niemej trwodze, która lodem ścinała jej krew, była jak martwa; wola w niej zastygła, jak jej mięśnie, a gdyby nie trzymały jej objęcia Faraona, zesunęłaby się i skłębiła na dnie wozu, jak porzucona szmata materiału. Dwukrotnie zdawało jej się, że czuje na licu rozżarzony oddech i płomienne usta — nie usiłowała nawet odwrócić głowy; przerażenie zabiło w niej wstydlivość. Gdy wóz uderzał gwałtownie o kamień, nieświadomy instynkt zachowawczy, sprawiał, że uczepliała się dłońmi ramion króla i przytulała do niego, poczem znów zawisła bezwładnie całym swoim — takim lekkim — ciężarem na tym kręgu ciała, który ją miażdżył.

Konie wpadły w aleje sfinksów, na końcu której wznosił się olbrzymi pylon, zakończony zrębem, gdzie emblematyczna tarcza rozpościerała swe skrzydła; śród mniej już gęstego mroku nocnego córka kapłana poznała pałac króla i ogarnęła ją rozpacz; zaczęła się wyrwać, usiłowała wyzwolić się z uścisku, który ją obejmował, oparła wężle dłonie na twardej piersi Faraona, wyprężając ręce, przewracając się na brzeg wozu. Daremne wysiłki, niedorzeczna walka! zdobywca jej, uśmiechnięty, ruchem wolnym i niepokonanym przyciskał ją znów do piersi, jakgdyby pra-

gnął, żeby w nią wrosła; zaczęła krzyczeć — pocałunek zamknął jej usta.

Konie tymczasem kilku skokami przybyły przed pylon, przejechały go galopem, uradowane, że wracają do stajni, i wóz wtoczył się na ogromny dziedzińiec.

Służebnicy nadbiegli i rzucili się ku łbom końskim i pyskom okrytym pianą.

Tahoser powiodła dokoła wylękłym wzrokiem; wysokie mury z cegły tworzyły dokoła kwadrat, w obrębie którego wznosił się na wschodzie pałac, na zachodzie świątynia między dwiema dużymi sadzawkami świętych krokodyłów. Pierwsze promienie słońca, którego tarcza wyłaniała się już z poza łańcucha arabskiego, rzucały różowy blask na szczyty budowli, które tonęły jeszcze w błękitnawem cieniu. Żadnej nadziei ucieczki; architektura dokoła, jakkolwiek nie miała bynajmniej cechy posępnej, była jednak wyrazem woli niezłomnej, siły niepokonanej, trwałości wiecznej; jedynie kataklizm kosmiczny mógł być otworzyć wyjście z tych niezdobytch murów, poprzez te kamienne budowle. Żeby obalić te pylony, utworzone z gór skalistych, musiałaby ziemia zachwiać się w posadach; ogień nawet lizałby tylko płomienistym językiem głazy niezniszczalne.

Biedna Tahoser nie mogła rozporządzać temi gwątownemi środkami. Faraon zatem, zeskoczywszy z wozu, uniósł ją ze sobą, jak dziecko.

Cztery wysokie kolumny o kapitelach palmowych tworzyły propylee pałacu, do którego wkroczył król, trzymając ciągle w objęciach córkę Petamunofa.

Gdy minął wrota, postawił ostrożnie ciężar swój na ziemi, a widząc, że Tahoser się chwieje, rzekł:

— Nie bój się; ty panujesz nad Faraonem, a Faraon panuje nad światem.

Takie były pierwsze słowa, z którymi się do niej zwrócił.

Gdyby miłość postępowała zgodnie z rozsądkiem, niewątpliwie Tahoser powinna była przenieść Faraona nad Poeriego. Król obdarzony był urodą nadludzką; rysy jego wielkie, czyste, regularne, wydały się dziełem dłuta; nikt nie zdołałby dostrzedz w nich najłżejszego uchybienia. Przyzwyczajenie do władzy rozniecilo w oczach jego ten blask przejmujący, po którym poznać można bogów i królów. Usta, których jedno słowo mogło zmienić postać świata i los narodów, jaśniały purpurą, niby świeża krew na ostrzu miecza, gdy zaś uśmiechał się miały ów wdzięk potężny a straszny, któremu nic się nie oprze. Wysoka postać, kształtna i wyniosła, posiadała szlachetność linii, którą podziwiamy u posągów w świątyniach; a gdy ukazywał się, uroczysty i promieniący, okryty złotem i drogiemi kamieniami wśród bękitnawego dymu amszirów, zdawało się, że nie należy do tej wątłej rasy, która, pokolenie po pokoleniu, spada, jak liście, i gaśnie, przesycona żywicą, w mrocznych głębiach grobowych.

Czemże był przy tym pół-bogu wątyl Poeri? A jednak Tahoser kochała go. Mędrcy oddawna już zrzekli się wyjaśnienia zagadek serca kobiecego; znają astronomję, astrologję, arytmetykę; wiedzą jaka była pierwiastkowa forma wszechświata

i mogą powiedzieć gdzie znajdowały się planety w chwili stworzenia świata. Są pewni, że wówczas księżyc znajdował się w znaku Raka, słońce w znaku Lwa, Merkury — Panny, Wenus — Koziorożca; kreślą na papyrusie albo na granicie biegu oceanu nieba, który płynie ze wschodu na zachód, i zliczyli gwiazdy, rozsiane na błękitnej szacie bogini Neith; każą wędrować słońcu na półkulę wyższą i na półkulę niższą, wraz z dwunastoma czółnami nocnymi; wiedzą, że w ostatniej połowie miesiąca Tobi, Orion wpływa na lewe ucho a Syrius na serce; ale nie wiedzą zupełnie dlaczego kobieta woli jednego mężczyznę od drugiego, dlaczego przenosi nędznego Izraelitę nad sławnego Faraona.

Przeszedłszy przez kilka sal z Tahoser, którą prowadził za rękę, król usiadł na krześle w kształcie tronu, w komnacie wspaniale ozdobionej.

Na błękitnym suficie iskrzyły się gwiazdy złociste, a o słupy, podtrzymujące gzems, opierały się posągi królów w pszencie na głowie, z nogami wkućtemi w cokół, ze skrzyżowanemi rękami, z przerażającą uporczywością patrząc w komnatę oczami, okolonemi czarną kreską.

Między słupami paliły się lampy na podstawach, na ścianach zaś wyobrażony był korowód etnograficzny. Widniały tam w odrębnych strojach charakterystyczne postacie narodów czterech części świata.

Na czele gromady, pod wodzą Horusa, pasterza ludów, kroczył typowy, rodowity Egipcjanin, o obliczu łagodnem, nos miał zlekka orli, włosy splecione w warkoczynki, cerę barwy ciemno-czerwonej, odcina-

jącej się na tle białej chusty. Następnie szedł Murzyn, czyli Nahasi, z czarną skórą, nabrzmiałymi wargami, wystającymi policzkami i kędzierzawym włosiem; potem Azjata, czyli Namu, o żółtej barwie skóry, o nosie wybitnie orlim, z gęstą czarną brodą, ściętą w klin, odziany w pstrą spódnicę, z frendzlami, dalej postępował Europejczyk, czyli Tambu, najdzikszymi ze wszystkich, różniący się od innych białą cerą, niebieskimi oczami, rudymi włosami i brodą, na ramieniu miał zarzuconą surową skórę wołową a na rękach i na nogach był tatuowany.

Nadto zdobiły też ściany sceny wojen i odniesionych zwycięstw, których znaczenie objaśniały napisy hieroglifowe.

W środku komnaty, na stole, opartym na ramionach jeńców, związanych za łokcie, a tak po mistrzowsku wyrzeźbionych, że wydawało się, iż są żywi i cierpią, jaśniał olbrzymi snop kwiatów, których słodka woń przesycała atmosferę.

Tak więc w tej, pełnej przepychu, komnacie, otoczonej wyobrażeniami przodków Faraona, wszystko mówiło o jego potędze i śpiewało jego chwałę. Narodziła się kroczyły poza Egiptem i uznawały jego zwierzchność, on zaś Egiptem rządził; wszelako córka Peta nunofa nie była bynajmniej tych przepychem olśniona, myślała o pawilonie Poeriego, a zwłaszcza o nędznej lepiance z mułu i słomy w dzielnicy Hebrajczyków, gdzie pozostawiła Rachelą śpiącą, Rachelę teraz szczęśliwą i jedyną małżonkę młodego Izraelity.

Faraon trzymał za czubki palców stojącą przed nim Tahoser i utkwiał w niej oczy sokole, których powieki nigdy nie drgały; młoda dziewczyna miała na sobie za całą odzież draperję, którą Rachela zastąpiła jej szatę, przemoczoną podczas przepływania Nilu; ale uroda jej nic na tem nie straciła — Tahoser stała, nawpół obnażona, powstrzymując ręką ordynarną chustę, która się osuwała i cały jej przedziwny tors ukazywał się w swej złotawej białości. Gdy ukazywała się strojna, można było żałować, że tyle miejsca zajmują naszyjniki, bransolety, pasy złote lub z kolorowych kamienie, ale widok jej, pozbawionej wszelkiej ozdoby, przejmował podziwem bez granic.

W gynezeum Faraona bywały wprawdzie liczne kobiety niezwyklej piękności, ale żadna nie mogła się równać z Tahoser, a żrenice króla ciskały takie płomienne błyskawice, że była zmuszona spuścić oczy, nie mogąc wytrzymać ich ognia.

W głębi serca Tahoser była dumna z tego, że wzbudziła miłość w Faraonie, albowiem czy istnieje kobieta, choćby najdoskonalsza, która nie byłaby próżna? Wszelako wołałaby pójść na pustynię wraz z młodym Hebrajczykiem. Król ją przerażał, olśniewała ją jego wyniosła postać i nogi ugiwały się pod nią z trwogi. Faraon, widząc jej zmieszanie, posadził ją u stóp swoich na czerwonej haftowanej poduszce.

— O Tahoser, — rzekł, składając pocałunek na jej włosach, — ja cię kocham. Skoro cię ujrzałem z wysokości mego tryumfalnego palankinu, niesionego ponad głowami ludzi przez oerisów, nieznanne uczucie wstąpiło w moją duszę. Ja, którego życzenia są

uprzedzane, zapragnąłem czegoś; zrozumiałem, że nie jestem wszystkim. Dotychczas żyłem samotny w swej wszechwładzy, w głębi olbrzymich pałaców, otoczony uśmiechniętymi cieniami, które się mieniły żonami mojemu i nie wywierały na mnie większego wrażenia, niż malowane postacie na freskach. Słyszałem zdala szemranie i nieuchwytnie skargi przedstawicieli narodów, o których głowy ocierałem sandały lub podnosiłem ich za włosy, jak mnie wyobrażają płaskorzeźby symboliczne na pylonach, a w mojej piersi, zimnej i twardej, jak pierś bóstwa bazaltowego, nie słyszałem bicia swego serca. Zdawało mi się, że niema na ziemi istoty do mnie podobnej, i takiej, która mogłaby mnie wzruszyć; napróżno przywoziłem z wypraw na obce narody wybrane dziewice i kobiety, słynne z urody w ojczyźnie; porzucałem je, jak kwiaty, upoiwszy się przez chwilę ich wonią. Żadna nie obudziła we mnie chęci ujrzenia jej powtórnie. Gdy były obecne, zaledwie patrzyłem na nie; skoro się oddaliły, wnet o nich zapomniałem. Twea, Taja, Amense, Hont-Resze, zatrzymane przezemnie dlatego, że obrzydło mi szukanie innych, które nazajutrz stałyby mi się równie jak one obojętne, były w moich objęciach zawsze tylko czczeni widmami, kształtami, namaszczone wonnościami i pełnymi wdzięku, istotami innej rasy, z którymi moja natura nie mogła się skojarzyć, jak nie zdoła złączyć się lampart z gazelą, mieszkaniec powietrza z mieszkańcem wód; i mniemałem, że, postawiony przez bogów po za i ponad śmiertelnikami nie miałem dzielić ani bólów ich, ani

ich radości. Bezbrzeżna nuda, podobna do tej, jaką odczuwają spowite w bandaż mumje, czekając w trumnach w głębi grobowców aż dusza ukończy krąg wędrówek, ogarnęła mnie na tronie, gdzie często siedziałem z dłońmi, na kolanach złożonymi, jak kolos granitowy, myśląc o niemożliwościach, o nieskończoności, o nieśmiertelności. Wielokrotnie chciałem już podnieść zasłonę Izydy, narażając się, że padnę, rażony piorunem, u stóp bogini. „Może“, mówiłem sobie, „to oblicze tajemnicze jest twarzą, o której marzę, tą, która ma mnie natchnąć miłością. Jeżeli ziemia odmawia mi szczęścia, wtargnę do nieba...“ Ale spostrzegłem ciebie i doznałem uczucia osobliwego i nowego; zrozumiałem, że istnieje po za mną istota wszechwładna, bez której nie zdołam się obejść, a która posiada moc unieszczęśliwienia mnie. Byłem królem, bogiem niemal; a ty, o Tahoser! uczyniłaś ze mnie człowieka!

Nigdy może Faraon nie wygłosił takiej długiej przemowy. Zazwyczaj jedno słowo, ruch jeden, jedno mrugnięcie powiek wystarczyło mu do objawienia swojej woli, w lot odgadywanej przez tysiące śledzących go zaniepokojonych spojrzeń. Wykonanie dążyło za jego myślą, jak grom za błyskawicą. Dla Tahoser wyrzekła się swego granitowego majestatu; mówił, tłómaczył się, jak zwykły śmiertelnik.

Szczególne wzruszenie ogarnęło Tahoser. Jakkolwiek zbudzenie miłości w ulubieńcu Phre, w wybrańcu Ammona-Ra, w pogromcy narodów, w istocie przerażającej, uroczystej i wspaniałej, ku której załedwie śmiała podnieść wzrok, było nie obojętnym bynaj-

mniej dla niej zaszczytem, niemniej nie czuła dlań najłżejszej sympatji i myśl należenia do tego władcy, przejmowała ją pełną zgrozy, odrazą. Temu Faraonowi, który porwał jej ciało, nie mogła oddać duszy, pozostałej przy Poerim i Racheli, a ponieważ król widocznie czekał na odpowiedź, rzekła:

— Czem się to dzieje, o królu, że wzrok twój wybrał z pośród wszystkich dziewcząt Egiptu mnie właśnie, którą tyle innych przewyższa urodą, talentami i różnorodnymi wdziękami? Jak się to stało, że między kępami białych, niebieskich i różowych lotosów o rozkwitłej koronie, o słodkiej woni, wybrałaś skromne, niczem nie odznaczające się źdźbło trawy?

— Nie wiem; ale wiedz, że ty jedna istniejesz dla mnie na świecie i że uczynię córki królewskie twojemi służebnicami.

— A gdybym ja ciebie nie kochała? — spytała nieśmiało Tahoser.

— Co mnie to obchodzi, jeżeli ja ciebie kocham— odparł Faraon; — czyż najpiękniejsze kobiety na świecie nie kładły się przed moim progiem, z płaczem i jękiem, wpijając paznokcie w lica, raniąc łono i wrywając włosy, i nie umierały, błagając o jedno miłosne spojrzenie, które nie padło na nie? Cudza namiętność nie przyśpieszyła nigdy bicia tego śpiżowego serca w tej marmurowej piersi; stawiaj mi opór, pałaj ku mnie nienawiścią a staniesz się jeszcze stokrakrotnie ponętniejsza; po raz pierwszy woła moja napotka przeszkodę i będę umiał ją zwalczyć.

— A gdybym kochała innego? — ciągnęła dalej Tahoser, ośmielona.

Na to przypuszczenie zmarszczyły się brwi Faraona; zagryzł gwałtownie wargę dolną, gdzie zęby zostawiły białe ślady, i ścisnął boleśnie palce młodej dziewczyny, które zatrzymał w swej dłoni; poczem uspokoił się i rzekł głosem wolnym i głębokim:

— Gdy pożyjesz czas jakiś w tym pałacu, wśród przepychu, otoczona atmosferą mojej miłości, zapomnisz o wszystkim, jak zapomina ten, kto się napije nepentesu. Twoje minione życie snem ci się wyda; twe dawne uczucia ulotnią się, jak kadzidło na węglach trybularza, kobieta kochana przez króla, nie pamięta już o ludziach. Rozgość się tutaj, przyzwyczaj się do bogactw faraonowych, czerp nawet z moich skarbów, niechaj złoto płynie z rąk twoich strumieniem, zbieraj sobie drogie kamienie, twórz, niszc, poniżaj, wznos, bądź moją kochanką, moją żoną i królową. Daję ci Egipt wraz z jego kapłanami, jego armją, robotnikami, niezliczoną ludnością, pałacami, świątyniami, miastami; wyniszcz go, według upodobania; dam ci inne królestwa, większe, piękniejsze, bogatsze. Jeśli świat ci nie wystarczy, zdobędę planety, zdetronizuję bogów. Ty bowiem jesteś tą, którą kocham. Tahoser, córka Petamunofa, już nie istnieje.

XIV.

Rachela, przebudziwszy się, zdumiona, że nie widzi obok siebie Tahoser, powiodła wzrokiem dokoła, mniemając, że Egipcjanka już wstała. Skulona w kącie Tamara, skrzyżowawszy ręce na kolanach, złożyła głowę na tej kościstej poduszce i spała, a raczej udawała, że śpi, albowiem po przez rozwichrzone kos-

myki siwych włosów, które spadały aż na ziemię, wi-
dać było jej źrenice wyblakłe jak źrenice sowy,
iskrzące się złośliwą radością i zadowoleniem.

— Tamaro, — zawołała Rachel, — co się stało
z Tahoser?

Stara, jakgdyby obudziła się nagle na dźwięk gło-
su swojej pani, rozprostowała powoli członki pajęcze,
wstała, przetarła kilkakrotnie poczerwiałe powieki
odwrotną stroną dłoni, suchszej niż dłoń mumji, i rze-
kła z doskonale udanem zdziwieniem:

— A czy to jej już niema?

— Nie, — odparła Rachel — i, gdybym nie widzia-
ła wgłębienia w łóżku i wiszącej na kołku szaty, któ-
rą zdjęła, mniemałabym, że dziwaczne zdarzenia tej
nocy były tylko sennemi widziadłami.

Jakkolwiek Tamara doskonale wiedziała co my-
śleć o zniknięciu Tahoser, niemniej uchyliła rąbek
zasłony, zawieszanej w rogu pokoju, jakgdyby przy-
puszczała, że Egipcjanka tam ukryć się mogła; otwo-
rzyła drzwi chaty i, stojąc w progu, wodziła do koła
wzrokiem poczem, powróciwszy do wnętrza, znakiem
przeczącym zawiadomiła panią swoją o wyniku po-
szukiwania.

— To osobliwe, — rzekła Rachel zadumana.

— Pani moja — odezwała się z przymileniem sta-
ra do pięknej Izraelitki, — wiesz że ta obca nie spodo-
bała mi się.

— L'obie nikt się nie podoba, — odparła Rachel
z uśmiechem.

— Oprócz ciebie, pani — rzekła stara, podnosząc
do ust dłoń młodej kobiety.

— O, wiem, że jesteś mi oddana.

— Nie miałam nigdy dzieci i niekiedy wyobrażam sobie, że jestem swoją matką.

— Poczciwa Tamara! — rzekła Rachela rozczulona.

— Czy nie miałam słuszności, — ciągnęła dalej stara, — uważając, że zjawienie się jej tutaj jest dziwne? wyjaśnia je to zniknięcie. Mieniła się Tahoser, córką Petamunofa, tymczasem był to tylko zły duch, który przybrał tę postać, żeby uwodzić i kusić syna Izraela. Widziałaś jak się zmieszała, gdy Poeri mówił przeciw bożkom z drzewa, kamienia i metalu, i jak trudno jej było wymówić wyrazy: „Postaram się uwierzyć w twego Boga“. Zdawało się, że te wyrazy palą jej usta jak węgiel.

— Łzy, które padały na moje łono, były to łzy prawdziwe, łzy kobiece, — zauważyła Rachela.

— I krokodyłe płaczą, gdy zechcą, a hjeny śmieją się, żeby przynęcić ofiarę — ciągnęła dalej stara; — złe duchy, które się snują wśród głązów i ruin, świadome są najrozmaitszych podstępów i potrafią przybrać każdą postać.

— A więc, według ciebie, ta biedna Tahoser była tylko widmem, w które piekło tchnęło życie?

— Niewątpliwie, — odparła Tamara; — czy to prawdopodobne, żeby córka wielkiego kapłana Petamunofa zakochała się w Poerim i wolała jego niż Faraona, o którym mówią, że jest w niej zakochany?

Rachela, dla której nikt na świecie nie mógł nawet się równać z Poerim, nie uważała, żeby to było takie nieprawdopodobne.

— Jeżeli go kocha tak bardzo, jak mówiła, dlaczego uciekła, kiedy za twojem zezwoleniem, postanowił pojąć ją za drugą żonę? To warunek, domagający się, żeby się wyrzekła fałszywych bogów i czciła Jehowę, zniewolił do ucieczki tego przebranego diabła.

— W każdym razie,—rzekła Rachelą, — ten szatan miał głos bardzo słodki a oczy bardzo tklive.

W głębi duszy Rachelą nie była może niezadowolona ze zniknięcia Tahoser. Zachowała dla siebie w całości serce, którego połowę gotowa była ustąpić i pozostała jej chwała poświęcenia.

Pod pozorem zakupów żywności Tamara wyszła i skierowała się ku pałacowi króla, chciwość jej bowiem nie zapomniała jego obietnicy; zaopatrzyła się w wielki wór z szarego płótna, by go napełnić złotem.

Gdy stanęła przed wrotami pałacu, żołnierze już jej nie bili, jak za pierwszym razem; była już znana i sprawujący straż oeris wpuścił ją niezwłocznie, Timoft zaś zaprowadził ją do Faraona.

Ujrzawszy ohydny wiedźmę, która pełzała do jego tronu, jak owad, nawpół zdeptany, król przypomniał sobie daną obietnicę i rozkazał otworzyć jedną z komnat granitowych, wpuścić do niej żydówkę i pozwolić, aby wzięła sobie tyle złota, ile zdoła unieść.

Timoft, do którego Faraon miał zaufanie i który znał tajemnicę zamka, otworzył drzwi kamienne.

Olbrzymi stos złota rozbłysnął w promieniach słońca; ale błysk metalu nie był bardziej iskrzący niż wzrok starej; źrenice jej pożółkły i rozgorzały dziwnie. Po kilku minutach olśnienia, Tamara zaka-

sała rękawy połatanej tuniki, obnażyła suche, pokryte na zgięciu łokcia niezliczonemi zmarszczkami ręce, których mięśnie zaznaczały się, jak postronki, poczem otworzyła i zamknęła zakrzywione palce, podobne do szponów sępa i, z dziką, zwierzęcą chciwością rzuciła się na stos złotych siklów.

Zanurzała się w złocie po ramiona, przekładała sztaby szlachetnego metalu, przesypywała i podrzucała monety; usta jej drżały, nozdrza rozdymały się, a po grzbiecie przebiegały drgawki nerwowe. Upojona, oszalała, wstrząsana dreszczami i śmiechem spazmatycznym, wrzucała garściami złoto do worka, powtarzając: — Jeszcze! jeszcze! jeszcze! — to też niebawem zapełnił się po brzegi.

Timoft, ubawiony tem widowiskiem, nie przeszkadzał jej, nie wyobrażając sobie, żeby to kościste widmo mogło unieść taki wielki ciężar, ale Tamara związała sznurem końce worka i, ku niemałemu zdziwieniu Egipcjanina, zarzuciła na plecy. Skąpstwo dodawało temu szkieletowi w łachmanach niepojętych sił: wszystkie mięśnie, wszystkie nerwy, wszystkie ścięgna ramion, szyi, rąk, wyprężone, tak, że groziły zerwaniem, dźwigały masę metalu, pod którą ugiąłby się najsilniejszy posługacz z rasy Nahasi. Z czołem pochylonem, jak wół, gdy lemiesz pługa natrafi na kamień, wyszła Tamara chwiejnym krokiem z pałacu, zataczając się od muru do muru, idąc niemal na czworakach, często bowiem dotykała rękoma ziemi, by jej ciężar nie zmiażdżył; ale w końcu wydostała się i ładunek złota był jej prawowitą własnością.

Zadyszana, wyczerpana, obłana potem, z obola-

łemi plecami, z pociętymi palcami usiadła u wrót pałacu na błogosławionym worku i nigdy siedzenie nie wydało jej się wygodniejsze.

Po pewnym czasie spostrzegła dwóch Izraelitów, idących z noszami; wezwała ich i, przyrzekłszy dobrą zapłatę, zniewoliła do zanieśienia za nią worka.

Dwaj Izraelici, poprzedzani przez Tamarę, weszli w ulice Teb, dotarli do obszarów niezabudowanych i złożyli worek w jednej z lepianek, które tu były rozsiane. Tamara, jakkolwiek niechętnie, wypłaciła im przyręczone wynagrodzenie.

Tymczasem Tahoser umieszczona została w apartamencie wspaniałym, królewskim, równie pięknym jak apartament Faraona. Smukłe kolumny o kapitelach w kształcie lotosu podtrzymywały sufit, zasiany gwiazdami, a okolony gzemsem w niebieskie palmy, malowane na tle złotem; zielone prążki, zakończone pączkami kwiatowemi, przecinały symetrycznie ściany, koloru jasno-lila. Cienka mata pokrywała posadzkę; kanapy, inkrustowane płytkami metalowemi i emalją na przemian, a pokryte materją czarną w czerwone koła; fotele o lwich nogach, z poduszkami na oparciu; stołki, utworzone ze splecionych szyi łabędzich, lub z kwadratów z purpurowej skóry wypchanych trawą morską, krzesła, na których można było siedzieć we dwoje, stoły z cennego drzewa, podtrzymywane przez posągi jeńców azjatyckich stanowiły umeblowanie.

Na cokółkach, bogato rzeźbionych, spoczywały wielkie wazony i czary złote, bajecznej wartości, których robota cenniejsza była od materiału, z jakiego

zostały wykonane. Jeden z tych wazonów, zwężony u podstawy, spoczywał na dwóch łbach końskich, opuszczonych w bogatym zaprzęgu. Łodygi lotosu, opadające z wdziękiem nad rozetami tworzyły z dwóch stron ucho, a na bokach, wśród łodyg papyrusowych, biegły ścigane gazy.

Przykrywkę innego wazonu, niemniej ciekawego, stanowiła potworna głowa Tyfona, ustrojona w palmy wykrzywająca się między dwiema żmijami; boki ozdobione były liśćmi i pręgami zygzakowatymi.

Jedna z czar, którą unosiły dwie postacie w szatach o szerokich szlakach, zdumiewała ogromnymi rozmiarami, wartością i artyzmem ozdób.

Druga, skromniejsza, i klasyczniejszego może kształtu, rozchyłała się estetycznie, a szakale, kładąc łapy na jej brzegu, jakby z niej pić pragnęły, smukłym i giętkim tułowiem tworzyły z każdej strony ucho przepięknego naczynia.

Zwierciadła metalowe okolone niekształtnymi twarzami, jakgdyby dla sprawienia przyjemności urodzie, która przyglądała się w nich własnemu odbiciu, skrzynie z drzewa cedrowego lub sykomorowego, ozdobione ornamentami i malowane, szkatułki z gliny emalowanej, kruże alabastrowe, onyksowe i szklane, pudełka z wonnościami świadczyły o hojności Faraona względem Tahoser.

Kosztownościami, jakie zawierała ta komnata, można było zapłacić okup za całe królestwo.

Siedząc na fotelu z kości słoniowej, Tahoser przypatrywała się materjom i klejnotom, które pokazy-

wały jej młode nagie dziewczęta, czerpiąc skarby zawarte w skrzyniach.

Tahoser wyszła przed chwilą z kąpieli, a wonne oleje, jakimi ją służebnice namaściły, spotęgowały jeszcze miękkość i giętkość ciała. Skóra jej nabrała przezroczywości agatu, zdawało się, że blask ją prześwieca; nadludzka stała się jej uroda; to też, gdy utkwiała antymonem ożywione oczy w połyskującym metalu zwierciadła, uśmiechnęła się mimowoli do własnego obrazu.

Szeroka szata gazowa otulała jej urocze ciało, nie zakrywając go jednak, a całą jej ozdobę stanowił naszyjnik z serc z lapis-lazuli, zawieszonych na sznurku złotych pereł.

W progu sali ukazał się Faraon; złota żmija okalała jego bujne włosy a kalaziris, fałdowana z przodu w klin, okrywała postać od pasa do kolan. Jeden tylko łańcuch okalał jego szyję o mięśniach niezwykłych.

Spostrzegłszy króla, Tahoser wstała i pochyliła się, chcąc złożyć pokłon; ale Faraon zbliżył się do niej, podniósł ją i posadził.

— Nie upokarzaj się w ten sposób, Tahoser, — rzekł do niej łagodnie; — chcę, żebyś była moją równą; przykrzy mi się to odosobnienie na świecie; jakkolwiek jestem wszechpotężny i mam ciebie w swojej mocy, niemniej zaczekam, żebyś mnie pokochała tak, jakgdybym był tylko człowiekiem. Zaniechaj wszelkiej obawy, bądź kobietą z jej wolą, sympatjami, kapryсами, ja nigdy takich kobiet nie widziałem; a jeżeli w końcu serce twoje przemówi za mną, po-

daj mi na znak, że tak się stało, kwiat lotosu, zdo-
biący twe włosy.

Pomimo, że chciał ją powstrzymać, Tahoser pa-
dła do kolan Faraona i łza jej spłynęła na jego bosc
stopy.

„Dlaczego dusza moja została przy Poerim“, py-
tała siebie, siadając znów w fotelu z kości słoniowej.

Do komnaty wszedł Timoft, dotykając jedną dło-
nią ziemi, a drugą kładąc na głowie.

— Królu, — rzekł, — tajemniczy człowiek chce
się z tobą widzieć. Wielka broda spada mu aż za pas;
lśniące rogi wystają mu na czole, a oczy jego goreją,
jak płomienie. Poprzedza go jakaś moc nieznaną, bo
wszystkie straże się rozstępują a wszystkie drzwi
otwierają się przed nim. Cokolwiek powie, uczynić
trzeba, więc przyszedłem do ciebie, zakłócić twoje roz-
rywki, choćby mnie za moje zuchwalstwo śmierć
spotkać miała.

— Jakże on się zwie? — spytał król.

A Timoft odpowiedział:

— Mosze.

XV.

Król przeszedł do innej sali, by przyjąć Moszego
i zasiadł na tronie, którego poręczce miały kształt
lwów; otoczył szyję szerokim pektorałem, wziął w rękę
berło i przybrał postawę wyniosłej obojętności.

Ukazał się Mosze — towarzyszył mu inny He-
brajczyk, imieniem Aharon. Jakkolwiek dostojny był
Faraon na złotym tronie, w otoczeniu oerisów i wa-
chlarzowników w wysokiej sali o ogromnych kolum-
nach, na tle małowideł, wyobrażających wielkie czyny

jego przodków lub jego własne, Mosze był nie mniej imponujący; majestat wieku równoważył u niego majestat królewski; mimo że miał lat osiemdziesiąt, wydawał się w pełni siły męskiej i nic w nim nie ujawniało zgrzybiałej starości. Zmarszczki, przecinające jego czoło i lica, niby ślady dłuta na granicie, sprawiały, że stał się czcigodny, nie zaznaczały zaś bynajmniej jego wieku; szyja, brunatna i pomarszczona, mięśniami wychudłymi ale jeszcze potężnymi, łączyła się z silnymi ramionami, a siatka twardych żył wiła się na jego dłoniach, którym obce było starcze drżenie. Dusza, silniejsza od duszy ludzkiej, ożywiała jego ciało, twarz jaśniała nawet w cieniu szczególnym blaskiem. Rzekłbyś odbicie niewidzialnego słońca.

Nie składając pokłonu, wymaganego przez zwyczaj od każdego, kto stawał przed obliczem króla, Mosze zbliżył się do tronu Faraona i rzekł:

— Tak mówił Wiekuisty, Bóg Izraela: Uwolnij lud mój, aby mi obchodzili święto w puszczy.

Faraon odrzekł: — Któż jest ów Wiekuisty, bym usłuchał głosu jego i uwolnił Izraela? Nie znam Wiekuistego i również Izraela nie uwolnię.

Nie onieśmielony bynajmniej słowami króla, wielki starzec powtórzył dobitnie, albowiem dawne jąkanie się, jakim był dotknięty, znikło:

— Bóg Hebrejów objawił się nam. Dozwól, iż pojedziemy w drogę trzech dni do puszczy i ofiarować będziemy Wiekuistemu Bogu swojemu, aby nas nie nawiedził morem lub mieczem.

Aharon skinieniem głowy potwierdził żądanie Mo-
szego.

— Dlaczego odrywacie lud od zatrudnień jego?—
spytał Faraon. — Idźcie do robocizny waszej. Na
szczęście dla was jestem dzisiaj w usposobieniu łaskawem, bo mógłbym was schłostać różgami, obciąć
nos i uszy i rzucić żywcem krokodylom. Wiedźcie,
że niema innego boga, niż Ammom-Ra, istota naj-
wyższa i pierwiastkowa, mężczyzna i kobieta zara-
zem; jest on własnym swoim ojcem i własną matką,
również jej małżonkiem; od niego też pochodzą in-
ni bogowie, którzy łączą niebo z ziemią i są tylko od-
miennymi postaciami tych dwóch pierwiastków za-
sadniczych; znają go mędracy i kapłani, którzy długo
badali tajemnice w kolegjach i w głębi świątyń, po-
święconych jego różnorodnym wizerunkom. Nie przy-
taczajcie więc innego boga waszego pomysłu, żeby
zniewolić Hebrejów do buntu i przeszkodzić im w wy-
konaniu pracy nakazanej. Mówicie o ofiarowaniu; to
wymówka aż nadto przejrzysta; chcecie uciec; od-
dalcie się z przed mego oblicza i wyrabiajcie w dal-
szym ciągu cegły do moich budowli królewskich i ka-
płańskich, do moich piramid, moich pałaców i murów.
Odejdźcie; tak rzekłem.

Mosze, widząc, że nie może wzruszyć Faraona,
i że, jeśli będzie nalegał, wznieci w nim gniew, od-
dalił się w milczeniu, a za nim strwożony Aharon.

— Usłuchałem rozkazów Wiekuistego — rzekł
Mosze do towarzysza, gdy przekroczyli pylon; — ale
Faraon pozostał nieczuły, zupełnie tak, jakgdybym
przemawiał do postaci granitowych, siedzących na tro-

nach u wrót pałacowych, lub do bożków o głowie psa, mały czy krogulca, okadzanych wonnościami przez kapłanów w głębi sanktuarjów. Co odpowiemy ludowi, gdy nas zapyta o wynik naszego posłannictwa?

Faraon, w obawie, żeby Hebreje nie powzięli myśli zrzucenia jarzma, za namową Moszego, kazał im pracować cięższej jeszcze i odmówił słomy do wyrobu cegieł. To też rozproszyli się synowie Izraela po całym Egipcie dla zbierania ścierni na słomę i przeklinali poborców, bo czuli się bardzo nieszczęśliwi i biadali, że rady Moszego podwoiły ich nędzę.

Pewnego dnia Mosze i Aharon zjawili się ponownie w pałacu i raz jeszcze wezwali króla, żeby uwolnił Hebrejów, aby ofiarowali w puszczy Wiekuistemu.

— Kto mi dowiedzie,—odparł Faraon,—że istotnie Wiekuisty przysłała was do mnie, żeby mi to powiedzieć i że nie jesteście, jak przypuszczam, nikczemnymi szalbierzami?

Aharon rzucił przed króla laskę swoją i zaczęła się skręcać, wyginać, pokrywać łuską, poruszać łbem i ogonem, powstawać i syczeć przeraźliwie. Laska przemieniła się w węża. Szeleścił pierścieniami swymi na płytach kamiennych, nadymał szyję, wysuwał rozdwojony język i przewracał czerwonymi oczami, jakby szukał ofiary, którą zamierzał ukąsić.

Oficerowie i służebnicy, stojący dokoła tronu, skamienieli z przerażenia na widok tego cudu. Najodważniejsi wysunęli do połowy miecze z pochwy.

Ale Faraon nie wzruszył się tem bynajmniej; pogardliwy uśmiech przemknął się po jego ustach.

— Oto, co uczynić potraficie. Cud jest błahy a czary pospolite. Niechaj przyjdą moi mędracy, moi czarnoksiężnicy i moi hieroglifiści.

I przybyli mężowie o wyglądzie imponującym i tajemniczym; głowę mieli wygoloną, ubrani byli w długie lniane szaty a w ręku trzymali laski, pokryte hieroglifami; cera ich była żółta i wysuszeni byli, jak mumje, skutkiem czuwania, badań i surowości obyczajów; wyczerpanie stopniowego wtajemniczenia się w zagadki bytu małowowało się na ich twarzach, w których oczy tylko wydawały się żywe.

Stanęli szeregiem przed tronem Faraona, nie zwracając uwagi na węża, który miotał się, pęzał i syczał.

— Czy możecie, — odezwał się król — przemienić laski swoje w gady, jak to uczynił Aharon?

— O królu! czyż to dla tej dziecinnej zabawki, — rzekł najstarszy z gromady, — kazałeś nas wezwać z głębi komnat tajnych, gdzie pod sufitem, gwiazdami zasianym, przy blasku lamp, marzymy pochyleni nad niezrozumiałymi papyrusami, klęcząc przed hieroglificznymi stelami, i wrywamy tajemnice naturze, obliczamy siłę liczb, podnosząc drżącą rękę do skraju zasłony wielkiej Izydy? Pozwól nam wrócić, albowiem życie jest krótkie i mędracy zaledwie mają czas rzucić sobie wzajemnie słowo, jakie uchwycą; pozwól nam wrócić do prac naszych; pierwszy lepszy kuglarz, czarownik węzów, wygrywający na fletni, na placach publicznych, wystarczy by cię zadowolić.

— Ennana, czyń jako sobie życzę, — rzekł Faraon do głowy hieroglifistów i czarodziejów.

Stary Ennana zwrócił się do grona mędrców, którzy stali bez ruchu, tonąc już w głębiach rozmyślań.

— Rzućcie laski na ziemię, wymawiając po cichu wyraz zaklęcia.

Laski z głuchym łoskotem padły razem na płyty kamienne, a mędrcy stanęli znów wyprostowani, podobni do bogów, opartych o kolumny, tacy zaś byli pewni potęgi swego zaklęcia, że nie raczyli nawet spojrzeć, czy cud spełniał się u ich stóp.

I nastąpiło widowisko osobliwe a przerażające: laski skręcały się, jak świeże gałęzie na ogniu, końce ich zamieniały się na łby i ogony; jedne pozostały gładkie, inne pokryły się łuską, stosownie do gatunku węża. A wszystko to szeleściło, pełzało, syczało, zwiąjało się i kłębiło ohydnie. Były tam żmije ze znakiem grotu na zmiążdżonym łbie, inne z groźnymi rogami, były lepkie zielonawe hydry, padalce o ruchomych żądlach, grzechotniki o krótkiej paszczy, dzwoniące kostkami ogona, dwugłowe węże, pełzające naprzód i wtył; boa, otwierające wielką paszczę, zdolne pochłonać Apisa; węże o ślepiach okolonych obwódka, jak ślepie sowy — cała posadzka sali roiała się od gadów.

Tahoser, siedząc wraz z Faraonem na tronie, blada z przerażenia, wsunęła pod siebie piękne bosc stopy.

— I cóż, — zwrócił się Faraon do Moszego, — widzisz, że wiedza moich hieroglifistów dorównywa

twojej a może ją nawet przewyższa: z ich lasek powstały węże, podobnie jak z laski Aharona. Wymyśl inny cud, jeżeli chcesz mnie przekonać.

Mosze wyciągnął rękę i wąż Aharona rzucił się na gady. Walka nie była długa; połknął niebawem ohydne płazy, istotne czy też pozorne twory mędrców Egiptu, poczem przybrał ponownie postać laski.

Wobec tego wyniku zdumiał się Ennana. Pochylił głowę, zamyślił się i rzekł:

— Odnajdę znak i słowa zaklęcia. Źle wytłomaczyłem czwarty hieroglif piątego wiersza prostopadłego, w którym znajduje się zaklinanie węzów... O królu! czy jesteśmy ci jeszcze potrzebni? Pilno mi wracać do czytania Hermesa Trismegistesza, który kryje jeszcze inne tajemnice niż te sztuczki kuglarskie.

Faraon dał znak starcowi, że może się oddalić i milczący orszak powrócił w głąb pałacu.

Król udał się z Tahoser do gyneceum. Córka kapłana, drżąca jeszcze i przerażona cudami, uklękła przed nim i rzekła:

— O Faraonie, nie boisz-że się rozgniewać oporem swoim owego nieznanego boga, któremu Izraelici chcą przez trzy dni ofiarować w puszczy? Uwolnij Moszego i jego Hebrejów, aby spełnili swoje obządki, bo może Wiekuisty, jak go nazywają, doświadczy ziemię Egiptu i ześle na nas śmierć.

— Co! te kuglarskie sztuki z węzami przerażają cię! — odparł Faraon; — czy nie widziałas, że i moi mędrcomie przemienili laski swoje w węże?

— Tak, ale wąż Aharona je pożarł, a to zła przepowiednia.

— Cóż stąd? nie jest-żem ulubieńcem Phre, wybrańcem Ammona-Ra? Jednem tchnieniem, skoro zechcę, zmiotę to całe plemię hebrajskie i zobaczymy, czy ich Bóg zdoła ich ocalić.

— Strzeż się, Faraonie, — rzekła Tahoser, pomna słów Poeriego o potędze Jehowy; — nie dopuść, aby pycha kamienną opoką pokryła twoje serce. Ten Mosze i ten Aharon przerażają mnie; skoro ośmielają się narażać na twój gniew, muszą mieć podpórę w bogu bardzo potężnym!

— Gdyby ich Bóg miał istotnie taką władzę — rzekł Faraon, odpowiadając na obawy, wyrażone przez Tahoser, — czyż zostawiłby ich w niewoli, w upokorzeniu, uginających się jak juczne bydłota pod jarzmem najtwardszej robocizny? Zapomnijmy o tych cudach i żyjmy w spokoju. Myśl raczej o miłości, jaką żywię dla ciebie, i pamiętaj, że Faraon ma władzę większą, niż Wiekuisty, urojone bóstwo Hebrejów.

— Tak, jesteś zwycięzcą narodów, pogromcą tronów a ludzie są wobec ciebie, niby ziarenka unoszone przez wiatr południowy; wiem o tem, — odparła Tahoser.

— A jednak nie mogę wzbudzić w tobie miłości, — rzekł Faraon z uśmiechem.

— Ibis boi się lwa, gołębica obawia się krogulca, żrenica lęka się słońca, a ja widzę cię ciągle jeszcze wśród trwogi i olśnienia; słabość ludzka długo musi

się oswajając z majestatem królewskim. Bóg przeraża zawsze śmiertelnika.

— Wzbudzasz we mnie żal, Tahoser, że nie jestem pierwszym lepszym oerisem, kapłanem, rolnikiem lub czemś niższym jeszcze. Ale chociaż nie umiałbym uczynić z króla zwyczajnego mężczyzny, mogę uczynić z kobiety królową i otoczyć żmiją twoje cudne czoło. Królowa nie będzie się już obawiała króla.

— Nawet, gdy każesz mi zasiadać obok siebie, na tronie, myśl moja pozostaje na klęczkach u stóp twoich. Ale jesteś taki dobry, mimo swej nadludzkiej urody, mimo władzy bezgranicznej i świetlanego blasku, że może serce moje nabierze odwagi i ośmieli się bić na twojem.

Tak gawędzili Faraon i Tahoser; córka kapłana nie mogła zapomnieć Poeriego i usiłowała zyskać na czasie, pochlebiając niejako nadzieją namiętność króla. Wydostać się z pałacu, powrócić do młodego Hebrajczyka, było niepodobieństwem. Poeri zresztą przyjmował jej miłość raczej niż ją podzielał. Rachela, mimo swej wspaniałomyślności, była rywalką niebezpieczną, a nadto tkliwość Faraona wzruszała córkę kapłana; pragnęłaby go kochać, i może była tej miłości bliższa, niż przypuszczała.

XVI.

W kilka dni później Faraon, w otoczeniu orszaku, jechał stojąc na wozie, wzdłuż Nilu, by zobaczyć jak wysoko sięgał przypływ rzeki, gdy naraz, niby dwa widma, ukazali się przed nim na drodze Mosze i Aha-

ron. Król zatrzymał konie, które już parślały pianą na pierś wielkiego, nieruchomego starca.

Mosze głosem wolnym i uroczystym powtórzył żądanie.

— Dowiedz jakimkolwiek cudem potęgę twego Boga, — odparł król, — a uczynię zadość twemu żądaniu.

Zwracając się do Aharona, który stał o kilka kroków za nim, Mosze rzekł:

— Weź laskę swoją i wyciągnij rękę swoją nad wodą Egiptu, nad strumieniami, nad rzekami, nad jeziorami i nad wszystkimi zbiornikami wód; niechaj staną się krwią i będzie krew w całej ziemi Egiptu, nawet w naczyniach drewnianych i kamiennych.

Aharon podniósł laskę i uderzył nią wodę rzeki.

Orszak Faraona z niepokojem oczekiwał na wynik. Król, który miał serce spiżowe w piersi granitowej, uśmiechał się pogardliwie, ufając wiedzy swoich hieroglifistów, że potrafią pogłębić tych cudzoziemskich czarodziejów.

Skoro tylko laska Hebrajczyka, ta sama laska, która była węzem, uderzyła rzekę, wody zaczęły się mącić i wrzeć; ich kolor błotnisty zmienił się, przybierając tony czerwonawe, poczem cała toń stała się purpurowa a Nil wydawał się krwawą rzeką, zataczającą szkarłatne fale i wyrzucającą na brzegi kłęby różowej piany. Rzekłbyś, że to odbłask olbrzymiego pożaru, lub nieba rozognionego błyskawicami; ale w atmosferze panował spokój. Teby nie paliły się, a niepokalany błękit nieba rozciągał się nad tą

zaczzerwienioną powierzchnią, na której tu i owdzie widniały białe brzuchy śniętych ryb. Długie, łuska pokryte krokodyle, przy pomocy łap wydobywały się z rzeki na brzeg, a ciężkie hipopotamy, podobne do brył granitowych, pokryte trądem czarnej pleśni, uciekały w sitowie lub unosiły nad wodę wielkie pyski, nie mogąc już oddychać w krwawej wodzie.

Kanały, stawy, sadzawki przybrały tę samą barwę, a naczynia pełne wody były czerwone, jak kruże, w które spływa krew ofiar.

Faraon nie zdziwił się bynajmniej tym cudem i rzekł do Hebrejów:

— Cud ten mógł przerazić pospólstwo łatwowierne i nieświadome; ale niema w tem nic, coby mnie mogło wprawić w zdumienie. Sprowadźcie Ennanę i hieroglifistów, a oni powtórzą tę sztukę kuglarską.

Hieroglifiści przybyli z Ennaną na czele, który rzucił spojrzenie na rzekę o purpurowych falach i zrozumiał o co chodzi.

— Przywróć pierwotny stan rzece, — rzekł do towarzysza Moszego — abym powtórzył twoje czary.

Aharon uderzył znów rzekę, i ta przybrała niezwłocznie zwykły kolor.

Ennana skinął głową, na znak uznania, jak bezstronny mędrzec, który oddaje sprawiedliwość zręczności kolegi. Uważał, że rzecz wykonana była dobrze, jak na człowieka, który nie miał, jak on, możliwości studjowania źródeł mądrości w tajemniczych komnatach Labiryntu, gdzie dotrzeć mogą nieliczni wybrani,

takie bowiem odstręczające są próby, przez jakie przejść trzeba.

— Teraz na mnie kolej, — rzekł.

I wyciągnął nad Nilem laskę swoją, pokrytą hieroglifami, mruczając kilka słów mową taką starożytną, że nie mogła już być zrozumiana za czasów Menei, pierwszego króla Egiptu; mową sfinksa, o sylabach z granitu.

Olbrzymi całun czerwony rozpostarł się nagle od brzegu do brzegu i Nil zaczął się toczyć lawami ku morzu.

Dwudziestu czterech hieroglifistów oddało pokłon królowi, jakby chcąc się oddalić.

— Zostańcie, — rzekł Faraon.

Powrócili do niewzruszonej postawy.

— Czy nie możesz mi dać innego dowodu swego posłannictwa? Moi mędrkowicie, jak widzisz, naśladowają dosyć wiernie twoje czary.

Bynajmniej nie zrażony ironicznymi słowami króla, Mosze rzekł:

— Za siedem dni, jeśli nie zdecydujesz się uwolnić ludu Izraela, by poszli w puszcze ofiarować WiekuiSTEMU, według swoich obrządków, powrócę i dokonam wobec ciebie innego cudu.

Po siedmiu dniach zjawił się znów Mosze. Słuchając swemu, Aharanowi, powtórzył słowa WiekuiSTEMEGO:

— Wyciągnij rękę swoją wraz z laską swoją nad strumieniami, nad rzekami i nad jeziorami i wywiedz żaby na kraj Egiptu.

Zaledwie Aharon wykonał ruch, miliony żab wypłynęły z rzeki, ze strumieni, z kanałów, z moczarów,

pokryły pola i drogi, wskakiwały na stopnie świątyń i pałaców, wtargnęły do sanktuarjów i najdalszych komnat, a po tych pierwszych przybywały coraz to nowe roje — roily się w domach i dzieżach, w piecach i skrzyniach; nie można było nigdzie stąpnąć; jakby podrzucane sprężyną skakały między nogami ludzi, na prawo, na lewo, naprzód, w tył. Widać je było jak okiem sięgnąć: pełzły, podskakiwały, właziły jedne na drugie, bo już brakło im miejsca, a szeregi ich powiększały się, gromadziły, piętrzyły; niezliczone zielone grzbiety tworzyły dokoła niby poruszającą się, żywą łuskę, na której jaśniały, miast kwiatów, ich żółte ślepia. Zwierzęta, konie, osły, kozy przerażone, uciekały w pole, ale spotykały wszędzie plugawe mrowie.

Faraon, który z podrażnieniem i wstrętem przyglądał się z progu pałacu wzbierającej fali żab, końcem berła miażdżył ich tyle ile zdołał, a inne odtrącał trzewikiem. Próżny trud! Nowe, wypełzłe niewiadomo skąd, zastępowały nieżywe, a były jeszcze bardziej skrzeczące, ohydniejsze, natrętniejsze, utkwily w niego wielkie, okrągłe ślepia, rozczapirzały palce pletwowate, marszczyły białą skórę gardzieli. Zdawało się, że obrzydliwe zwierzęta obdarzone były rozumem i skupiały się dokoła króla ławą gęstszą niż gdzieindziej.

Ohydny zalew wzmagął się i wzmagął bez przerwy; na kolanach kolosów, na zrębach pylonów, na grzbietach sfinksów, na ramionach bogów, na piramidjonie obelisków, rozsiadły się wstrętne gady; ibisy, uradowane zrazu niespodziewaną gratką, nadzie-

wały je na długie dzioby i połykały setkami, stopniowo jednak zaczęły się bać tego niesłychanego najścia i ulatywały wysoko w niebiosa .

Aharon i Mosze tryumfowali; wezwany Ennana pogrążył się w zadumie, przyłożywszy palec do łysego czoła i przymknąwszy oczy; zdawało się, że szuka w głębi pamięci zapomnianej formuły magicznej.

Faraon, zaniepokojony, zwrócił się do niego:

— I cóż, Ennana! Czyżes stracił głowę z nadmiaru rozmyślania? czyżby ten cud przekraczał granice twojej wiedzy?

— Bynajmniej, o królu; ale kto mierzy nieskończoność, oblicza wieczność, sylabizuje to, co jest niezrozumiałe, temu zdarzyć się może, iż wymknie mu się z pamięci dziwaczne słowo, które rządzi gadami, rodzi je lub niweczy. Patrz! Całe to robactwo zniknie.

Stary hieroglifista potrząsnął łaską i wymówił po cichu kilka sylab.

W jednej chwili pola, place, drogi, bulwarki nad rzeką, ulice w mieście, dziedzińce pałaców, pokoje w domach zostały oczyszczone ze skrzeczących przybyszów i przywrócone do stanu pierwotnego.

Król uśmiechnął się, dumny z potęgi swoich czarodziejów.

— Nie wystarczy mi, żem przerwał czary Aharena, — rzekł Ennana; — ja je powtórzę.

Ennana potrząsnął łaską w kierunku odwrotnym i wymówił po cichu formułę przeciwną.

Niezwłocznie żaby ukazały się znacznie liczniej niż poprzednio, skacząc i skrzecząc; w mgnieniu oka pokryły ziemię; ale Aharon wyciągnął swoją łaskę

i czarodziej egipski nie zdołał rozproszyć nawały, jaką czarami swemi wywołał. Napróżno powtarzał tajemnicze wyrazy, zaklęcie utraciło moc swoją.

Hieoglifiści oddalili się w zamyśleniu i zmieszaniu, a ścigani przez ohydne gady. Brwi Faraona zmarszczyły się groźnie; trwał wszakże w zakamieniałym uporze i nie chciał wysłuchać błagania Moszega. Pycha jego usiłowała walczyć do ostatka przeciw nieznamu Bogu Izraela.

Wszelako, nie mogąc się pozbyć potwornych zwierząt, Faraon przyrzekł Moszemu, że, jeżeli wstawi się za nim do swego Boga, wtedy on obdarzy Hebrejów wolnością, by mogli ofiarować w puszczy.

Żaby wymarły lub powróciły do głębi wód; ale serce Faraona zasklepiło się i, mimo łagodnych upomnień Tahoser, nie dotrzymał przyrzeczenia.

I wówczas spadło na Egipt istne rozpasanie plag i klęsk; powstała nedorzeczna walka pomiędzy hieroglifistami i dwoma Hebrejami, których cuda powtarzali. Mosze zamienił cały proch Egiptu w owady, Ennana uczynił to samo. Mosze wziął dwie garście popiołu z pieca i rzucił je ku niebu wobec Faraona; i niebawem zaraza, ogniem gorejąca, padła na skórę ludu egipskiego, oszczędzając Hebrejów.

— Powtórz ten cud, — zawołał Faraon w pasji, zwracając się do głowy hieroglifistów, czerwony, jakby na jego twarz padł odblask ogniska.

— Po co? — odparł starzec tonem zniechęcenia;— w tem wszystkim jest palec Nieznanego. Nasze czcze formuły nie zdołają pokonać tej siły tajemniczej. Poddaj się i pozwól nam wrócić do schronień na-

szych, gdzie rozpoczniemy badania nad tym nowym Bogiem, nad tym Wiekuistym, potężniejszym od Ammon-Ra, od Ozyrysa i Tyfona; wiedza Egiptu jest pokonana; zagadka, strzeżona przez sfinksa, nie została rozstrzygnięta, a wielka Piramida pokrywa swoją niezbadaną tajemnicą tylko nicosć.

Ponieważ Faraon w dalszym ciągu nie chciał uwolnić Hebrejów, przeto wymarło bydło Egiptu; Izraelici nie stracili ani jednej sztuki.

I podniósł się wiatr południowy i dął przez całą noc, a gdy z rana dzień zaświtał, ogromna rdzawa chmura zakrywała niebo z krańca na kraniec; po przez tę mgłę jaśniało słońce, czerwone jak tarcza w kuźni, i wydawało się pozbawione promieni.

Chmura ta różniła się od chmur innych; żyła, szeleściła i biła skrzydłami, a spadła na ziemię nie w postaci wielkich kropel deszczu lecz w postaci szarańczy różowej, żółtej i zielonej, liczniejszej niż ziarnka piasku w pustyni libijskiej; leciała, wirując jak słoma, unoszona przez burzę; zaciemniała i zgęszczała powietrze; napełniała rowy, wąwozy, strumienie i wody, gasiła ogromem swoim ognie, które zapalono, by ją zniszczyć; zatrzymywała się przed przeszkodami, piętrzyła się i przedostawała przez nie. Wpadała w usta ludzi, ukrywała się w fałdach odzieży, we włosach, nozdrzach; jej zwarte szeregi sprawiały, że wozy zawracały z drogi; przewracały samotnego przechodnia i pokrywały go całkowicie; potężna ta armja, skacząc i bijąc skrzydłami, szła na Egipt od katarakt Nilowych do Delty, zajmując przestrzeń ogromnej szerokości, kosząc trawę, doprowa-

dzając drzewa do postaci szkieletu, pożerając rośliny do korzeni i pozostawiając za sobą ziemię, ogołoconą jak bojowisko.

Na prośbę Faraona Mosze powstrzymał plagę; wiatr zachodni, niesłychanej siły, uniósł szarańczę i wtrącił ją do morza Sitowego; ale serce, twardsze od spiżu, porfiru i bazaltu, trwało dalej w uporze.

Grad, klęska w Egipcie nieznaną, spadł wielkimi bryłami z nieba, wśród oślepiających błyskawic i ogłuszających piorunów, tłukąc wszystko, wszystko łamiąc, ścinając zboże, jak kosa; poczem ciemności głębokie, przerażające. w których gasły lampy, jak w głębiach grobowców, pozbawionych powietrza, rozpostarły się czarną chmurą nad ziemią Egiptu taką złocistą pod niebem lazuru, której noc jest jaśniejsza od dnia w innym klimacie. Lud, wylękły, mniemając, że pogrążony został już w przeniknionym mroku ciemnicy grobowej, błąkał się po omacku albo siadał wzdłuż propyleów, zawodząc żałośnie i rozdzielając szaty.

A pewnej nocy, nocy przerażenia i grozy, przeleciało nad Egiptem widmo, wchodząc do każdego domu, na którego drzwiach nie było czerwonego znaku, i umarli wszyscy pierworodni, zarówno syn Faraona jak i syn najnędniejszego parasyty; a król, mimo tych wszystkich straszliwych znaków, ustąpić nie chciał.

Przebywał w głębi pałacu, ponury, milczący, wpatrując się w syna, wyciągniętego na łożu śmiertelnem o nogach szakala, i nie czując łez, któremi Tahoser dłonie jego oblewała.

W progu komnaty ukazał się Mosze, chociaż go nikt nie wprowadził, albowiem służebnicy rozbiegli się na wszystkie strony, i powtórzył żądanie swoje z niezamąconą, uroczystą powagą.

— Odejdźcie! — rzekł w końcu Faraon; — ofiarujcie swemu Bogu, jak wam się podoba.

Tahoser rzuciła się na szyję królowi i rzekła:

— Kocham cię teraz; jesteś człowiekiem a nie bogiem z granitu.

XVII.

Faraon nie odpowiedział na słowa Tahoser, wpatrzony ponurym wzrokiem w trupa pierworodnego syna; nawet ustępując buntowała się jego niepokonana pycha. W głębi serca nie wierzył jeszcze w Wiekuistego a plagi, jakie spadły na Egipt, tłómaczył czarodziejską mocą Moszego i Aharona, potężniejszą niż moc jego hieroglifistów. Myśl o ustępstwie rozpętała tę duszę, gwałtowną i srogą; ale, gdyby nawet zechciał zatrzymać Izraelitów, lud, przerażony, nie byłby pozwolił; wszak Egipcjanie, bojąc się śmierci, wypędziliby cudzoziemców, którzy stali się przyczyną ich męczarni. Omijali ich z zabobonną trwogą, a gdy przechodził wielki Hebrajczyk, wraz z Aharonem, najodważniejsi uciekali z obawy przed nowym cudem i mówili sobie: „Azali łaska jego towarzysza zamieni się ponownie w węża i owinie się dokoła nas?“.

Czyżby Tahoser zapomniała Poeriego, zarzucając ramiona na szyję Faraona? Bynamniej; ale czuła kielkujące w tej upartej duszy zamiary zemsty i za-

głady. Obawiała się rzezi, która nie oszczędziłaby młodego Hebrajczyka i słodkiej Racheli; powszechnego mordowania, które tym razem zamieniłoby wody Nilu na krew prawdziwą, i usiłowała odwrócić gniew króla pieszczotą i miłym słowem.

Orszak żałobny przybył po zwłoki księcia, żeby go zabrać do dzielnicy Memnonij, gdzie miały być poddane przygotowaniom do balsamowania, trwającym dni siedemdziesiąt. Faraon patrzył posepnie na oddalających się i rzekł, jakby w smutnem przeczuciu :

— Oto już nie mam syna, o Tahoser; jeśli umrę, ty będziesz królową Egiptu.

— Dlaczego mówisz o śmierci? — odparła córka kapłana; — lata mijać będą, nie zostawiając śladu na twojej potężnej postaci, a dokoła ciebie pokolenia padać będą, jak liście dokoła drzewa, które trwa niewzruszone.

— Azalisz ja, niepokonany, nie zostałem zwyciężony? — odrzekł Faraon. — Na cóż się przyda, że płaskorzeźby w świątyniach i pałacach wyobrażają mnie, uzbrojonego w bat i berło, jadącego wozem wojennym po trupach, podnoszącego za włosy narody podbite, skoro jestem zmuszony ustąpić wobec czarów dwóch szalbierzy cudzoziemskich, skoro bogowie, którym wzniosłem tyle olbrzymich świątyń, zbudowanych na wieczne czasy, nie bronią mnie od nieznanego Boga tej nędznej rasy? Urok mojej potęgi zniweczony na zawsze. Moi hieroglifiści, zniewoleni do milczenia, opuszczają mnie. Słowa twoje, przed chwilą wypowiedziane, są słuszne, Tahoser; zesze-

dłem do poziomu ludzi. Ale, ponieważ ty kochasz mnie teraz, postaram się o wszystkim zapomnieć i poślubię cię, skoro tylko skończą się uroczystości żałobne.

Obawiając się, żeby Faraon nie cofnął słowa swojego, Hebrajczycy sposobili się do wyjścia i niebawem ich zastępy ruszyły w drogę; przewodnikiem na drodze był im we dnie słup obłoczny, a w nocy słup ognisty, aby im przyświecać, by iść mogli dniem i nocą. I weszli w puszcze piaszczyste między Nilem a morzem Sitowem, unikając osad, gdzie ludność mogłaby bronić im przejścia.

Zastępy przechodziły kolejno przed posągami mosisężnym, dziełem czarodziejów, mającym moc powstrzymywania niewolników. Ale tym razem czar, skuteczny przez wieki całe, nie oddziałał. Wiekuisty go zniweczył.

Niezliczony tłum postępował wolno, pokrywając przestrzeń trzodami swemi, zwierzętami, objuczonymi bogactwami, zebranymi w Egipcie, wlokąc olbrzymie ładunki narodu, który nagle zmienia miejsce pobytu; oko ludzkie nie mogło osiągnąć ani głowy ani ogona kolumny, ginącej na dwóch krańcach widnokregu w obłokach kurzu.

Gdyby kto usiadł na skraju drogi, czekając na koniec pochodu, widziałby niejednokrotnie wschód i zachód słońca.

Ofiarowanie Wiekuistemu było czczym pozorem; Izrael opuszczał na zawsze ziemię Egiptu, a mumja Josefa, w trumnie malowanej i złoconej, odchodziła

wraz z nimi na ramionach posługaczy, którzy zmieniali się po drodze.

To też Faraon wpadł w niepohamowany gniew i postanowił ścigać uciekających Hebrejów. Kazał zaprządz sześćset wozów wojennych, wezwał wodzów swoich, założył szeroki pas ze skóry krokodylej, nappełnił dwa kołczany i wóz swój strzałami i grotami, uzbroił przegub ręki w bransoletę ze spiziu, powstrzymującą drganie cięciwy, i ruszył w drogę, wiodąc za sobą cały naród żołnierzy.

Pieniący się z wściekłości, straszny, popędzał bez pamięci konie a za nim toczyło się sześćset wozów ze spiżowym łoskotem, niby grzmoty ziemskie. Piechota przyśpieszała kroku ale nie mogła nadażyć tej szalonej jeździe.

Faraon musiał zatrzymywać się i czekać na resztę armji. Podczas tych przystanków bił pięścią w poręcz wozu, tupał nogami z niecierpliwości i zgrzytał zębami. Pochylał się naprzód, usiłując odnaleźć po za tumanami piasku, pędzonymi przez wichher, uciekające zastępy Hebrejów i stwierdzając z wściekłością, że każda godzina powiększa odległość, jaka ich dzieliła. Gdyby oficerowie go nie powstrzymywali, dążyłby bez przerwy prosto przed siebie, tak że stanąłby w końcu sam przeciw całemu narodowi.

Szli już teraz nie zieloną doliną Egiptu, lecz płaszczyną wzdętą pagórkami i falistą, jak powierzchnia morza; odarta ze skorupy ziemia ukazywała swoje kości; skały, skamieniałe w dziwaczne kształty, jakgdyby olbrzymie zwierzęta podeptały niezakrzep-

łą jeszcze ziemię, w dniu, w którym świat wyłaniał się z chaosu, wyginały tu i owdzie równinę i ostre wypukłościami przerywały, od czasu do czasu, płaską linię widnokregu zlewającą się z niebem w smudze rdzawej mgły. W ogromnych przerwach wznosiły się palmy, rozpościerając wachlarze swoje w pobliżu źródła, często już wyschłego, gdzie pozostał tylko muł, a w którym drżące z wysiłku konie nurzały krwawiące nozdrza. Ale Faraon nieczuły na deszcz ognisty, lejący się z rozpalonego do białości nieba, dawał niezwłocznie sygnał a jazda i piechota ruszały w dalszą drogę.

Szkielety wołów i zwierząt jucnych, nad którymi krążyły gromady sępów, zaznaczały przejście Hebrejów, co podniecało jeszcze gniew króla.

Armja zwinna, wyćwiczona w pochodzie, dąży prędzej niż wędrówka narodu, wlokącego za sobą kobiety, dzieci, starców, pakunki i namioty; to też przestrzeń między wojskami egipskimi a ludem Izraela zmniejszała się szybko.

Przy Pi-Hachiroth, w pobliżu morza Sitowego, doścignęli Egipcjanie Hebrejów, którzy obozowali nad morzem. Skoro lud ujrzał iskrzący się w słońcu złoty wóz Faraona i dążące za nim wozy wojenne oraz armję, podniósł wielki krzyk przerażenia i zaczął przeklinać Moszego, który powiódł go do zguby.

Istotnie położenie było rozpaczliwe.

Przed Hebrejami front bitwy, za nimi — głębia morza.

Kobiety tarzały się na ziemi, rozdierały szaty,

wydzierały włosy, kaleczyły łono. „Dlaczego nie zostawiłeś nas w Egipcie? lepsza jeszcze niewola niż śmierć, a tyś nas stamtąd wyprowadził w puszcę, byś my tam zmarli. Czyżeś się obawiał, że nam zabraknie grobów?“ Tak złorzeczyły niewzruszonemu Moszemu rozwścieczone tłumy; odważniejsi chwyтали za broń i sposobili się do obrony; ale zamęt był straszliwy i wozy wojenne, wpadając w zwarty tłum, wyrządzały tam okropne spustoszenie.

Mosze wezwał pomocy Wiekuistego i wyciągnął łaskę swoją na morze; i stał się cud, którego żaden hieroglifista naśladować nie zdołał. Zaczem podniósł się od wschodu wiatr, niesłychanej siły, który wyżłobił wodę morza Sitowego, jak lemiesz olbrzymiego pługa, odrzucając na lewo i na prawo słone góry, uwieńczone grzbietami piany. Rozdzielone tym niepokonanym podmuchem, zdolnym zmieść Piramidy, jak ziarnka piasku, wody wzniosły się z obu stron płynnym murem, pozostawiając pośrodku szeroką drogę, którą można było przejść suchą nogą; po za temi przezroczystemi murami, niby po za grubą taflą szklaną, widać było wijące się potwory morskie, przeżone światłem, co je zaskoczyło w tajemniczej głębi.

Hebreje rzucili się ku wyjściu, cudem otworzonemu; popłynął potok ludzki między dwoma urwiskami stokami zielonej wody. Niezliczone mrowisko dwoma miljonami czarnych punktów zalało dno przepaści i wyciskało ślady stóp w mule, który żłobią tylko cielska lewiatnów. A wiatr straszliwy dał

bez przerwy, ponad głowami Hebrejów, których byłby mógł położyć, jak kłosa, i naporem swoim powstrzymywał spiętrzone, ryczące fale. To oddech Wiekuistego przedzielił morze.

Przerażeni tym cudem Egipcjanie wahali się ścigać Hebrejów; ale Faraon, z dumną, niczem nieustraszoną odwagą, popędził konie, które stawały dęba i przewracały się na dyszel, chłostał je batem o podwójnym rzemieniu; oczy krwią mu nabiegły, piana pokryła usta, z których wybiegał pomruk podobny do ryku lwa, gdy zdobycz mu się wymyka! Nakoniec zniewolił zwierzęta do wejścia na tę drogę, co się tak osobliwie otworzyła!

Sześćset wozów podążyło za królem; ostatni Izraelici, między którymi znajdował się Poeri, Rachela i Tamara, widząc, że nieprzyjaciel wkracza na tę samą co oni drogę, mniemali, że są zgubieni; ale gdy Egipcjanie posunęli się dosyć daleko w głąb, Mosze dał znak — koła wozów odpadły i powstał ogromny zamęt; skłębili się wojownicy i konie, spiętrzyli się wzajemnie na sobie; poczem góry wodne, cudem zawieszzone, runęły i morze zamknęło się, porywając w spienioną toń ludzi, zwierzęta, wozy, jak wir rzeki porywa w biegu źdźbła słomy.

Tylko Faraon, stojąc w muszli wozu swego, unoszącej się na powierzchni, oszalały pychą i wściekłością, puszczał ostatnie strzały z kołczanu za Hebrejami, przybywającymi na przeciwległe wybrzeże; gdy wyczerpały się strzały, pochwycił grot — woda sięgała mu już wyżej pasa, już tylko ręka unosiła się nad

powierzchnią — i cisnął go w niemocy swojej przeciw nieznanemu Bogu, któremu jeszcze z głębi przepaści słał wyzwanie.

Olbrzymia fala, zataczając się kilkakrotnie nad brzeg morza, zatopiła ostatnie szczątki; z chwały i armji Faraona nie zostało nic!

A na brzegu przeciwległym Miriam, siostra Aharon, weseliła się i śpiewała, bijąc w bęben, a wszystkie kobiety Izraela zaznaczały rytm na oślej skórze. Dwa miliony głosów intonowało hymn wyzwolenia!

XVIII.

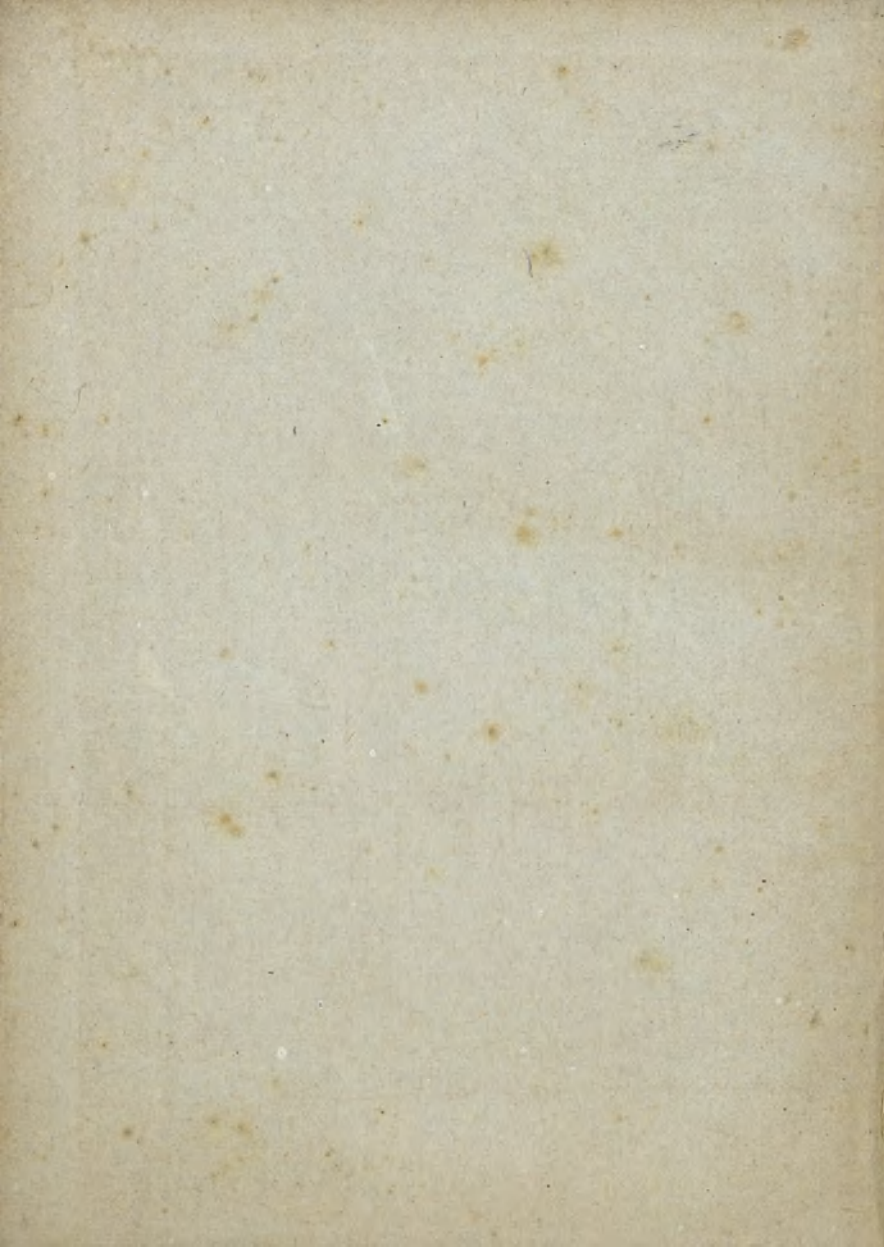
Tahoser daremnie czekała na Faraona i panowała nad Egiptem, poczem wkrótce umarła. Złożono ją we wspaniałym grobowcu, przygotowanym dla króla, którego zwłok nie zdołano odnaleźć, a jego dzieje, spisane na papyrusie, ozdobione czerwonymi nagłówkami rozdziałów, przez Kakevu, pisarza podwójnej komnaty światła i strażnika ksiąg, umieszczone zostały obok niej, pod zwojem bandaży.

Kogo opłakiwała, Faraona czy Poeriego? Pisarz Kakevu nic o tem nie mówi, doktor Rumphius zaś, który przetłumaczył hieroglify pisarza egipskiego, nie odważył się rozstrzygnąć tej sprawy. Co zaś do lorda Evandale'a, ten nigdy nie chciał się ożenić, jakkolwiek jest ostatnim swego rodu. Młode *misses* nie umiały sobie wytłumaczyć jego obojętności dla płci pięknej; ale, prawdę mówiąc, czyżby mogły sobie wyobrazić, że lord Evandale jest retrospektywnie rozkochany w Tahoser, córce wielkiego kapłana Petamunofa, zmarłej trzy tysiące pięćset lat temu?

Istnieją wszakże szaleństwa angielskie mniej uzasadnione niż to właśnie.

KONIEC.





86613479/n

13.2

30, —

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000278678



I 428142